



TEODOR TRIPPLIN

---

# Podróż po Księżycu

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

---

DR TEODOR TRIPPLIN

# *Podróż po Księżycu*

ODBYTA PRZEZ SERAFINA BOLIŃSKIEGO

## WSTĘP

Nie będziemy pozywać z sobą czytelnika na Księżyc, nie opowiedziawszy mu wprzód, co o nim myśli świat naukowy, przyjmujący tylko to, co się da sprawdzić zmysłami naszego ciała; lecz zawsze zapowiedzieć musimy, że traktat kosmograficzny, którym poprzedzamy podróż, dla nader licznych czytelników wyda się dziwny, ciemny, niezrozumiały, bo dla pojmowania go wszędzie trzeba posiadać zasadnicze, jeśli nie astronomiczne, to przynajmniej matematyczne wiadomości. A zatem piękny nasz cel, połączyć

pożytek z przyjemnością, naukę z zabawą, byłby chybiony, gdybyśmy byli uwarunkowali pojęcie podróży od pojęcia kosmografii Księżyca. Zwalniamy zatem czytelników nielubiących wysileń umysłowych od przekopywania się do jasnego światła przez labirynt selenografii, tuszając<sup>1</sup> sobie jednakże, że po przebiegnięciu samej podróży i po zapoznaniu się z jego interesującymi mieszkańcami, raczą wrócić do wstępu i przeczytać go z uwagą, na jaką zasługuje, bo istotnie zawiera w sobie ważne, może dla wielu naukowych ludzi jeszcze nieznanne wiadomości, które zebraliśmy z wielkim mozolem w kilku najnowszych dziełach.

## SELENOGRAFIA, CZYLI OPIS KSIĘŻYCA

Księżyc jest, zarówno jak wszystkie ciała niebieskie, które znamy, prawie doskonałą kulą. Jego średnica wynosi 480 mil geograficznych albo nieco więcej jak czwartą część średnicy

---

<sup>1</sup>tuszyć (daw.) — mieć nadzieję. [przypis edytorski]

Ziemi; powierzchnia jego wyrównywa<sup>2</sup> trzynastej części powierzchni Ziemi. Połowa Księżycyca, która nam się pokazuje, nie jest obszerniejsza jak<sup>3</sup> państwo rosyjskie.

Księżyc służy naszej Ziemi za rewerber<sup>4</sup>, ponieważ otrzymane od Słońca światło odbija na Ziemię; ale blask, którym nasze oczy oświeca, pomimo że dla nas tak bardzo użyteczny, jest przecie tak słaby, iż go światło dzienne podczas zachmurzonego południa sto tysięcy razy, zaś czyste światło słoneczne trzysta tysięcy razy przewyższa. Piękność nocy oświeconej od<sup>5</sup> Księżycyca wystawia nam tylko słaby obraz wspaniałego widoku, jaki Ziemia nasza mieszkańcom Księżycyca sprawia. Widzą oni w niej świecącą tarczę, cztery razy większej średnicy, a trzynaście razy większej powierzchni, niżeli my w Księżycu widzimy, a to światło, które ich noce oświeca, jest tak wielkie, że nawet

---

<sup>2</sup>wyrównywa — dziś: dorównuje. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>jak — dziś popr. w porównaniach: *niż*; obszerniejsza niż. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>rewerber — umocowane przy lampie (np. naftowej) lusterko odbijające światło. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>oświeconej od — dziś: oświeconej przez. [przypis edytorski]

my sami jego blask na Księżycu dosyć wyraźnie dostrzec możemy. Kilka dni przed i po nowiu Księżyca, gdy się na zwróconej onego stronie ku nam noc zaczyna lub poranek zabłyśnie, tak iż tylko wąska krawędź jego oświetlona jest od Słońca, przedstawiając nam odwróconą literę, cała reszta tarczy Księżyca objaśniona jest tylko popielatym brzaskiem, okazującym wyraźnie wszystkie plamy Księżyca. Księżyc w nowiu stoi między Słońcem i Ziemią; mieszkańcy strony Księżyca zwróconej ku Ziemi mają zatem noc i widzą całą od Słońca oświetloną połowę naszego planety<sup>6</sup>; Ziemia przyświeca im w pełnym świetle, które całą tarczę Księżyca owym popielatym brzaskiem okrywa. Jest to może najpiękniejszy widok, jaki nam teleskop przedstawia; ostra granica między dniem i nocą nie jest na Księżycu zaćmiona tak mocnym zmrokiem jak na Ziemi; większa połowa<sup>7</sup> Księżyca przedstawia nam najpiękniejsze krainy, z pagórkami i dolinami, oświetlone cza-

---

<sup>6</sup>*naszego planety* — dziś r.ż.: naszej planety. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*większa połowa* — popr. logicznie: większa część (połowy to równe części, żadna nie może być z definicji większa). [przypis edytorski]

rownym światłem Ziemi, a bezpośrednio obok wąski pasek, który oświetlony od ćmiącego blasku Słońca, nawzajem Ziemię oświetla.

## Obieg Księżyca

Księżyc znajduje się w takiej odległości od Słońca jak Ziemia; musi zatem i w równym czasie co Ziemia, to jest w  $365\frac{1}{4}$  dniach, swój obieg około Słońca odbyć, co również stałoby się, gdyby nawet nie towarzyszył Ziemi. Ponieważ się obydwie na jednej stronie Słońca znajdują, nie może się zatem Księżyc nigdy od Ziemi oddalić, a przyciągany siłą środkową Ziemi, musiałby razem z nią zejść się, gdyby prócz siły rzutu, toczącej go naokoło Słońca, nie był otrzymał jeszcze innej, która stosowna do jego odległości od Słońca, zawsze go w tej samej odległości utrzymuje i naokoło Ziemi prowadzi. W czasie jednego roku, gdy te obydwie ciała niebieskie obieg swój w odległości 20 milionów mil około Słońca odbywają, odbywa także Księżyc ruch w odległości 51 500 mil 12 i  $\frac{1}{3}$  raza koło Ziemi. Aby sobie jaśniej wytłumaczyć ten

ruch połączony, musimy się myśla przenieść do jego środkowego punktu, to jest do Słońca. Tu widzielibyśmy Ziemię właśnie w tej wielkości, jak nam się pokazuje Saturn, odbywającą bardzo regularny obieg od prawej ku lewej stronie w  $365\frac{1}{4}$  dnia, gdy ledwie widziany punkt wkoło Ziemi porusza się, odbywając każdy obrót około niej w  $29\frac{1}{2}$  dnia, tak iż w tym czasie, to na prawo, to na lewo Ziemi, to przed nią, to za nią się znajduje; jednak się nigdy nie oddala od niej więcej, jak tylko o czwartą część średnicy Księżyca, tak jak ona się nam pokazuje.

### Odmiany Księżyca

Z tego biegu około Ziemi i Słońca powstają owe wszystkie odmiany i zaćmienia Księżyca. Stanowisko Księżyca pomiędzy Ziemią a Słońcem zowie się nowiem Księżyca; ponieważ będąc prawie przez pięć dni niewidzialny, a w kilka dni później zwrócony jest Księżyc tak dalece ku lewej, czyli wschodniej stronie, iż po prawej części jego od Słońca oświeconej połowy pokazuje się nam w postaci wąskiego paska;

to zjawisko przybywającego Księżyca, którego wydrążenie coraz więcej się wypełnia, przybiera w siedem dni po nowiu postać półtarczy i nazwisko pierwszej kwadry. Granica światła, którą jasna część Księżyca od ciemnej oddziela i która dotąd wklęśła była, a teraz w prostą zamieniła się linię, przybiera wypukłą postać, która się coraz dalej po ciemnej części Księżyca rozszerzając, w 15 dni po nowiu daje się widzieć w pełni Księżyca jak całkiem oświecona okrągła tarcza; bo gdy Ziemia znajduje się wtenczas pomiędzy Księżycem a Słońcem, pokazuje nam więc całą od Słońca oświeconą połowę. A że się Księżyc jeszcze dalej ku lewej stronie posuwa, zwraca się więc do nas na prawej stronie z wolną część ciemnej jego połowy; oświecona część ubywa, wypukła granica światła staje się po siedmiu dniach prostą linią i Księżyc okazuje się nam w ostatniej kwadrze. Księżyc nie przestaje zbliżać się do swego stanowiska między Ziemią i Słońcem; część widzialna zmniejsza się, linia graniczna światła robi się wklęśła, która się coraz bardziej zwęża, aż na koniec



ostatnia pręga niknie, i prawie po 30 dniach now Księżyc pomiędzy Słońcem i Ziemią nastaje i znowu prawie przez całe pięć dni bywa dla nas niewidzialny.

Kiedy Księżyc w kilka dni później na lewo Słońca staje się widzialny i postępuje za Słońcem, podług powszechnego obrotu ciał niebieskich od lewej ku prawej stronie, zachodzi więc po nim i pozostaje dla nas tym dłużej widzialny, im więcej się na wschód od Słońca oddala. Po siedmiu dniach wynosi ta odległość  $90^\circ$  lub czwartą część całego nieba, które się w 24 godzinach obraca; pierwsza kwadra więc zachodzi w sześć godzin po Słońcu, czyli o północy. Podczas przybywającego Księżyc przyświeca nam zatem nieustannie wieczorem, a po pierwszej kwadrze jeszcze po północy i z każdym dniem dłużej. Pełnia Księżyc stoi naprzeciwko Słońca; wschodzi zatem razem z zachodem Słońca, a zachodzi razem z jego wschodem, o północy stoi na południku i świeci od wieczora aż do rana. Gdy się więc Księżyc ku Słońcu zbliża, tak że po je-

go prawej stronie stoi, natenczas wschodzi każdego dnia później, czyli na krótki czas przed wschodem Słońca, ostatnia kwadra o czwartą część nieba ku zachodowi od Słońca jest oddalona, wschodzi na sześć godzin przed wschodem Słońca, więc o północy, i w pierwszych godzinach nocnych wcale nie świeci, a wkrótce ubywający Księżyc świeci w godzinach rannych, lecz pokazuje się nam w przeciągu większej części dnia, jak blada chmurka, aż na koniec światło Księżyca ustaje, a nów razem ze Słońcem niewidzialnie wschodzi i zachodzi.

Podobne zjawiska, które jednak przeciwnie wydarzają się, sprawia nasza Ziemia Księżycowi. Kiedy nów stoi pomiędzy Słońcem a Ziemią, natenczas znajduje się ona względem Księżyca w tym samym położeniu, jak pełnia Księżyca względem nas; ukazuje się jemu cała od Słońca oświetlona połowa Ziemi. Podczas pełni stoi Ziemia między Słońcem a Księżycem i okazuje mu stronę odwróconą od Słońca, czyli stronę ciemną; Ziemia jest tym dla Księżyca, czym jest nów Księżyca dla Ziemi. Inne zja-

wiska następują tym samym sposobem, tylko że przybywające światło Ziemi z ubywającym Księżycem, a ubywające światło Ziemi z przybywającym Księżycem przypada.

### Zaćmienia Księżyca

Kiedy nów Księżyca przechodzi pomiędzy Ziemią a Słońcem, natenczas ten nam czasem źródło światła całkowicie lub po części zasłania; czarna okrągła tarcza Księżyca wstępuje w prawą, czyli zachodnią stronę Słońca i ku wschodowi pod nim przesuwa się. Ponieważ tarcza Księżyca, stosownie do jego odległości od Ziemi, już większą, już mniejszą aniżeli Słońce nam się okazuje, przeto Księżyc, jeżeli bieg jego przypada na sam środek Słońca, zakrywa nam całą tarczę Słońca albo sprawia zupełne zaćmienie Słońca; lecz w ostatnim wypadku pozostanie jeszcze niezakryty pręg jasny, czyli obwódka wkoło Księżyca, a przeto następuje zaćmienie Księżyca w kształcie pierścienia. Gdy pozorną wielkość Słońca i Księżyca mało co się różnią, przeto nie może takie zjawisko na pew-

nym miejscu Ziemi dłużej jak kilka minut być widziane. Że jednak z powodu biegu Księżyca i obrotu Ziemi około siebie w każdej chwili inne miejsca Ziemi w potrzebne do tego położenia przypadają, to jest: że są w prostej linii ze środkiem Słońca i Księżyca, więc zupełne zaćmienie Słońca tylko w ogólności pół piątej godziny na Ziemi widziane być może. Jeżeli zaś Księżyc nie przechodzi przez środek Słońca i zakrywa tylko jedną część jego, natenczas powstaje częściowe zaćmienie Słońca, które na każdym miejscu Ziemi po kilka godzin, a na kuli ziemskiej w ogóle siedem godzin trwać może.

Kiedy pełnia Księżyca poza Ziemię przesuwają się, wstępuje czasem cień Ziemi, który ona, jak każde inne ciemne ciało, ku przeciwnej stronie rzuca; Ziemia pozbawia Księżyc całkiem lub w części światła, a wtenczas powstaje całkowite lub cząstkowe zaćmienie Księżyca. Ponieważ Ziemia okrągła jest i mniejsza od Słońca, rzuca więc cień w kształcie ostro-

kręgu<sup>8</sup>, którego koniec daleko za nią przypada i który coraz węższy się staje, im dalej się od niej oddala. Zaćmienie więc Słońca będzie większe albo mniejsze i trwać może dłużej lub krócej, podług tego jak Księżyc mniej lub więcej oddalony jest od Ziemi i bliżej lub dalej od środka cienia przechodzi. Najdłuższe zaćmienie Księżyca przypada wtedy, kiedy Księżyc w zbliżeniu ku Ziemi przez środek cienia przechodzi, a wtenczas może całkowite zaćmienie Księżyca widzialne być w ogólności przez 2 godziny minut 18, zaś całe zaćmienie przez godzin 4, minut 38.

Zaćmienia Księżyca mogą więc nastąpić podczas pełni Księżyca, równie jak zaćmienie Słońca tylko podczas nowiu Księżyca. Z położenia drogi Księżyca do ekliptyki wypływa, iż w trzech miesiącach jedno tylko zaćmienie nastąpić może lub ściślej oznaczając, że zazwyczaj w 18½ latach, czyli 223 miesiącach, 70 zaćmień następuje, z których 29 Księżyca, a 41 Słońca;

---

<sup>8</sup>*ostrokąg* a. *ostrokrag* (daw.) — stożek, bryła o okrągłej podstawie, zwężająca się stopniowo aż do ostrego wierzchołka. [przypis edytorski]

tak iż na każdy rok w przecięciu<sup>9</sup> 4 zaćmienia przypadają. Bywają lata, w których 4 zaćmienia Słońca, a 3 Księżyca; w innych zaś tylko dwa zaćmienia Słońca następują, a Księżyc żadne. Chociaż jednak pierwsze częściej się przytrafiają na Ziemi aniżeli drugie, przecież te na pewnym oznaczonym miejscu są trzy razy rzadziej widzialne niżeli zaćmienia Księżyca i można przyjąć, że częściowe zaćmienie Słońca raz we dwa lata na pewnym miejscu przytrafia się, całkowite zaś raz tylko na 200 lat. Podobneż zjawiska przytrafiają się na Księżycu. Księżyc rzuca również cień za sobą, który podczas nowiu pada na Ziemię, lecz dla małej objętości Księżyca tak nieznaczny jest, iż mieszkańcy Księżyca natenczas, kiedy my całkowite zaćmienie Słońca mamy, cień swego planety w postaci małej, czarniawej, w mglistą chmurkę zakrytej plamki lub, jeżeli nasze zaćmienie Słońca jest w formie pierścienia, wtenczas tylko jak gdyby małą chmurkę ponad Ziemią przesuwającą się spostrzegają. Lecz jeżeli pełnia Księ-

---

<sup>9</sup>w *przecięciu* (daw.) — przeciętnie, średnio. [przypis edytorski]

życa wstępuje w cień Ziemi, natenczas zaślania mu Ziemia Słońce, a najdłuższa trwałość całkowitego zaćmienia Słońca na Księżycu wynosi również  $4\frac{1}{2}$  godziny.

### Pory roku na Księżycu

Księżyc ma równie jak Ziemia rok o  $365\frac{1}{4}$  dniach, a miesiąc po  $29\frac{1}{2}$  dnia, w którym czasie pokazują się mu wszystkie zaćmienia i odmiany, jakie na Księżycu uważamy, tylko w przeciwnym porządku. Na Księżycu mają zaćmienie Słońca, kiedy my mamy zaćmienie Księżyca, zaś zaćmienie Księżyca, kiedy u nas jest zaćmienie Słońca, a ciemna część Ziemi pokazuje się Księżycowi zawsze w tej samej półokrągłej postaci, jak się nam jasna część Księżyca okazuje. Z tym wszystkim znajdujemy przy tych pozornych zgodnościach w biegu Księżyca jedną okoliczność, która tam wcale inne zjawiska, nawet wcale inną naturę działać musi, jak my mamy w udziale, a to jest ta okoliczność, iż Księżyc zawsze w jedną stronę jest zwrócony ku Ziemi. Następuje stąd, że Księżyc w czasie

29-dniowego obiegu około Ziemi także się raz około swej osi obraca. Ten obrót około osi musi mieć takie samo położenie, jak droga Księżyca około Ziemi, gdyż inaczej części tylnej połowy Księżyca w górze i na dole musiałyby się okazać.

Równie tak szczególna różnica zachodzi co do dni. Ponieważ Księżyc w pełni tą samą stroną zwraca się do Słońca, co i do Ziemi, nów zaś przeciwną stroną, a zatem w ciągu jednego miesiąca w 29<sup>1/2</sup> dnia, powoli wszystkie części Księżyca zostają od Słońca oświetlone, przez co dzień na Księżycu i miesiąc synodyczny<sup>10</sup> Księżyca są jednakowe, to jest: 29 do 30 dni. Każde miejsce na Księżycu widzi Słońce nieprzerwanie 15 dni nad sobą, i tak długo zostaje pod horyzontem; na całym Księżycu są zawsze dzień i noc równe, a oboje trwają po 15 dni. Tak więc jak ogrzewanie na Księżycu bardzo jest nierówne, tak światło zachowuje się zawsze jednostajnie, a przynajmniej we względzie trwałości,

---

<sup>10</sup>miesiąc synodyczny — średni czas pomiędzy kolejnymi nowiami Księżyca. [przypis edytorski]



żadna strefa nie widzi Słońca dłużej jak druga. Że jednak ten czas dosyć długo trwa, więc można powiedzieć, że każde miejsce Księżyca, jeżeli tam pomiędzy temperaturą dnia i nocy podobna różnica jak u nas zachodzi, w czasie miesiąca, który oraz<sup>11</sup> jest dniem jego, wszystkie pory roku odbywa, ma również lato, jako też i zimę z 15 dni złożoną, i że jego wiosna i jesień, z rannymi i wieczornymi godzinami, które tam 30 razy dłużej trwają, przypada. Obrót codzienny jest bowiem na Księżycu 30 razy powolniejszy niżeli na Ziemi, a w czasie 30 dni widzą mieszkańcy Księżyca tylko raz wschodzące i zachodzące Słońce i wszystkie gwiazdy. Mieszkańcy środka obróconej do nas strony Księżyca widzą naszą Ziemię jako świecąca kulę o cztery razy większej średnicy niżeli Słońce, nieustannie nad swymi głowami, gdy tymczasem Słońce i wszystkie gwiazdy przesuwają się poza tym wielkim ciałem lub też obok niego i kreślą okręgi, które na horyzoncie tego miejsca są prostopadłe. W równym czasie

---

<sup>11</sup>oraz (daw.) — także, oprócz tego. [przypis edytorski]

przybiera, bo nieruchome ciało, wszystkie odmiany od pełni do nowiu; jego światło przybywa po południu, z rana ubywa, a w południe całkiem niknie. Mieszkańcy krawędzi widzialnej tarczy Księżyca widzą Ziemię nieustannie w swym horyzoncie w tym samym miejscu albo raczej bardzo mało podnoszącą się i zniżającą, gdy tymczasem inne ciała niebieskie albo są w jednym położeniu z horyzontem, lub też takowy pod jednakowym kątem przerzynają. Pierwsze ma miejsce na obydwóch punktach, najwyższym i najniższym widzialnej nam tarczy Księżyca, mają one Słońce nieustannie w horyzoncie, a gwiazdy w jednej połowie nieba są zawsze nad horyzontem, zaś te w drugiej połowie są zawsze niewidzialne. Mieszkańcy innych części przedniej tarczy Księżyca widzą także Ziemię prawie nieruchomą, w pewnej wysokości nad horyzontem; mieszkańcy tylnej połowy nie widzą nigdy Ziemi.

Korzyści mieszkańców Księżyca w większej  
znajomości naszej Ziemi

Ziemia, przez swój obrót, pokazuje się mieszkańcom Księżyca w czasie 24 godzin ze wszystkich stron, gdy my tylnej części Księżyca nigdy nie widzimy. Selenicy, jeżeli są zaopatrzeni w bliskowidze lub jeżeli mają bystrzejszy wzrok niżeli my, mają pewnie, chociaż nie tak dokładną, lecz zupełniejszą mapę ziemską niżeli my. Dla nas Ziemia jest obrazem za bliskim dla oczu, abyśmy dokładnie ogół przejrzeć mogli, jest to dekoracja teatralna, na której z bliska tylko miejsca kolorowane widzimy, lecz które w należytych oddaleniu pokazują wyraźnie, co przedstawiają. W Księżycu pewno<sup>12</sup> spostrzeżono za pierwszym rzutem oka, nad czym u nas tak długo się spierano, że Ziemia jest kulą spłaszczoną przy biegunach; Ameryka i Australia, na długi czas przed Kolumbem i Kockiem, odkryta była w Księżycu, a owo od naszych geografów nierozwiązane pytanie względem północno-zachodniej i północno-wschodniej dro-

---

<sup>12</sup>*pewno* (daw.) — tu: z pewnością, niewątpliwie. [przypis edytorski]

gi do wschodnich Indii albo względem kraju koło bieguna południowego od astronomów Księżyca już dawno rozwiązane zostało. Wszystkie te odkrycia na naszym planecie, widok ogromnej kuli ziemskiej, niezminiającej miejsca w zenicie albo w horyzoncie, we 24 godzinach swoje morza, swoje kraje i góry we wszystkich pięciu częściach świata okazując i w 30 dni wszystkie postaci światła, od najpierwszej srebrnej nitki, aż do zupełnie oświeconej tarczy, przyjmując światło daleko przewyższające pełnię Księżyca, wszystko to jest wyłączną własnością widzialnej nam połowy Księżyca. Mieszkańcy tylnej połowy mają przez 15 dni zupełnie ciemną noc, która tylko przez słaby blask gwiazd poniekąd złagodzona bywa; nie mają oni o tym wspaniałym widowisku centralnego ciała, około którego, nie widząc go, swój bieg odbywają, żadnego wyobrażenia. Możemy sobie wyobrazić, z jakim podziwieniem opowiadania swych sąsiadów o tym ogromnym świecącym ciele tam słuchają, a może powątpiewają i można sobie pomyśleć, z jaką ciekawością lub pobożnością

pragną tylko słabe wyobrażenie zrobić o pierwszym wrażeniu, jakie ten wspaniały widok na owych hyperborejczyków uczynić musi. Jednak dla mieszkańców tylnej części Księżyca, blisko krawędzi mieszkających, dość jest odprawić kilka mil drogi dla odkrycia zupełnie nowego świata. Ścisłejsze rozważenie tego widowiska posłuży nam do zrozumienia, cobyśmy z Księżyca widzieć mogli.

Oprócz Słońca i gwiazd nieruchomych nie znamy żadnych ciał świecących; wszystkie planety i księżyce świecą tylko tak dalece, ile na nich padające światło Słońca znowu odbijają. Jednakowoż nie wszystkie części, którymi powierzchnia Ziemi, a podobno także powierzchnie innych planet są okryte, w równym stopniu światło odbijają. Niektóre części świecą zatem więcej, drugie mniej; naturalną jest więc rzeczą, iż nie tylko każdy planeta, podług szczególnej natury swej powierzchni, posiada właściwe światło, że Wenus i Jowisz Marsa i Saturna przewyższają w jasności, lecz że także po-

wierzchnia każdego planety okryta jest mniej lub więcej jasnymi lub ciemnymi płatkami. Ciało wcale<sup>13</sup> nieprzezroczyste, koloru białego lub jasnego, odbija światło mocniej niżeli ciemne lub przezroczyste. Woda przepuszcza, jak każde inne przezroczyste ciało, wiele promieni światła bez odbijania takowych i otrzymuje przez to w znacznej odległości czarniawy kolor, a puszcze<sup>14</sup> afrykańskie białym okryte piaskiem albo stepy syberyjskie jeszcze bielszym śniegiem przybrane świecą mieszkańcom Księżyca daleko mocniej niżeli czarne lasy północy albo Ocean Wielki. Inną niemniej istotną cechą jest zupełnie równa powierzchnia wody, którą jako ciało płynne, za pomocą swego ciężaru samo przez się przyjmuje. Morze okaże się więc jako gładka czarniawa powierzchnia, na której ani światło, ani cień, ani żadna odmiana kolorów miejsca nie ma; gdy się przeciwnie ziemia przez nierówność swoich powierzchni i rozmaitość kolorów odznacza.

---

<sup>13</sup>wcale (daw.) — tu: w całości, całkowicie. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>puszcza (daw.) — pustynia, pustkowie. [przypis edytorski]

Przez mniej lub więcej ukośne położenie przedmiotów względem Słońca, oświecającego takowe, kraina, która inaczej byłaby podobna prostemu zarysowi, otrzymuje cienie malownicze. Równiny są okryte szarym cieniem, dopóki im prostopadle spadające promienie Słońca weselszego wejrzenia nie dodadzą, a góry rzucają ku stronie odwróconej od Słońca długie cienie na sąsiednie płaszczyzny, które się za zbieżeniem południa zmniejszają. Granitowe szczyty gór błyszczą jak diamenty, a zapadłe otchłanie pokazują nam wygasłe wnętrza wulkanów. I tak u nas mieszkańcy Księżyca o tym czasie, gdy jest południe i nów, widzą Europę, Afrykę i Azję jako nierozdzieloną masę jaśniejącą, z niezliczonymi odmianami kolorów, światła i cieniów, przerznięte szarymi dolinami i białymi górami, otoczone z trzech stron jednakową czarną równą płaszczyzną. Po 12 godzinach okryta jest prawie cała Ziemia szarym cieniem, z którego płaszczyzny niezliczone większe i mniejsze jasne punkciki (wyspy południowego morza) wysterczają i która od góry aż do

dołu wąską jasną pręgą (Ameryką, odznaczającą się przez nader jasne góry) jest przerznięta.

Wszelako to poznałoby bystre oko z Księżyca bez pomocy teleskopów; lecz odkrycia na naszej Ziemi, które by się za pomocą Herschla teleskopu w Księżycu dozwoliły uczynić, muszą się wydawać niepodobne do wiary dla tego, który sam je doświadczał. Widzimy przez średnie dalekowidze w Księżycu przedmioty, które nie są większe nad 1000 stóp, a poznajemy dokładnie ich postać, jeśli średnica wynosi 4000 stóp, czyli szóstą część mili. Przez dwukrotne podobne powiększenie dają się widzieć przedmioty nie większe na przykład jak warszawskie obserwatorium, o cztery razy zaś większe na przykład jak teatr warszawski dają się poznać bardzo wyraźnie w swej postaci. Nie ma więc żadnej wątpliwości, iż dostrzegacz zaopatrzony dobrymi instrumentami na Księżycu rozeznąć może nie tylko pasma gór, lecz i pojedyncze góry, nie tylko nasze miasta i obozy, lecz nawet w białym piasku albo jasno zielonej niwie czarną nitkę biegu większych rzek, a nawet zmiany,



jakie natura lub ręce ludzkie na Ziemi utworzą.

Czy istotnie Księżyc jest zamieszkały?

Otoż pytanie, które od dawnego czasu bardzo wiele ludzi sobie zadaje, a najuczeńsze akademie zajmują się rozwiązaniem tego pytania z taką pilnością; rok rocznie przybywają argumenty rzucające na tę kwestię i światło, i cienie.

Idzie naprzód o dowiedzenie, czy Księżyc ma atmosferę.

Jeśli ten planeta nie posiada atmosfery właściwej sobie, do atmosfery naszej Ziemi lub innych ciał niebieskich mniej więcej podobnej, wówczas żadne żyjące stworzenie, organizacją swoją mniej więcej do naszej podobne, żyć by nie mogło ani nie zdołało na Księżycu.

Już w połowie siedemnastego stulecia, wielki Hevelius<sup>15</sup>, astronom gdański, marzył o mieszkańcach Księżyca, a te marzenia wykwitły spo-

---

<sup>15</sup>*Heweliusz, Jan* (1611–1687) — niem. astronom i konstruktor działający w Gdańsku. [przypis edytorski]

śródm najsumienniejszych obserwacji, które do tego stopnia zadziwiły i oczarowały, że jego monarchowie, nawet Wielki Ludwik XIV, zaszczycali astronoma gdańskiego przyjaźnią. Hevelius wierzył w mieszkańców Księżyca, wierzył także w jego atmosferę.

Później inni astronomowie do tego stopnia przekonani byli o istnieniu rozumnych organicznych stworzeń na Księżycu, że się łudzili nadzieją ujrzenia ich, a nawet wejścia z nimi w jakiś rodzaj porozumienia.

Ale na nieszczęście pomiędzy największymi astronomami byli i tacy, co wszelkimi siłami odpychali wiarę w Selenitów, to jest mieszkańców Księżyca. Pomiedzy innymi wielki Laplace<sup>16</sup>.

Jak to? Gwiazda mająca czterysta osiemdziesiąt mil geograficznych średnicy i przeszło dwa tysiące mil obwodu miałaby tylko za la-

---

<sup>16</sup>Laplace, Pierre Simon de (1749–1827) — francuski uczoney, zajmujący się m.in. matematyką, astronomią i fizyką, największy uczoney przełomu XVIII i XIX w.; jeden z twórców teorii prawdopodobieństwa; wykazał stabilność Układu Słonecznego, rozwinął hipotezę samoistnego powstania Układu Słonecznego z wirującego obłoku gazu. [przypis edytorski]

tarkę służyć nocom naszym i to jeszcze, nawiasem powiedziawszy, za bardzo niedoskonałą latarkę? Taka świetna, duża gwiazda, miałaby być pozbawiona mieszkańców, kiedy inne, daleko mniejsze, jak na przykład Pallas<sup>17</sup>, najniezawodniej nimi się cieszą?

Ach! Jakbyśmy żałowali Selenitów, gdyby w istocie nie istnieli! Jak pyszny widok musi nasza Ziemia przedstawiać Księżycowi! Wystawcie sobie gwiazdę ukazującą się w postaci okrągłej tarczy, przewyższającej o trzynaście razy średnicę tarczy Księżyca, jak ją widzimy z naszej Ziemi, i świetniejącej trzynaście razy większym blaskiem od Księżyca; wystawcie sobie ten majestatyczny ogrom blasku, zawieszony na zenicie, opromieniający ognistą purpurą Księżyc; to musi być istotnie widok, na którego opisanie w żadnej fantazji nie starczy pojęcia. A nasza Ziemia ma przedstawiać to świetne wi-

---

<sup>17</sup>*Pallas* (astr.) — duża planetoida (500 km średnicy) krążąca w pasie pomiędzy orbitami Marsa i Jowisza, odkryta w 1802 jako druga z planetoid; planetoidy zaliczane w astronomii do grona planet, dopóki nie poznano, że takie obiekty, mierzące od 1 do 1000 km, są w Układzie Słonecznym bardzo liczne. [przypis edytorski]

dowisko próżnemu teatrowi, widowni, w której nie ma ani oka, ani pojęcia, ani uwielbienia?

I nasze morza, nasze góry, pola, jeziora, miasta, rzeki, wsie i wielkie gmachy, nasze teatry i pałace obracają się około Księżyca i nie są podziwiane przez jego mieszkańców?

My wprawdzie, jak to wiemy z tego, co się poprzednio powiedziało, widzimy tylko jedną hemisferę<sup>18</sup> Księżyca, ale Selenita, jeżeli istnieje i żyje w warunkach zbliżonych cokolwiek do naszych, przeniesie się z łatwością za pomocą kolei żelaznych na drugą hemisferę i tam znajduje inny zapas widoków i nowych zachwyceń, używa urozmaiceń i nowości, o jakich my wyobrażenia nie mamy.

Nie! Gdzie takie znajduje się piękno, tam muszą być dusze zdolne je podziwiać. Stwórca nie mógł go stworzyć dla ślepych, dla bezmyślnych, dla niczego.

Wiemy, że na tej drugiej hemisferze Księżyca, dla nas niewidzialnej, noc następuje po

---

<sup>18</sup>*hemisfera* — powierzchnia połowy kuli; półkula jakiegoś globu. [przypis edytorski]

dniu co czternaście dni, gdy tymczasem hemisfera Księżyca dla nas widzialna używa przez dni czternaście światła Słońca i blasku Ziemi i podczas czternastodniowej nieobecności Słońca pozostaje oświetlona blaskiem naszego planety.

Nie możemy się wyrzec wiary, że światło, drogi dar Nieba, tak obficie przyświeca martwemu ciału. Tam gdzie światło, tam jest życie, w prostym i przenośnym znaczeniu; tam gdzie światło, tam powstaje jego godne życie samo z siebie. Jeszcze żadna iskra światła na próżno nie została wypotrzebowana od stworzenia świata do obecnej chwili, a zatem wierzymy w istotność życia na Księżycu, nawet gdyby innych na to nie było dowodów. Majestat cudów natury powinien być i jest podziwiany wszędzie, gdzie go Stwórca umieścił; i Selenici są istotami używającymi daleko wyższego piękna jak my, a zatem są daleko doskonalszymi od nas, przynajmniej w poezji muszą nas przeskrydlać, może nawet skrzydłami są uposażeni, jak już niejeden utrzymywał astronom.

Ale ludzie nie lubiący wierzyć w żadne wyższe doskonałości, a takich jest niezmierne mnóstwo na naszej Ziemi, ale ludzie mierni duszą, chociażby wysoko stali nauką, utrzymują jednakże do upadłego, że Księżyc pozbawiony atmosfery, a zatem i wody, i ziemi roślinnej, nie może wyżywić ani roślin, ani zwierząt, ani Selenitów, to jest istot obdarzonych rozumem i wolą.

Dzięki Bogu! Najnowsze doświadczenia wykazały zupełną mylność tego zdania, ubliżającego naszemu uczuciu i godności Księżyca.

Pan Pompilio de Cuppis<sup>19</sup>, uczony astronom włoski, widział własnymi oczami przez bardzo dzielny teleskop nowożytnego wynalazku, jak się promienie blisko krańca Księżyca przechodzących gwiazd odbijały w jego atmosferze. A potem kilku innych astronomów, pomiędzy nimi pan Leverrier<sup>20</sup>, sprawdziło w spo-

---

<sup>19</sup>*Cuppis, Pompilio de* (1810–1861) — włoski arystokrata z książęcego rodu, kawaler fr. legii honorowej; studiował w Rzymie matematykę, astronomię i geografę, pozostawił po sobie prace malarskie, ryciny i ilustracje; pochodził z Fano w regionie Marche we Włoszech, działał na terenie Umbrii. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>*Leverrier a. Le Verrier, Urbain Jean Joseph* (1811–1877) — fr. matematyk i astronom. [przypis edytorski]

sób jak najściślej zadowalający owo spostrzeżenie. Księżyc jest opatrzony, otoczony atmosferą, o tym nie ma już wątpliwości; ta atmosfera nie sięga wysoko, podobno wznosi się tylko na półtorej mili ponad powierzchnią Księżyca, gdy tym czasem atmosfera naszej Ziemi do wysokości ośmiu mil dochodzi, ale naszemu planecie potrzebna wyższa atmosfera, skromniejszy od nas co do rozmiarów Księżyc zadowalała się mniejszą; wszystko przekonuje, że na tym świecie wszystko znajduje się w jakimś dziwnie stałym, chociaż nie zawsze jeszcze docieczonym i uznanym stosunku. Większym od nas planetom potrzeba wyższej atmosfery, bo większe w nich rosną rośliny i oddychają zwierzęta; olbrzymy o tyle wyżsi od nas, o ile wieża strasburska wyższa od naszego wiorstowego słupa, mają żyć na planecie Uranus; a znów my, w porównaniu z mieszkańcami Księżyca, wyglądamy najniezawodniej jak słupy wiorstowe obok kręgli.

Na jednej z najmniejszych planet, zwanej Pallas, mającej tylko dwadzieścia sześć mil geo-

graficznych średnicy, słońce nie mogą być roślejsze od naszych myszy, a jednakże wydają się Palladistom, to jest mieszkańcom wola i rozumem obdarzonym tego planety, tak duże jak nam nasze słońce. To szczęście, że rozum człowieka i każdego stworzenia posiadającego władze umysłowe nie jest w stosunku bezwzględnym z wielkością mózgu.

A zatem jest dowiedzione, że na Księżycu Selenici powinni istnieć i mogą istnieć, i że zapewne niższymi są od nas wzrostem, co ich zresztą nie bardzo martwić powinno, bo i u nas najwyżsi wzrostem nie są najświetniejsi rozumem, dowodem tego nieboszczyk Rauwa i kilku innych nieboszczyków.

Lecz na czymże astronomowie oparli swoje zdanie o nieistnieniu atmosfery księżycowej? Oto na zdarzającym się często zjawisku przejścia gwiazd przez tarczę księżycową, czyli pokrycia ich przez Księżyc. Gdyby to ciało niebieskie, tak rozumują uczeni, miało atmosferę, wtedy światło bijące od gwiazdy musiałoby za dojściem do kręgu tej atmosfery załamać się



i osłabnąć; co przecież nie miało miejsca w żadnym z uważanych<sup>21</sup> dotąd zjawisk tego rodzaju.

Bacząc<sup>22</sup> jednakże na to, że średnia odległość Księżyca od planety naszego wynosi pięćdziesiąt tysięcy mil, że w takim oddaleniu rozległość sześć tysięcy stóp widzimy pod kątem tylko jednej sekundy, że przeto ziemscy spostrzegacze mogą nie dojrzeć żadnego załamania się światła, chociażby Księżyc posiadał atmosferę na sześć tysięcy stóp wysoką; że według ogólnego prawa natury wyższe warstwy kręgu powietrznego rzadsze są zawsze od niższych, a więc mniej silnie wpływają na zбочenie światła: możemy przypuścić, że Księżyc otoczony jest atmosferą znacznie nawet wyższą nad sześć tysięcy stóp, jakkolwiek obserwacje ziemskie nie wykrywają nam dotykalnie jej bytności.

Tym przeto sposobem upada najważniejszy zarzut astronomów przeciwko istnieniu atmosfery księżycowej i jej możliwość przynaj-

---

<sup>21</sup>*uważany* (daw.) — tu: obserwowany, badany. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*baczyć* (daw.) — uważać, zwracać uwagę, brać pod uwagę. [przypis edytorski]

mniej staje się przypuszczalna. Ale badacze przyrody nie poprzestają na podobieństwie do prawdy, wymagają oni faktów. Dla utrzymania więc wystawionej przez nas hipotezy innych nam trzeba na to dowodów. I otóż zjawisko towarzyszące zaćmieniom Słońca, uważane po raz pierwszy r. 1842, a znane w astronomii pod nazwiskiem *korony*, czyli światło-kręgu, może nam ich dostarczyć.

W dawniejszych czasach badano zaćmienia pod względem li tylko astronomicznym, a pomijano zdarzające się w ich biegu zjawiska fizyczne. Dopiero w roku 1842, a zwłaszcza w r. 1851, zaczęto pilniejszą na te ostatnie zwracać uwagę. Roku 1851 p. Dölller<sup>23</sup> w Połtawie wezwał wszystkich przyjaciół astronomii do czynienia spostrzeżeń w czasie zbliżającego się zaćmienia całkowitego, szczególnie nad koroną, jej powstaniem i zniknięciem, jej szerokością, światłem i ubarwieniem w różnych

---

<sup>23</sup>*Dölller* — prawdopodobnie: Anton Dölller (1831–1912), oficer armii austriackiej, publicysta, działacz społeczny na terenie Spiszu o wybitnych zasługach w dziedzinie turystyki tatrzańskiej; współzałożyciel Węgierskiego Towarzystwa Karpackiego w 1873 r. [przypis edytorski]

miejscach, jej ruchem wirowym lub falującym i kierunkiem bijących z niej promieni. Do takich obserwacji dosyć gołego oka i dobrych chęci. Ale p. Döller od wprawniejszych dostrzegaczy zażądał nadto zmierzenia siły światła i jeśliby się dało, ciepła korony, a nareszcie fotograficznego jej zdjęcia.

Odezwa uczonego połtawskiego nie pozostała bez skutku, a z licznie nadesłanych spostrzeżeń zdaje się wypływać przekonanie, że korona powstaje skutkiem złamania i rozstrzeleń się promieni słonecznych dotykających atmosfery Księżyca. Zdołano nawet wywołać to zjawisko sposobem sztucznym przez ustawienie lampy Drummonda<sup>24</sup> za ciałem ciemnym, umieszczonym w bani szklanej. Lampa w tym doświadczeniu przedstawiała Słońce, ciało ciemne Księżyc, a otaczająca je bania szklana przypuszczalną atmosferę księżycową.

---

<sup>24</sup>*Drummonda lampa*, właśc. *światło Drummonda* — także: światło wapienne; rodzaj sztucznego używanego oświetlenia w XIX w. (np. w teatrach dla podświetlenia sceny), wykorzystującego intensywne świecenie walca wykonanego z tlenku wapnia (wapna prażonego, CaO) pod wpływem ogrzewania go do wysokiej temperatury (termoluminescencja) za pomocą palnika tlenowo-wodorowego. [przypis edytorski]

Możemy zresztą za istnieniem tej atmosfery przytoczyć dotykalszy jeszcze dowód. Posiadamy od dawna dokładne mapy Księżycy przedstawiające najwierniej formacje jego górskie. Geologia uczy nas z kształtu i kierunku gór poznawać wulkaniczne (ogniowe) lub neptuniczne (wodne) ich pochodzenie. Otóż, stosując zasady tej nauki do pasm księżycowych, spostrzegamy u niektórych wyraźne ślady powstania neptunicznego. Stąd wniosek oczywisty, że na powierzchni Księżycy istniała kiedyś lub istnieje woda, a tym samym istnieć musi i atmosfera.

Na koniec, czyż każde ciało, stałej albo płynnej natury, nie posiada atmosfery przez to samo, że ulega parowaniu? Czyż eter<sup>25</sup> przynajmniej, otaczający ciała niebieskie, nie musi zgęszczać się naokoło krążącego w nim Księżycy?

---

<sup>25</sup>*eter* — w filozofii przyrody nazwa hipotetycznej substancji, która miała wypełniać puste przestrzenie we wszechświecie. W fizyce teoria eteru powstała pod koniec XIX w. wraz z rozwojem teorii elektromagnetyzmu (jego istnieniem tłumaczono np. rozchodzenie się fal świetlnych w przestrzeni kosmicznej), upadła pod wpływem szczególnej teorii względności Alberta Einsteina. [przypis edytor-ski]

## Powierzchnia Księżyca

Nie masz żadnej wątpliwości, że Księżyc był kiedyś ofiarą i widowiskiem okropnych wstrząśnień wulkanicznych. Większa część powierzchni Księżyca (przynajmniej ta, która dla naszego wzroku jest dostępna) jest potargana przepaściami i najeżona skalistymi górami, wysoko wyzierającymi ponad atmosferę Księżyca i dlatego pozbawionymi własności odbijania światła. Stąd też doświadczenia z siłą refrakcyjną<sup>26</sup> Księżyca tak są utrudnione, że je niełatwo sprawdzić; potrzeba na to promieni ukośnie i nie na wierzchołki gór, lecz w doliny pokryte atmosferą padających, potrzeba na to przede wszystkim gwiazd blisko przechodzących.

Kto raz w swym życiu miał sposobność sprawdzić spostrzeżenia astronomów pana Pompilio de Cuppis i pana Döllera i przekonać się o istnieniu atmosfery na Księżycu, ten zupełnie innym okiem spoglądać będzie na naszą nocną latarkę; ten się dziwić nie będzie, czemu wielu ludzi czuje niezwalczoną sympatię dla Se-

---

<sup>26</sup>refrakcyjny — związany z refrakcją, tj. załamaniem światła. [przypis edytorski]

lenitów, ukochanych naszych bliźnich, mieszkających na Księżycu, z których może kiedyś, z postępem fizyki, chemii i aeronautyki, ród ludzki, mieszkający na Ziemi, zrobi po prostu swych współpracowników.

Już nawet daliśmy nazwiska znaczniejszym górom na Księżycu i obrachowaliśmy ich wysokość, w porównaniu z górami naszego planety nadzwyczaj wygórowaną. I tak:

Góra Dorfel — wysoka jest na 26 610 stóp

Góra Newton — *ditto*<sup>27</sup> 26 257 stóp

Góra Casatus — *ditto* 24 131 stóp

Góra Curtius — *ditto* 23 691 stóp

Góra Kopernik — *ditto* 18 200 stóp

Już odkryliśmy na Księżycu morza burzliwe i spokojne, jeziora większe i mniejsze, wulkany ogniem buchające pośród jezior, a nawet coś na kształt lasów lub ogrodów. Z postępem sztuki optycznej, nieprzestającej z bogacać nas swymi wynikami, odkryjem więcej na ulu-

---

<sup>27</sup>*ditto* (z wł.) — jak wyżej, to samo. [przypis edytorski]

bionym trabancie<sup>28</sup> naszego planety i może już w tej chwili, kiedy spisujemy to, co do nas przeszło z światła zagranicznego, szczęśliwi sąsiedzi nasi, czerpiący naukę z pierwszej ręki, więcej wiedzą o selenografii.

## PRZEDMOWA

Księżyc, wierny naszego planety towarzysz, od najdawniejszych czasów zwracał na siebie uwagę mieszkańców Ziemi, a duch ludzki ułudnym przeczuciem nakłaniał się ku wierze, że jako wszędy w przyrodzie jest życie, to ono znajdować się musi i na sąsiednim nam ciele niebieskim. Wynikiem nieodzownym tej wiary było przypuszczenie na Księżycu istot myślących, a mnogie pozostałe ślady dowodzą, że już przed pięciu tysięcy laty mądrzy Egipcjanie lubili się pieścić tą ideą o sąsiadach księżycowych jak najulubieńszym kwiatem poezji.

Poeci żadnego narodu i żadnej religii o tym nie wątpili, że są ludzie na Księżycu, którzy

---

<sup>28</sup>*trabant* (daw.) — w średniowieczu: żołnierz należący do straży przybocznej monarchy lub jakiegoś dostojnika; satelita. [przypis edytorski]

do nas tęsknią tak jak my do nich, ale świat prozaiczny nie wierzył poetom i po otrzymanie stanowczej w tej mierze odpowiedzi udano się do astronomów. Odpowiedź, wbrew ogólnemu życzeniu i oczekiwaniu, wypadła przecząco i w tych słowach: „Księżyc nie ma atmosfery, a bez powietrza nie ma życia”.

Nielitościwy ten wyrok nauki zburzył najmilsze rozkołysanej wyobraźni rojenia.

Lecz uczuciowi ludzie nie mogli się wyrzec niepowrotnie owych ponętnych marzeń o pobratymcach na tym ciele niebieskim, które tak mile przyświeca młodości naszej i jest powiernikiem naszych najskrytszych myśli, uczuć i czynów.

Szczęściem, że nad uczonych pedantów są jeszcze uczeńsi obserwatorowie i że tym czasem optycy wynaleźli doskonalsze instrumenty.

Na dwóch odległych punktach Ziemi pracowali jednocześnie dwaj szlachetni astronomowie nad dowiedzeniem ludzkości niezbitymi dowodami, że Księżyc posiada atmosferę, że skład naturalny Księżyca podobny jest do



naszego planety i że można tam przypuszczać zbliżony do naszego byt organiczny.

Tymi uczonymi byli pan Pompilio de Cuppis w Ferrarze i pan Döller w Połtawie.

Bóg raczył pobłogosławić ich pracy.

Już nie ma wątpliwości, że Księżyc posiada atmosferę, rzeki, morza, góry, wulkany, a zatem zapewne i wegetację, zwierzęta i ludzi.

My sami, którzy ogłaszamy ten opis podróży odbytej na Księżyc przez ziomka i kolegę, już od bardzo dawna wiedzieliśmy, że Księżyc ma atmosferę i istoty rozumem obdarzone w niej mieszkające a wiedzące, że my istniejemy i do nich tęsknimy, i jeśli wstrzymaliśmy się z ogłoszeniem tej podróży, to tylko dlatego, żeśmy chcieli, żeby tymczasem surowa nauka dowiodła możliwość ludzi na Księżycu.

Teraz dopiero wystąpić możemy z ogłoszeniem wycieczki odbytej przez lekarza polskiego, jeszcze żyjącego, wcale się nie wystawiając na czynione nam nieraz przez czujnych i nieprzychylnych krytyków zarzuty, jakobyśmy naszymi podróżami naokoło Ziemi, w obłokach

i na Księżycu urągali się z łatwowierności publicznej.

Najnowsze wydoskonalenia żeglugi nadpowietrznej, dają śmiałym turystom nadzieję bezpośredniego osiągnięcia Księżyca i porozumienia się bliższego z jego zacnymi mieszkańcami. Pan Gavarni<sup>29</sup> zaręcza, że byle miał powietrze w aparacie do oddychania, będzie się mógł swoim balonem na inne dostać planety, a najłatwiej na nasz Księżyc, odległy tylko o mil pięćdziesiąt tysięcy. Przyjąwszy bieg balona, tak jak to już obliczono w podróży pana Gavarni do Algieru, po trzynaście mil na godzinę, potrzeba by tylko niespełna roku na przeprawę do Księżyca i na przekonanie się, czy istotnie pan Cyrano de Bergerac i doktor Serafin Boliński na nim przebywali.

Warszawa, dnia 12 lutego 1867

Dr T. T.

---

<sup>29</sup>Gavarni zaręcza, że byle miał powietrze w aparacie do oddychania, będzie się mógł swoim balonem na inne dostać planety (...) — Kto przeczytał z uwagą naszą *Maskarada w obłokach, czyli podróż nadpowietrzną nad Morze Północne*, wyszła dwa lata temu w „Gazecie Codziennej” i osobno w Wilnie, ten przyzna, żeśmy przewidzieli i przepowiedzieli wynalazek pana Gavarni. [przypis autorski]

# PODRÓŻ NA KSIĘŻYC ODBYTA PRZEZ LEKARZA POLSKIEGO

## I. Przeprowa z Ziemi na Księżyc

Uniesiony nad Ziemię w pół odurzonym stanie przez długi czas nie widziałem nawet, co się ze mną dzieje; tylko jakieś uczucie lubości, często mnie owładające i we śnie, gdy myślą przelatuję po niebieskich przestworach, towarzyszyło mi i wzmagalo się w miarę, jakem się oddalał od padolu ziemskiego, na którym tyle złego doznałem. Smutki, troski i kłopoty zlatowały ze mnie równocześnie z płatami mego ziemskiego ubioru, tak jak gdyby skutkiem tarcia o atmosferę otaczającą Ziemię. Z każdą chwilą robiło mi się lżej na ciele i na sercu i myśl, wprzódy ciężko się wlekąca po Ziemi, tak jak żółw po piasku, zaczęła bujać z każdą chwilą swobodniej w eterycznych przestworach, a nareszcie znękana uczuciem, dawno niedoświadczanym, własnego szczęścia, usnęła w słodkiej

wiedzy, że się przebudzi jeszcze szczęśliwiej, do jeszcze miłszej rzeczywistości.

Nie mogę powiedzieć, jak długo trwał ten stan lubego odrętwienia, czyli<sup>30</sup> raczej jak długo mi się zdawało, że trwał; czy to była chwila czy wiek cały, tego nie wiem; nie pragnąłem przebudzenia i nie lękałem się jego, żyłem jednostajnym uczuciem szczęścia niewiadomego mi z przyczyn, krążąc, jak mi się zdawało, około siebie i w własnej swej atmosferze, tak jak atomik niebieski, zbliżając się jednakże do jakiegoś niewidzialnego centrum, ale nic nie widząc i nie pragnąc żadnego widoku...

Potem zaczęła się znów inna faza istotności: zmysły powoli przebudzały się ze snu jeden za drugim. Naprzód słuch wstępować zaczął w życie, uczuciem jakichś harmonii brzmiących jednostajnie z matematyczną regularnością i tak lubych, pięknych jak wibracje tysiąca diamentowych dzwonów zawieszonych na kopule nieba.

---

<sup>30</sup>*czyli* — tu: czy też, lub też (daw. konstrukcja z partykułą -li). [przypis edytorski]

Następnie ocknął się wzrok, uczuciem miłego niebieskawego światła napęlniającego duszę anielskim pokojem i tak rzewną pobożnością, że ręce złożyłem do modlitwy i pławiąc się w słodkim lazurze, śpiewałem hymn dziękczynienia.

Miliona heliotropów zapach i uczucie czystych anielskich pieśczoł rozeszły się po całym ciele moim i całkiem je przejęły wonią i miłością do wszystkiego, co było, co jest i co będzie. Z białej aksamitnej skóry mojej pryskały miłe iskierki elektryczne, niby brylantowe bąbelecзки, a za każdym potarciem rąk sypały się iskrzące ognie ulatujące w kształcie miłych śpiewających koliberków w przestrzeń.

Z zachwytu przelatywałem w zachwyty. Jutrzenka się ukazała i całe obłoki z rubinów i róży przelatywały około mnie, witając z serdecznym uśmiechem po imieniu:

— Witaj! Witaj, gościu Serafinie, pomiędzy duszy twojej braćmi!

Potem znów nastąpiła ciemność, tylko pod sobą zoczyłem dużą jak całe województwo, świe-

cącą gwiazdę, na której powierzchni roily się w kształcie barw w kalejdoskopie światła, barwy, głosy, zapachy, czucia i smaki.

Inna gwiazda daleko mniejsza, lecz świetna jak argandzkie<sup>31</sup> światło, krążyła około tej wielkiej gwiazdy, która ciągle się powiększając, traciła na blasku i nareszcie rozplynęła się w nieodścigłym dla oka widnokręgu, w ciemnych obszarach nocy. Tylko miriady świec, lamp i krążących latarni zajaśniały na ciemnym widnokręgu pode mną.

Już teraz pojąłem, że jestem w atmosferze otaczającej jakąś planetę.

— Ach Boże! Może to Ziemia, na której się rodziłem i tylu zmartwień doświadczyłem! — zawołam, składając ręce do pacierza i zalewając się gorzkimi łzami.

Nie! To nie była Ziemia!

---

<sup>31</sup>*argandzkie światło* — światło lampy argandzkiej (a. astralnej), której nazwa pochodzi od nazwiska szwajcarskiego mechanika Arganda z końca XVIII w.; ulepszył on lampę olejową, wprowadzając pusty wewnątrz, walcowaty knot zamiast wcześniejszego knota litego, co spowodowało, że lampa świeciła jaśniejszym, bardziej stałym płomieniem. [przypis edytorski]

Słyszę w powietrzu głos jak gdyby człowieka, czyli<sup>32</sup> raczej żołnierza, komenderującego wojskiem. Słyszę huk bębna i wrzaskliwy głos trąbki. Nadbiega jakiś hufiec żołnierzy w seledynowych mundurach z różowymi wyłogami, w szklistych hełmach, z błyszczącymi karabinami i pałaszami. Oto patrol żandarmerii, nie pieszej, nie konnej, lecz skrzydlatej, takiej jakiej u nas nie ma i nie było.

Spostrzegli mnie i wołają; zapewne pytają: „kto leci?”.

Ja odpowiadam na chybił trafił: „swój”.

Oni jeszcze wołają, zapewne mi kazały zatrzymać się, ale ja przy najlepszej woli nie mogę się zatrzymać i ciągle spadam z szaloną szybkością na dół, ku jakiemuś padołowi, na którym rozeznaję teraz morza, góry, pola, piaski, jeziora, a nawet już miasta, wsie i rzeki.

Puszcza się za mną skrzydlaty patrol, ale dopędzić mnie nie może.

---

<sup>32</sup>*czyli* — tu: czy też, lub też (daw. konstrukcja z partykułą -li). [przypis edytorski]

Więc komendant kazał dać ognia za uciekającym. Myślałem, że mnie w drobne kawałki kule rozniosą, gdy zagrzmiały, jak orzech zgryzł, wszystkie karabiny razem.

Gdzie tam! Obsypali mnie białymi liliami od stóp do głów i na tym koniec, zaniechali pogoni.

O tak grzecznej żandarmerii nie miałem wyobrażenia.

Potem widziałem innych skrzydlatych ludzi krążących tu i ówdzie, w różnych kierunkach, samych lub w towarzystwie. Cały hufiec skrzydlatych dziewcząt wracał jak się zdaje ze szkoły do domu, pod pachą bowiem miały kajety i książki, a tak szwargotały ciągle i głośno jak u nas. Tylko innym, dla mnie niezrozumiałym mówiły językiem.

Potem znów ryby różnej wielkości przesuwały się po powietrzu. Jedne były tak duże jak jesiotry i na nich siedzieli pojedynczo starzy lub kobiety dostojnej tuszy, którym widać siła skrzydeł nie wystarczała, i na innych znów, dużych jak wieloryby, siedziało po kilkudziesię-



sięciu ludzi różnej płci, rozmaitego stanu i wieku, pomiędzy którymi byli i ludzie bez skrzydeł, nędznie w długie suknie ubrani, po większej części z brodami. Widać, że te wieloryby były rodzajem omnibusów<sup>33</sup>, popychanych kilkunastu skrzydłami z płótna; ludzie zaś kierujący tymi omnibusami musieli ciężko pracować siłą własnych skrzydeł.

Wszystko to tylko się migąło przed moimi oczyma, leciałem pionowym kierunkiem ku jakiemuś padołowi i kilka razy o mało co nie zawadziłem o owe ryby.

Wreszcie spostrzegłem wyraźnie, że spadam na jakieś duże, okazałe i rzęsisto oświetlone miasto i że okna wszystkich domów tego miasta wychodzą na dach, tworząc nie do opisanania pyszną łunę światła.

Teraz zacząłem naprawdę myśleć o swym karku i ciężkim westchnieniem poleciałem się

---

<sup>33</sup>*omnibus* (łac. dosł.: dla wszystkich) — dawny środek komunikacji (XVII–XIX w.), duży, kryty pojazd konny o wielu miejscach, kursujący w miastach lub między miastami. [przypis edytorski]

Bogu. Doszedł mnie natychmiast głos z padolu, jak gdyby przez tubę marynę<sup>34</sup> wypchnięty:  
— Nie bój się niczego, Serafinie!

Natychmiast też jakaś siła odpychająca, działając przeciw sile przyciągającej, zwolniła mój bieg tak skutecznie, że z każdą chwilą wolniej spadałem. Nareszcie tak leciuchno szybowałem przez warstwy powietrzne, że wszelka obawa ustąpiła z mej duszy i przypatrzeć się mogłem swobodnie temu, co się pode mną na ulicach miasta działo. Ludzie krążyli po nich piechotą, pomagając sobie w biegu skrzydłami, tak jak strusie.

Pode mną w środku wielkiego ogrodu wielki gmach z dużą wieżą, pokrytą kopułą z jednego kawała szkła. W tym obserwatorium siedział jakiś skrzydlaty jegomość, w szlafroku i ze

---

<sup>34</sup>*tuba maryna* a. *tubmaryna* (z łac. *tuba*: trąba, *marina*: morska) — trąba anielska; historyczny instrument smyczkowy, popularny w średniowieczu i renesansie, używany do poł. XVIII w., zaliczany do chordofonów; złożony z długiego, wąskiego pudła rezonansowego, na którym zamocowano progi i wzdłuż którego biegła jedna struna; jego charakterystyczny dźwięk przypominał brzmienie trąbki. [przypis edytorski]

szlafmycą<sup>35</sup> na głowie, i spoglądał na mnie w powietrze, dając mi rękoma i skrzydłami oznaki radości i przychylności.

Nareszcie kopuła szklana odsunęła się jak na osi bocznej od wieży i ja zstąpiłem wolno i wygodnie.

## 2. Dom doktora Gerwida na Księżycu

— Witajże mi, Serafinie, synu Ziemi, na gruncie Księżyca i w mieszkaniu twego przyjaciela, doktora Gerwida — rzecz w polskim języku, z rozjaśnioną twarzą ów jegomość, przyciskając mnie rękoma i skrzydłami do serca, z radości bijącego.

Mnie samemu wystąpiły łzy z radości, słysząc moją mowę rodzinną i z tak szczerą serdecznością będąc powitany<sup>36</sup>. Zdawało mi się, że znam tego czerstwego staruszka od lat ty-

---

<sup>35</sup>*szlafmyca* (z niem.) — nakrycie głowy zakładane na noc, do snu. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*Mnie samemu wystąpiły łzy (...), słysząc moją mowę rodzinną i (...) będąc powitany* — dziś błąd składniowy ze wzgl. na niezgodność podmiotów; popr. np.: „Mnie samemu wystąpiły łzy z radości, gdy usłyszałem moją mowę rodzinną i z tak szczerą serdecznością zostałem powitany”. [przypis edytorski]

siąca, a przecież po pierwszy raz w życiu go widziałem.

— Ach przecież, przecież! Od tylu lat tu cię przyciągam wszelkimi fizycznymi i chemicznymi sposobami i dopiero teraz udało mi się cię sprowadzić — rzecze dalej mieszkaniec Księżyca, sadzając mnie na kanapie i podając szlafrok i pantofle, abym się oblókł.

Teraz dopiero spostrzegłem, że żadna część ubioru na mnie nie pozostała i niemało się zawstydzilem.

Zaraz też mój gospodarz, widząc mnie zażenowanego, przykrył wieżę kopułą i zaciągnął na nią pokrycie z woskowanego płótna.

Jeszcze nie mogłem przemówić słowa ze wzruszenia, gdy naraz spostrzegłem, że razem z ubiorem zgubiłem miniaturę Malwiny zawieszoną na szyi mojej<sup>37</sup>.

Zacząłem płakać, lamentować i narzekać wniebogłosy, i przedstawiać gospodarzowi, że się

---

<sup>37</sup>*miniaturę Malwiny zawieszoną na szyi mojej* — popularny w XVIII i XIX w. zwyczaj praktykowany przez zakochanych. [przypis edytorski]

bez tej miniatury żadnym sposobem obejść nie mogę.

— Dobrze, dobrze mój Serafinie, ta miniatura będzie ci z pewnością wrócona, jeśli jej żądasz, za godzinę — odpowie mi doktor Gerwid, z wyrazem uczciwym w twarzy i skrobiąc się skrzydłem cokolwiek kłopotliwie po głowie, już cokolwiek szpakowatej. A i skrzydła miał także szpakowate, w niektórych miejscach już siwe.

— Czy za godzinę zażądam mej miniatury, jedynej rzeczy przypominającej mi od lat siedmiu, że kiedyś byłem szczęśliwy i kochany na tej ziemi, która mi potem, wskutek zawodów i zmartwień, tak zbrzydła??... Kolego! Czymże zastąpić zdołam tego świadka ubiegłych uniesień, tyle mi nadziei rokujących? Ciągłe i bezprzestannie tęsknić będę do mej miniatury i pokoju ci nie dam ani na chwilę; ty wiedzieć musisz, gdzie się podziała w ciągu tej podróży z Ziemi na Księżyc.

— Może i wiem, mój bracie Serafinie, i nie chciałbym cię obedrzeć z tego, co ci najmniej-

szą przyjemność sprawić może na Księżycu. Lecz przede wszystkim opowiedz mi, kolego, chociaż w krótkości, życia twego na Ziemi spędzonego koleje...

— Jak to? Ranę jeszcze niezagojoną chcesz rozrywać doktorze?

— By z niej wyrwać grotu zatrutego jeszcze pozostałe ułamki; rana zagoi się potem sama z siebie, na zawsze.

— Jakoś przekonująco brzmią twoje rady, o miły, skrzydlaty kolego; niechże więc tak będzie, zdobędę się na odwagę i raz jeszcze myślą wrócę do ubiegłych na padole ziemskim czasów, których ślady pozostały mi w duszy, tak głęboko wyryte.

### 3. Opowiadanie doktora Serafina

— Urodziłem się w Polsce, w małym, lecz przedziwnie położonym mieście, dzieckiem tak słabym, że mi ani lekarze, ani doświadczone sąsiadki, długiego nie rokowały życia. Wzrastałem w uczuciu własnej bezsilności, bolejąc i ból zadając rodzicom, i już w kolebce, w któ-

rej długo pozostawałem, przykrość mej istności uczułem dotkliwie.

Tęskniłem do śmierci; nie! nie do śmierci tęskniłem, tylko do innego życia, bo zdaje się, że już w niemowlęctwie wierzyłem w wieczność duszy, którą Bóg mi wlał, *mnie*, o nią nieproszącemu, lecz w posiadaniu jej uporczywie trwać chcącemu.

Potem wiedziałem już, co jest śmierć: mojego małego braciszka Ignasia wywieźli w trumience i już nigdy nie wrócił, a ja płakałem długo i tęskniłem do niego...

Wzrastałem jak owa zagraniczna roślina, dla której miłość i starania rodziców były cieplarnią, i długo, długo pasowałem się ze szkodzącymi wpływami Ziemi; dopiero coś w szóstym roku życia, po pierwszy raz na własnych nogach, w towarzystwie ojca wyszedłem do naszego pysznego parku i uczułem się wśród drzew okazałych, otulony ciepłym powietrzem wiosny.

— Czemu płaczesz, Serafinie? — spyta ojciec, widząc łzy w moich oczach.

— Bo mi miło, ojcze, tak miło, jak nigdy w życiu nie było; ach te liście, te kwiaty, ten zapach i to ciepło! Jakże to wszystko miłe i piękne! Czy tak zawsze pozostanie ojcze?

— Nie, mój synu! Wszystko się zmienia na tej ziemi, rozkosz nigdy długo nie potrwa na niej, ale jej uczucie powraca, i kiedyś później, na innym świecie, nigdy z duszy naszej nie zniknie.

Uwierzyłem w zdanie ojca, który nigdy nie kłamał, i słowa jego wryły mi się na zawsze w serce.

Moim pierwszym nauczycielem był bakałarz, filozof naturalny, ubóstwiający przyrodę i przy tym poeta, wykładający nawet tabliczkę mnożenia w obrazach. Przedziwny to był człowiek, doktorze Gerwidzie; to prawdziwy ojciec mego rozumu...

— A jak się nazywał ten twój pierwszy nauczyciel, którego tak mile wspominasz? — spyta mój gospodarz rozczulony do łez, nie wiem czemu, i ściskając mnie z rzewnością.



— Nazywał się Edwiger — odpowiadam także z łzami w oczach.

— To to jakieś nazwisko nie po sławiańsku brzmiące, o ile tu znamy z języków Ziemi — zarzuci doktor.

— Istotnie był on cudzoziemcem, ale szczerze pokochał kraj, w którym znalazł pracę, chleb i szacunek. Niestety, nie pozostał w nim długo! Umarł w moich rękach na astmę, nauczywszy mnie w cztery lata podstawy gruntownej kilku języków i nauk przyrodzonych. Tak jest, doktorze, umarł w moich ramionach, przygotowawszy mnie na śmierć swoją i zapewniając mnie, że się kiedyś ujrzemy w lepszym świecie, zapewne na Księżycu, do którego przez całe swe życie tęsknił. O! Będę go szukać po całym Księżycu i niezawodnie go znajdę.

— Alboż to ludzie przenoszą się po śmierci z jednej planety na drugą, tak jak panu Cyrano de Bergerac lub tobie, doktorze Serafinie, udało się przenieść za życia? — zarzuci mi Gerwid, ruszając ramionami.

— Ba! Musi to być jednakże prawda, mój dobry nauczyciel Edwiger nie chciałby mnie zawodzić; a potem słuchaj dalej, a przekonasz się, że najlepsi moi przyjaciele niestety poumierali i obiecywali, że się kiedyś z nimi połączę, zapewne na Księżycu. Po stracie mego dobrego nauczyciela dostałem zapalenia mózgu i o mało co nie umarłem. W majaczeniach moich ciągle utrzymywałem, że widzę braciszka Ignasia u starego Edwigera na Księżycu. Gdym wrócił cokolwiek do zdrowia, zacny przyjaciel i dawny kolega palestrowy mego ojca, pan Andrzej Poset, szlachcic kontuszowy, do korda i do hajdy, jak to mówią, uwiózł mnie z sobą na wieś i kształcić kazał swemu dawnemu towarzyszo- wi, staremu panu Swidwie, w jeździe konnej i w używaniu broni siecznej i palnej. Zmusił mnie do zupełnej zmiany trybu życia, książki poszły cokolwiek na bok, górą jazda, polowanie, kuligi, tańce, a nawet w potrzebie i toasty. Spodobał mi się na koniec ten sposób życia, wskutek którego siła, odwaga i nigdy nie- doświadczona wesołość wstąpiły w ciało moje,

dawniej tak wiotkie i słabe. Dzielny, bogobojny, a przy tym wesoły, dzieci nadzwyczaj lubiący, a na łacinie mocno kształcony, pan Andrzej był moim bożyszczem, w którego się wpatrywałem jak młodzian ateński w Platona. Swidwa zaś, stary, nieuczony, ale rzeźwy, przebiegły, do wszystkich psich figlów zawsze gotowy olbrzym, był moją wyrocznią, z którą dzień w dzień po parę godzin na polowaniu spędzić albo przynajmniej przegadać koniecznie musiałem. Z szlachetnym jegomością o historii kraju i o wojnach, i to najczęściej po łacinie, z starym towarzyszem o polowaniu, stawianiu sideł, o psach, koniach i jastrzębiach po polsku, ale taką polszczyzną, mospanie, jakiej już od dawna nie słyszę, jakiej się tajemnica może już na zawsze zatraciła...

Nie mogłem mówić dalej, coś mi grdykę jak kleszczami ścisnęło. Gerwid mnie owiał swoimi skrzydłami i drżące ręce mi uściskał.

— Rok cały tam u nich przesiedziałem, kochany, pielęgnowany, bawiony. Boże drogi! Tak dobrze nigdy i nigdzie mi nie było; jeden

starzec wyrywał mnie drugiemu, strzegli mnie jak dwie kokosze kaczuchy przez się wysiedziały, a radej się puszczać na wzburzoną sadzawkę. Ale ojciec przyjechał i widząc mnie silnym i zdrowym jak nigdy, zagnał mnie do szkoły wojewódzkiej na gramatykę grecką, aby sobie odświeżyć nauki od alfy do omegi. Wielki był lament po moim odjeździe w domu pana Posta, a stary Swidwa...

Znowu mi kurcz gardło ścisnął, aż gorycz w usta wstąpiła.

— I cóż Serafinie?... stary Swidwa?...

— Może nie uwierzysz, skrzydlaty doktorze?... Stary Swidwa umarł z tęsknoty do mnie, a przed śmiercią kazał mi powiedzieć, że się zobaczymy kiedyś, może na Księżycu. O, dobrodzieju, musi tu być gdzieś i stary Swidwa w pełni Księżyca. Nie wiem, czy to było we śnie czy na jawie, czy też w stanie snojawy, widywałem nieraz starego Swidwę z Ignasiem i z Edwigerem, tego mi nie wygadasz z myśli.

— A cóż do diabła, z samymi tylko lunatykami się łączyłeś! — krzyknie Gerwid oczywiście wzruszony i nadrabiając minę.

— Swój swego szuka, ojcie Gerwidzie. Cóż jest sympatia? To pociąg tajemny, z przyczyn nam niewiadomy, lecz te przyczyny istnieć muszą; Bóg je zna dobrze i Jego aniołowie także. Ale, dobry mój gospodarzu, przyznać ci cię muszę, iż się czuję cokolwiek wycieńczony...

— Ach! Może byś się czym pokrzepił? Dobrze, i owszem; zaraz ci służyć.

Mówiąc to, doktor wydobył z paczki szmaragdowej małą trociczkę<sup>38</sup>, zapalił ją i postawił przede mną.

— To nazywasz pokrzepieniem? Jak to, u was nie piją wina? — spytam zadziwiony.

— To jest trociczka wydająca najczystszy kwasoród, czyli tlen, jak go tu nazywamy; to tak dobrze, jak gdybyś wypił butelkę najlepszego szampana. Tylko poczekaj chwilkę; może ci w głowę zajdzie, bo to strasznie mocne, ale

---

<sup>38</sup>*trociczka* — kadzidło. [przypis edytorski]

tym lepiej, opowiesz mi dalszy ciąg twojej historii w mniej smutnym tonie...

— Ach! Dalibóg prawda! Czuję się w istocie bardzo pokrzepiony; jakoś mi się weselej i milej robi na sercu. Bogu dzięki! Bo to, co mam do opowiedzenia, to diabelnie smutne. Ha! Miłość! Rozpacz!

#### 4. Miłość. Rozpacz

— No, dalej mój gościu: elegię na takt szalonego alegretta! *Pereant qui crastina curant!*<sup>39</sup>

— krzyknie Gerwid, a ja wstałem z krzesła i przechadzając się po pokoju, rzekłem:

— Ha! Niechże i tak będzie, zresztą nie może być inaczej, bo się czuję pijany. Więc jestem w szkołach wojewódzkich, nieprawdaż? Za wcześnie na świat przybyłem i wszystko w moim życiu przedwcześnie poczynałem i kończyłem. Ba! Otóż w szesnastym roku życia, kończąc szkołę, pokochałem się na zabój w najpiękniejszej pannie, jaka lękając się, żebym ją zdradził, po-

---

<sup>39</sup>*Pereant qui crastina curant!* (łac.) — Niech przepadną ci, co się troszczą o jutro! (cytat z Wergiliusza). [przypis edytorski]

mimo tortur, które mi potem prawie swawolnie zadawała, może umyślnie, by się paść widokiem męczarni moich. Nie! Nie dlatego! Umyślnie na to, by się rozkoszowała widokiem mocy mej duszy. A potem, w chwili, gdy miała pójść za niego, za tego, co się mienił być przyjacielem moim... wiesz, co się stało, skrzydlaty Gerwidzie, co siedzisz jak Pytia<sup>40</sup> na swym trójnogu i wlepiasz we mnie ślepie, drgając twarzą jak stary zajac; wiesz, co się potem stało? Otóż nie powiem ci jeszcze nic z tego, aż zapalisz przede mną dwie trociczki, aż się zbydlę twoim tleniem jak cztery... Do tysiąca rac kongrewskich i batalionów! Słuchaj! Z uniwersytetu wysłała mnie do wojska, na wojnę, aby mogła pójść za niego, co stchórzył i pozostał w domu. Ale był hrabią i bogatym, i wyrosłym, dużym... Ja nic o tym nie wiedziałem, ale powiadam ci: nic! Zgiełk, wrzawa, marsz, kontrmarsz, bitwa, paf! Leżę na ziemi z zdruzgotaną kością u nogi. Szpital, operacja, tyfus.

---

<sup>40</sup>*Pytia* — kapłanka świątyni Apollina w Delfach w starożytnej Grecji, słynąca z niejasnych przepowiedni, które wygłaszała, siedząc na trójnogu, wśród dymów i oparów wydobywających się ze skalnej pieczary. [przypis edytorski]

Rekonwalescencja po lazaretach, rozumie się. Żadnej wiadomości ani z domu, ani od Malwiny. Szpital w Montpellier. O, dobrzy lekarze! Co począć z sobą? *Diable!* Na medycynę chodzić, naturalnie. Półpiąta<sup>41</sup> roku pracy, a żadnej wiadomości stamtąd. Chiński mur, dobrodzieju! Z beretem doktorskim na głowie, z próżnią w kieszeni, dalej do miejsciny Delfinatu na praktykę. Żadnego tam człowieka, tylko jeden: Benjamin Elleviou, nieszczęśliwy, miły, słabowity i tęskny, sam nie wie do czego, na honor sam, nie wie do czego, do kobiety, której nigdy nie widział oczyma ciała, tylko oczyma duszy widzi co noc we śnie. Tak mi się zwierzył nareszcie i utrzymuje, że tak pięknej kobiety nie ma na świecie. Ha! Beniaminie Elleviou! Pokażę ci piękniejszą niż twego urojenia płód. Miniaturę mej Malwiny zawsze na piersiach nosiłem. Spojrzyj na ten obraz! On krzyczy: „To ona! To ona, snów moich wcielenie!” Pada, omdlewa, konwulsji dostaje. On pyta: „Gdzie ona?” „W Polsce, jeśli

---

<sup>41</sup>*półpiąta* (daw.) — pięć bez połowy; cztery i pół. [przypis edytorski]



żyje; lecz może nie żyje, bo od lat pięciu, gdy Księżyc w pełni, ona mnie się ukazuje z Ignasiem, z Edwigerem, z Swidwą, a nawet z Panem Andrzejem, po stan w kuntuszu”. On krzyknie: „Pisz do nich!”. „Ileż razy pisałem, nigdy żadnej odpowiedzi”. „Pisz! List prześlę pocztą, odpowiedź będzie niezawodnie, jeśli choć kto z twoich przy życiu pozostał”. Piszę i otrzymuję odpowiedź. Gerwidzie, jeszcze dwie trociczki tu przede mną! Tak jest! Ona umarła na chwilę przed ślubem, w sukni ślubnej, jaką się przedstawiała mnie w snojawie i Beniaminowi we snach. Beniamin uszczęśliwiony wkrótce potem umiera, mówiąc, że na Księżycu spotka się z Malwiną. Mnie obwiniają o przyczynę jego śmierci, unikają mnie jak wampira. Ja sam myślę, że jestem wampirem albo przynajmniej aniołem śmierci. Bieda! Głód, tak, głód, ojcie Gerwidzie, głód w Delfinacie, pomiędzy cudzoziemcami, którzy pragną, żebym sobie poszedł precz, bom zabił dobrego Beniamina. Zawlokłem się na grób jego w nocy i tam... Panie! Nie wiem, czy z rozpaczy czy z głodu: umar-

łem. Teraz tu jestem i szukam tych wszystkich, co umarli i których ja Kocham. Muszą tu być, Gerwidzie, wskaż mi do nich drogę, boś ty czarnoksiężnik i wiedzieć musisz wszystko, co się u was dzieje, kiedy ci znane tajniki odległej planety ziemskiej. Ach, zlituj się! Gdzie moja miniatura? Gdzie Malwina?

Wycieńczony padłem na krzesło.

### 5. Kąpiel zapomnienia

Długo doktor Gerwid, wpatrując się czule i bystro w oczy gościa swojego, przemyślał, a nareszcie, bijąc się z radości skrzydłami w głowę, rzekł:

— Aha! Wiem, czego ci potrzeba, mój młody, nieszczęśliwy synu Ziemi, trzeba ci przede wszystkim kąpeli w *aqua oblivionis*, to jest w wodzie zapomnienia. Po cóż pamiętać te wszystkie martwiące ciosy, które cię spotkały na Ziemi? Wyrzuć je z pamięci, inaczej niewiele skorzystasz z twego pobytu na Księżycu.

— Czyż to pomoże, taka kąpiel w wodzie zapomnienia, przeciw wspomnieniom zebr-

nym w ciągu lat dwudziestu sześciu? — zarzucę doktorowi.

— Dwudziestu sześciu? — zawoła Gerwid i doda z dowcipnym uśmiechem: — A ile lat strawiłeś w ciągu tej podróży z Ziemi do Księżyca?

— Chwilę tylko — odpowiadam i rozliczywszy się z wrażeniami tej podróży, dodałem: — Ale ta chwila potrwała może ze sto lat, a może i więcej...

— Może nie daleki jesteś od prawdy, mój panie Serafinie; ale, bądź co bądź, kąpiel w wodzie zapomnienia potrzebna ci, przecież nie lękaj się tego środka pozbycia się choć na czas niejaki pamięci twych dawnych kłopotów.

— Bynajmniej! Sam jestem lekarzem i nie wierzę w jej skuteczność: ale kąpiel zawsze dobra po takiej podróży.

— Więc dalej, oto woda w szklanej wannie, zaraz do niej naleję esencji zapomnienia.

Wstąpiłem w kąpiel, zrzuciwszy szlafrok i pantofle.

Skrzydlaty doktor otworzył swą apteczkę wmurowaną w ścianę i wydobył z niej butelkę z przezroczystym, bezkolorowym płynem, którego wlał kwaterkę do kąpieli.

— Z czego się składa ten płyn, zwany esencją zapomnienia? — spytam.

— Z serc baletniczek, z mózgu wziętych lekarzy, leczących po kilkaset pacjentów na dzień, z policzka szulerów, z języka dentystów, z sumienia sprzedajnych sędziów, z łez bigota, z żołądka kaczkę i z uczuciowości kury. Naturalnie, że wszystko to należycie wymoczone w spirytusie, dystylujemy i filtrujemy.

— Wybornyś mi, mój kolego, z tą apteką dynamiczno-psychologiczną — rzeknę, śmiejąc się do rozpuku.

— To jednakże środek niezawodny — odpowie gospodarz.

— I to ma mi wyrugować z pamięci wrażenia, które mi się klinem wbiły w duszę?

— Wyruguje. U nas sztuka lekarska daleko zaszła, tak jak w ogóle wszystkie sztuki. Zaraz cię o tym przekonam. Patrz na ten glo-

busik, wiszący u sufitu na cieniutkim druciku. Zgadłbyś, że to zegar mówiący i odpowiadający na pytania? Spytał go się w języku, którym my przemawiamy w naszym kraju, o godzinę, a zobaczysz, co nastąpi.

Istotnie skrzydlaty doktor zwrócił się do globusika i przemówił kilka wyrazów dla mnie niezrozumiałych.

Globusik natychmiast odpowiedział kilka wyrazów, także dla mnie niezrozumiałych, dźwięcznym i miłym głosem.

— To znaczy, że jest trzydzieści i siedem minut na dziesiątą<sup>42</sup> — rzecze Gerwid — później się nauczysz z łatwością naszego języka i będziesz mógł sprawdzać sto razy na dzień dobroć tego zegarka. Nie ma w tym żadnego cudu. U nas akustyka daleko zaszła. Telegrafy elektryczne u was dopiero od lat kilku zaprowadzone, już są od dawna zarzucone u nas. Wibracjami powietrza, za pomocą metalowego przyrządu uderzonego przez głos, dowodzimy tych

---

<sup>42</sup>trzydzieści i siedem minut na dziesiątą (daw.) — dziś: trzydzieści siedem minut po dziewiątej. [przypis edytorski]

fizycznych cudów i do przesyłania wiadomości już nie potrzebujemy drutów. Przecież znasz telegrafy elektryczne?

— Telegrafy elektryczne? Zdaje mi się, że kiedyś wiedziałem, co to jest, to coś takiego ni-  
by poczta, ni-  
by iskry... — odpowiem, nie mo-  
gąc z pewnością przypomnieć, co właśnie jest telegraf elektryczny.

— Aha! Kąpiel już zaczyna skutkować —  
powie, uśmiechając się, doktor i dalej rozpo-  
wiada mi o postępie fizyki na Księżycu, mia-  
nowicie o fotografii, malującej w okamgnie-  
niu kolorami mieszkańców Księżyca, przelatu-  
jących po powietrzu.

— Wystaw<sup>43</sup> sobie, że każdą pannę, polku-  
jącą po powietrzu, możemy przenieść na płót-  
no w wielkości naturalnej, i to kolorami — za-  
ręczał Gerwid i pytał mnie się, czy i u nas panny  
jeszcze tańczą polkę.

— Nie przypominam sobie — odpowiem.

— A są u was ładne kobiety?

— Zdaje mi się, że są.

---

<sup>43</sup>wystawić sobie coś (daw.) — wyobrazić sobie coś. [przypis edytorski]

— Kochałeś kiedy kobietę?

— Kochałem.

— A jakże jej na imię było? — spyta gospodarz z napiętą uwagą, ale niby to nawiasem.

— Malwina — odpowiem od razu.

— O, zanadto mało esencji serca baletniczki w tej kąpieli, muszę jej dolać, a wkrótce zapomni imienia swej zubóstwionej — rzecz skrzydlaty doktor i wylał w kąpiel cały swój zasób esencji, nim zdołał wygładzić z pamięci imię kochanki.

Potem mnie spytał o me własne imię.

Nie potrafiłem mu na to odpowiedzieć, istotnie zapomniałem, jak się nazywam.

Zresztą wszystkiego tyającego się mego życia na Ziemi zapomniałem i przykrego doznałem uczucia, bo myśl moja błąkała się w próżni mej duszy, tak jak biedny wędrowiec w Saharze. Tylko to wiedziałem, że w tej ogromnej puszczy jest jakaś piękna oaza, zwana Polską; lecz gdzie leży? I jak jest daleka? O tym najmniejszego nie miałem wyobrażenia. Bez-

wiedzowość jest to puszcza<sup>44</sup> w głowie, w sercu i w duszy.

— Wyrwij mnie z tego okropnego stanu, przeklęty czarnoksiężniku, bo się uduszę! — krzyknąłem na gospodarza, przyskakując do niego z pięściami.

On tylko machnął skrzydłami i wskazał mi na mą własną głowę, a na niej stojąc, śmiał się do rozpuku, zupełnie jak opętany.

— Myślisz, że cię w tym stanie pozostawię, kochany mój przyjacielu, odebrałem ci pamięć przeszłości, ale pojętność twą spotęgowałem do najwyższego stopnia i od tej chwili bez wysilenia nauczysz się w krótkim czasie wszystkiego, co my tutaj na Księżycu wiemy. Nie stracisz na tej zamianie, ręczę ci za to. Oto w tym księgozborze kwintesencja wszystkich nauk przez was uprawianych...

## 6. Oświata na Księżycu

Gerwid, skoczywszy mi z głowy, pobiegł do szafy także w ścianę wmurowanej, w któ-

---

<sup>44</sup>*puszcza* (daw.) — pustynia, pustkowie; tu: pustka. [przypis edytorski]



rej leżało ze dwieście mniejszych i większych puszek kształtu zegarków.

— Te zegarki nazywasz książkami? — spytałem zdziwiony.

— Bo te zegarki istotnie są książkami, u nas się nie czyta oczyma, lecz uszami. Nakręć tylko każdy z tych zegarków, a wypowie ci głosem ludzkim od początku aż do końca wszystko to, co zawiera. Chcesz, żeby przestał mówić, to zakręć tą sprężynką; chcesz wrócić do poprzedniego rozdziału lub do przeczytanej myśli, to się tylko spytaj, tym indeksem posuwając go jak w telegrafie elektrycznym, o co ci idzie, a natychmiast wróci maszyneria do rozdziału lub do przeczytanej myśli i najspokojniej w świecie, nie gniewając się, powtórzy ci to samo i sto razy, jeżeli tego zażadasz.

— Ależ na to potrzeba znać wasz język — zarzucę mieszkańcowi Księżyca.

— Już nim przemawiasz, mój przyjacielu: własnym językiem zapomniałeś mówić, a naszego się nauczyłeś w chwili, gdyś wyskoczył z tej kąpieli. Przekonaj się tylko: wybierz sobie

jaką chcesz książkę i zakręć ją, a zaraz ci znacznie gadać, co w sobie zawiera. Tytuły wypisane na każdej książce fosforycznym atramentem, świecącym w ciemności.

Wyciągnąłem książkę pod tytułem *Choroby wieku* i chciałem ją nakręcić, lecz doktor Gerwid rzekł:

— To nudna i przewrotna książka, gotowa cię samego nabawić choroby; nie wiem, jakim sposobem tu się dostała między te mądre książki, chyba ją moja kucharka tu zawlekła. Wybierz co innego.

Wybrałem książkę pod tytułem *Geografia Księżyca* i przekonałem się, że wszystko w niej rozumiem jak najdokładniej, jak gdyby była w polskim języku drukowana, czyli<sup>45</sup> raczej nastrojona, jak się tu wyrażają.

Zachwycony byłem tą książką, która w prześlicznym, śpiewnym języku opowiadała mi najciekawsze rzeczy o szczęśliwej planecie i o jej dobrych mieszkańcach.

---

<sup>45</sup>*czyli* — tu: czy też, lub też (daw. konstrukcja z partykułą -li). [przypis edytorski]

— Otóż i masz najstosowniejszą lekturę na pierwsze dni twego pobytu na Księżycu, potem przejdiesz do historii mieszkańców jego i do innych ksiązek, a wszystko, co ci opowiedzą, pojmiesz i spamiętasz od deski do deski, bo próżnia rozumowa, która w tobie nastąpiła, tak pragnie zapełnienia, że wszystko w sobie pochłonie i umieści. Ja muszę lecieć do księcia gubernatora, który jest chory i mnie zaważwał na konsylium, ty tymczasem prześpij się na tym materacu i na tej poduszce z gutaperki<sup>46</sup> wydętej dziewiczym oddechem mej pięknej siostrzenicy Lawinii. Wiesz, że piękniejszej kobiety może nie ma na całym Księżycu.

— Ale gdzież jest, doktorze Gerwidzie? Czy tu mieszka u ciebie? Ach, jakże pragnę zapoznać się z nią...

— Widzisz, jak twoje serce pragnie zapełnienia, esencja serc baletniczych wybornie skutkowałą, miłość od dziesięciu lat pielęgnowana znikła jak kamfora. Siostrzenicę Lawinię wy-

---

<sup>46</sup>*gutaperka* — substancja zbliżona do kauczuku, otrzymywana z mlecznego soku drzewa gutaperkowego (gutaperkowca: *Palaquium gutta*), występującego na Płw. Malajskim i w Indonezji. [przypis edytorski]

prawiłem z siostrzeńcem Cjangim na Wyspę Snu, umyślnie, aby cię tu nie widzieli w tym stanie.

## 7. Skrzydła

— W jakimże jestem stanie? Prawda, że sukni<sup>47</sup> nie mam, ale przecież sprowadziwszy mnie tutaj *in naturalibus*<sup>48</sup>, nie odmówiłbyś mi kredytu u twego krawca.

— Nie o suknie tu idzie; cały mój majątek, dość znaczny, jest na twe rozporządzenie — rzecze, uśmiechając się, doktor.

— O cóż tedy idzie?

— O skrzydła, mój przyjacielu. U nas tylko zbrodniarzom, których wy, mieszkańcy Ziemi, na śmierć skazujecie, ucinają skrzydła, a podcinają je przestępcom na mniejszą karę zasługującym. Ależ ty, mój szlachetny przyjacielu i kolego, nie chciałbyś uchodzić w oczach naszych, a najmniej w oczach prześlicznej Lawinii, za zbrodniarza ani za przestępcę.

---

<sup>47</sup>suknie (daw.) — tu: ubranie. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>*in naturalibus* (łac.) — w stanie naturalnym; nago. [przypis edytorski]

— Więc cóż będzie ze mną, o okrutny czar-  
noksiężniku, któryś mnie sprowadził na Księ-  
życ na moje upokorzenie? — spytam zapłaka-  
ny.

— Nie rozpaczaj przyjacielu: potrę cię bal-  
samem wegetacyjnym po plecach, przyprawię  
ci na nich dwie bańki ciągle ssące i najdalej  
w kilka dni wyrastać ci zaczną lotki, a za mie-  
siąc urosną ci pyszne skrzydła barwy ciemno-  
blond, takiej, jakiej są twoje włosy. Nie spro-  
wadzałbym cię na twoją biedę tutaj na Księżyc,  
na którym już od lat dziesięciu mozolę się nad  
sposobami przyciągnięcia cię z Ziemi. W tym  
stanie pokazać się nie możesz nikomu; więc  
tymczasem, nim ci wyrosną skrzydła, korzystaj  
z mej biblioteki i naucz się, czego tylko chcesz,  
bo tyle wejdzie w ciebie nauki, ile jej miałeś  
na Ziemi; idzie tu tylko o dobry wybór. Nie  
obciążaj tedy pamięci rzeczami niepotrzebny-  
mi ci. Mnie się zdaje, że powinieneś pozostać  
przy medycynie, chociaż dotąd nie odniosłeś  
w tym zawodzie wielkiej zachęty.

— Więc ja byłem medykiem? Dalibóg, już o tym zapomniałem.

— Za tydzień będziesz lepszym medykiem jak kiedykolwiek. My na tych samych podstawach, co i wy, zbudowaliśmy Eskulapowi<sup>49</sup> świątynię, tylko ją wyżej wznieśliśmy.

Mówiąc o tym i o podobnych rzeczach, doktor Gerwid, który był wielkim dygnitarzem w hierarchii medycznej, ubrał się w spodnie z złocistym lampasem, w mundur bogato haftowany, przypiął szpadę do boku, wsadził kapelusz stosowany<sup>50</sup> na głowę i ozdobił się kilkoma orderami.

Dziwnie i majestatycznie wyglądał w tym ubraniu i ze skrzydłami, które sobie starannie wypierzył i wysmarował przedziwnie pachnącym olejkim.

Potem dobył z kieszeni coś z tła jedwabnego, złożonego i zwiniętego w niedużą trąbkę.

---

<sup>49</sup>*Eskulap* (mit. rzym.) — zlatynizowana forma imienia Asklepiosa, greckiego boga sztuki lekarskiej. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>*kapelusz stosowany* (daw.) — bikorn (dwuróg), rodzaj kapelusza powszechnego w XVIII i XIX w., szczególnie w wojsku i w marynarce, kojarzonego często z Napoleonem Bonaparte. [przypis edytorski]

Rozłożył to tło na podłodze i przykręcił jego jeden koniec do dużej, kamiennej butelki stojącej w kącie. Zaraz też ów przyrząd napęlniać się zaczął gazem i przybrał kształt dość sporej ryby. Był to po prostu balon w kształcie ryby, pięknie malowany i karmazynowymi skrzela-  
mi opatrzony.

— Człowiek już niedzisiejszy, mój przyjacielu — powie doktor — już moje skrzydła nie tak mocne, jak były kiedyś, po cóż je mam nękać więcej? Tak, za pomocą tego konika, którego noszę w kieszeni, jazda daleko lepiej idzie, tylko czasem machnę skrzydłem i z łatwością szybuję po powietrzu. A jak idzie z wiatrem, to i skrzydłami machać nie potrzebuję, tylko je rozepnę, nastawię na wiatr i dalej jazda. Przecież i ty będziesz musiał posługiwać się tym konikiem z początku, nim nabierzesz wprawy.

Już się doktor miał puszczać pod obłoki na swej rybie, gdy nagle zabrzmiała w powietrzu nad samą wieżą prześliczna muzyka licznej orkiestry.

— Co to jest, na miłość Pana Boga? —  
spytam oczarowany i zadziwiony.

— To nasi dyletanci<sup>51</sup> i wirtuozi z towarzystwa filharmonijnego, którzy mniemając, że Lawinia jeszcze bawi u mnie, wyprawiają jej serenadę. Niech sobie grają na twe przywitanie; powiem im, że Lawinia słaba, nie może im się pokazać w oknie i podziękować.

— Ależ ja słyszę głos fortepianu, a nawet dwóch, i to precudownie brzmiących.

— Cóż w tym dziwnego? Przywieźli fortepiany na ogromnych balonach, do których się przyprzęgło kilkunastu niższych synów Orfeusza<sup>52</sup>, którzy przy tym jeszcze grają na trąbce, na klarncie, na tamburnie, triangalu i bębnie. Podobna usługa i takiego rodzaju hołd składany piękności nie krzywdzi u nas nikogo. Ale może byś się posilił, kochany gościu, nim spać pójdziesz. W owej kryształowej butelce jest nek-

---

<sup>51</sup>*dyletant* (daw.) — amator; człowiek zajmujący się jakąś dziedziną nauki a sztuki z zamiłowania, niezawodowo i nie na mocy formalnego wykształcenia w tym kierunku. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*Orfeusz* (mit. gr.) — niezrównany poeta i pieśniarz, jego muzyka miała wzruszać nawet zwierzęta i uspokajać wzburzone morze. [przypis edytorski]



tar tokajowy, w porcelanowej puszcze ambrozja z wątróbek bekasich. Bądź zdrów. Zobaczymy się za osiem godzin.

Poczciwy doktor Gerwid uściskał mnie jak najserdeczniej i pobłogosławił, a potem usiadłszy na swą rybę i odpiąwszy ją od podłogi, wyleciał na niej przez boczne okno w powietrze.

Długo jeszcze krążyła muzyka nad wieżą i wkoło niej, czarując mnie i zachwycając, potem powoli oddalała się, nie przestając się odzywać; nareszcie usnąłem po raz pierwszy na Księżycu.

## 8. Noc i myśli

Na pościeli wydętej dziewiczym oddechem prześlicznej Lawinii o czymże miałem marzyć, jeżeli nie o uroczej właścicielce tego oddechu, na którym ja, niegodny syn Ziemi, spałem jak chłop na grochowinach.

Ach, jak musi być powabna młoda i wysmukła dziewczyna, z skrzydłami długimi, rozłożystymi, barwy włosów swoich? Taka kobieta to istny anioł; żadna wyobraźnia nie może so-

bie wystawić<sup>53</sup> coś piękniejszego i szczytniejszego jak taka kobieta. Skrzydła dodają majestatyczności; nawet mój gospodarz, chociaż czerwony, dziobaty, zwiędły na twarzy i długim nosem wysadzony, chociaż mały i pochyło się noszący, jednakże imponująco wygląda ze swymi szpaczymi skrzydłami, zwłaszcza w stosowanym kapeluszu, przy długiej szpadzie i w ostrogach.

Żeby mnie tylko jak najprędzej urosły skrzydła, zaraz poleciałbym na Wyspę Snu po piękną Lawinię.

Ale cóż to za Wyspa Snu? Spytajmy się naszej gadającej książki.

Wyspa Snu, powiada książka, leży prawie w pośrodku Morza Sennego<sup>54</sup>, przegradzającego Jasnogród od Ciemnostanu, i w tej chwili należy do Lamy Ciemnostańskiego. Wyspa tak nazwana od własności usypiania ludzi i zwie-

---

<sup>53</sup>wystawić *sobie* coś (daw.) — wyobrazić sobie coś. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*Morze Senne* — dziś popr.: Bagno Snu (łac. *Palus Somni*), ciemny, pokryty zastygłym bazaltem obszar na Księżycu; dawni astronomowie ciemne obszary na tarczy Księżyca uważali za tereny pokryte wodą, dlatego nazywano je morzami, zatokami, bagnami i jeziorami; współcześnie nadal stosuje się dawne łacińskie nazwy tych formacji. [przypis edytorski]

rząt zapachem niezliczonego mnóstwa kwiatów odurzających, które tam rosną. Lekarze przepisują pobyt na tej wyspie osobom nerwowym, wycieńczonym, zbyt żywym, rozkochanym lub miotanym zgryzotami i niedawno rzeczywisty lekarz stanu doktor Gerwid wystawił tam znakomity zakład somnopatyczny, który zwabia do siebie wielką ilość wyższej szlachty Ciemnostanu, prawie ciągle dlatego chorej, że się niczym nie zatrudnia.

Oto się dowiedziałem od jednego razu bardzo wielu rzeczy.

Wyspa Snu jest zdobyczą bardzo ważną dla medycyny i dla ludzkości, to przyznać muszę, ale czemuż Lawinia wysłana została do tej wyspy? Czy dlatego, że jej wuj tam ma zakład? Czy dlatego, że ona potrzebuje kuracji?

Książka powiedziała, że wysoka szlachta ciemnostańska prawie zawsze choruje wskutek bezczynności. Toż samo dzieje się i u nas, jeśli się nie mylę: u nas próżniacy chorują, a pracowi-

ci ludzie, nieumiejący *przemysłem*<sup>55</sup> nadrabiać, umierają z głodu, gdy zachorują wskutek znoju i wysilenia.

Sławny sobie ten Ciemnostan, zobaczymy, co o nim opowie książka.

Ciemnostan jest ogromny kraj, położony na północnej hemisferze Księżyca, pomiędzy takim a takim stopniem szerokości geograficznej. Ciemnostanowie rodzą się, tak jak i inni mieszkańcy Księżyca, z skrzydłami i w tym się natura bardzo pomyliła, że wszystkich nierównego stanu Selenitów, czyli mieszkańców Księżyca, równymi środkami przenoszenia się z miejsca na miejsce obdarzyła.

Wiele jeszcze innych, również budujących rzeczy, opowiadała mi geografia Księżyca, przez szlachcica ciemnostańskiego napisana.

Należąc jeszcze wówczas do rzędu nieskrzydlatych istot, oburzałem się na barbarzyńskie prawa, skazujące niektórych mieszkańców tak

---

<sup>55</sup>*przemysłem* (daw.) — tu: sposobem (ale przez zastosowanie wyróżnienia słowa w tekście znaczenie nawiązuje też do przemysłu jako masowego, maszynowego wytwórstwa towarów i usług). [przypis edytorski]

strasznie górzystej krainy na chodzenie piechotą lub na najmowanie przewozowych ryb, jeśli uzyskali pozwolenie przenoszenia się z jednego odległego miejsca na drugie. Później jednakże, gdy i mnie skrzydła urosły, zacząłem, wyznać to muszę ze wstydem, chwilami zupełnie inaczej osądzać przywilej latania po powietrzu i przekraczania dowolnie granic różnych krajów. Ale później o tym.

## 9. Układy

Mój gospodarz przyleciał dopiero, gdym całą geografię Księżyca przeczytał i pochłonął w sobie od deski do deski. Znalazł mnie prawie zanadto ciekawym pod względem selenografii i nastarczyć nie mógł odpowiadać na me pytania o charakterystyce różnych narodów Księżyc zamieszkujących.

— Na Boga! — rzecze rzeczywisty lekarz stanu. — Obawiam się, żebyś sobie nie zatkał wszystkich szuflad twojej wiedzy tą selenografią. Nie zapomniałeś ani punktu, ani przecinka

z tej diabelskiej książki, a ja, lubo<sup>56</sup> wiem wiele, nie znam jednakże z dokładnością objętości twojej głowy; może już jesteś niedaleki od punktu nasycenia? Niejeden uchodzący za wielkiego mędrca nie zna<sup>57</sup> ani o dziesiątej części tego, coś ty połknął i spamiętał z tej książki. Ja ciebie nie chcę wykierować na geografa, lecz na lekarza.

— Przede wszystkim tu idzie o skrzydła, mój drogi i dostojny przyjacielu; dalej smaruj mnie swym balsamem skrzydłodawczym i stawiaj mi bańki ciągle ssące. Skrzydeł mi potrzeba, skrzydeł i to jak najprędzej!

— Skrzydeł ci potrzeba, skrzydeł i to jak najprędzej! — rzecze doktor Gerwid, uśmiechając się szyderczo i wypróżniając swą rybę z gazu.

— Skrzydeł! Tak nieocenionych organów, których Bóg nie odmówił żadnemu synowi Księżyca.

— A cóż mi dasz za te skrzydła, miły Nafirze? Muszę cię tu nawiasowo uwiadomić, że

---

<sup>56</sup>lubo (daw.) — choć, chociaż. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>znać o czymś (daw.) — wiedzieć o czymś, znać coś. [przypis edytorski]

twoje imię, któreś na Ziemi nosił, znaczy naszym językiem Nafir. Więc cóż mi dasz za te skrzydła, miły Nafirze?

— Co dam za te skrzydła? Cóż ci dać mogę? Wpadłem do ciebie ubrany i bogaty jak nowo narodzone dziecko, nic ci dać nie mogę, niestety!...

— Możesz mi dać bardzo wiele, mój drogi przyjacielu — rzecze Gerwid, wydobywszy z biurka arkusz zapisanego kilkunastu wierszami papieru i doda: — Twój podpis... nic więcej.

— Zobaczmy na co<sup>58</sup>: „Niżej podpisany syn Ziemi Nafir zobowiązuje się służyć swemu przyjacielowi Gerwidowi radą i czynem wszędzie, gdzie będzie mógł, i gdy do tego zostanie wezwany; i przyrzeka nigdy mu nie szkodzić i źle o nim nie myśleć, nawet gdyby do tego mniemał mieć powody<sup>59</sup>”. Nie podpiszę tego kontraktu, dostojny doktorze: myślom rozkazywać

---

<sup>58</sup>Zobaczmy na co — w domyśle: na co się zgodzę składając podpis. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>nawet gdyby do tego mniemał mieć powody (...) — nawet gdyby sądził, że ma do tego powody. [przypis edytorski]

nie można, dobrych uczynków za złe, równy od równego, ani nawet pan od sługi spodziewać się nie ma prawa. Wolę wrócić na Ziemię, gdzie zdaje mi się żaden szlachetnie myślący i uczony człowiek takich ofiar nigdy się nie domaga od bliźniego. Od was spodziewałem się jeszcze wyższych pojęć pod względem szlachetności.

— Nie ze wszystkim widać zapomniałeś, co się dzieje na Ziemi, mój przyjacielu, bo jeszcze w tobie pokutują jakieś pojęcia, któreś chyba z mlekiem wyssał — rzecze Gerwid, drąc kontrakt, i dodał: — Była to tylko próba charakteru, mój dobry gościu; cieszę się, że z niej wyszedłeś z honorem; twoja szlachetność jest dla mnie dostateczną rękojmią, będziesz miał przepyszne skrzydła najdalej za miesiąc.

Namaścił mnie na plecach balsamem, od którego by, jak utrzymywał, i z pięty skrzydła wyrosły i przystawił mi na same łopatki dwie silnie ssące bańki z gutaperki.

— Teraz się weź do ksiąg lekarskich, nie tracąc czasu na inne nauki, jeśli sobie chcesz



u nas zabezpieczyć niezawisłe<sup>60</sup> położenie, sam będę twoim teukrem, to jest przyjacielem i woźnicą; sam cię wprowadzę w praktykę, zaczynając od pierwszej dostojności naszej prowincji — rzekł Gerwid i pośpieszył na dolne piętro, gdzie go oczekiwali pacjenci, przybiegli piechotą, na balonach i na skrzydłach. Widziałem, jak jedna ogromnie opasła mamka przyleciała z chorym niemowlęciem siłą własnych skrzydeł. Płakała wniebogłosy, szybując jak duża indyka po powietrzu.

## 10. Latanie skrzydłami i czuciem

Więc wróciłem do medycyny, mniemając, że się jej po pierwszy raz uczę, jednakże w ciągu mych studiów ocknęły się z zapomnienia wszystkie wprzód tak mozolnie zebrane wiadomości i zdobyte doświadczenia. W zapomnieniu pozostało tylko to, co mi martwiące lub zasmucające myśli nasuwać mogło, a że m tych swowolnie<sup>61</sup> nie budził z letargu, to się każdy domyśleć może. Czuję się szczęśliwy w na-

<sup>60</sup>*niezawisły* (daw.) — niezależny. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>*swowolnie* (daw.) — tu: własnowolnie, dobrowolnie. [przypis edytorski]

dziei jeszcze większego szczęścia, a skrzydła wyrastać mi zaczęły z początku jak małe białki, a potem jak gałązki.

Już w końcu trzeciego tygodnia mego pobytu na Księżycu puszczałem się na rybie mego gospodarza nocną porą w obszar niebieski, potem bez pomocy ryby odbywałem ćwiczenia lotne w ogrodzie, nareszcie wlatywałem z ogrodu na wieżę i nazad, w końcu czwartego tygodnia latałem jak orzeł na tęgich ciemnoblond skrzydłach, które stały się dla mnie powodem niesłychanej dumy i rozkoszy.

Często w tym czasie, oddając się gorliwie nauce i sztuce latania, myślałem o pięknej Lawinii, siostrzenicy gospodarza, który zadowolony z mego postępowania i szczęścia, nie przedstawiał mi okazywać najczulszej przyjaźni.

Nie wiem, czemu mam przypisać to ciągle zajęcie, którego przedmiotem była dla mnie ta obca, tylko z opowiadań Gerwida znana mi osoba. Lubilem o niej rozmawiać ze starym kawalerem i on także często wszczynał o niej rozmowę, i jak się zdawało, żywił we mnie chęć

poznania jej może umyślnie, bym się nią zajął na dobre, jeszcze nim ją poznam. Dopiął tego, jeżeli takie były jego zamiary: może nawet zanadto skutecznie działały jego rozmowy, bo raz zagrzany, czy to własnej wyobraźni zapalem, czy też nektarem winnym, któregom może użył zanadto wiele, wypilem z mej poduszki oddech Lawinii, którym była nadęta, i od tej chwili jakiś nowy duch wystąpił w me ciało, odezwały się we mnie odgłosy jakichś dawnych, sympatycznych uczuć, drgających w duszy mojej jak chaotyczne harmonie ubiegłych wrażeń.

— Dostojny mój przyjacielu — rzekłem razu pewnego do Gerwida — jak też wygląda twoja siostrzenica Lawinia? Daj mi jej rysopis.

— Jak też ją sobie malujesz w swej wyobraźni z tego, co ci nieraz mówiłem o jej charakterze, temperamencie i humorze? — odpowie Gerwid.

— Przedstawiam ją sobie wysoką, wysmukłą, białą, z niebieskimi oczyma, długimi ja-

snymi włosami i rozłożystymi skrzydłami złocistej barwy.

— W niczym nie chybiłeś, opisałeś ją jak najdoskonalej. Lecz któż ci powiedział, że tak wygląda? Nie sposób, żebyś sobie mógł wymarzyć tak szczegółowe i prawdziwe wyobrażenie o nieznannej ci osobie.

— Któż mi mógł powiedzieć jak wygląda, kiedy prócz ciebie z nikim dotychczas nie rozmawiałem na Księżycu?

— To ci chyba ta poduszka, na której śpisz, wydała tajemnicę? — rzecze Gerwid, śmiejąc się do rozpuku, zacierając ręce z radości i bijąc się jak szalony skrzydłem w skrzydło.

Zarumieniłem się po uszy jak smarkacz złapany z ręką w cukierniczkę i zacząłem się gniewać, aby pokryć ogarniający mnie wstyd.

— Czego się tu wstydzisz? — rzecze stary Gerwid. — Ja w twoim wieku zjadłem raz różę zmiętoszoną w ręku mej ubóstwionej, tyś wypił.

— Ależ broń Boże! Jakie dzikie przypuszczenie! Ja miałbym ubóstwiać osobę, której wca-

le nie znam, i dopuścić się takiego szaleństwa z gutaperkową poduszką? Przecież jeszcze nie jestem wariatem.

— Ale jesteś rozkochany, nic w tym tak złego, mój Nafirze. Owszem, pragnę cię przywiązać do Księżyca węzłami nierozdzielными, żebyś nigdy nie zatęsknił do Ziemi, na której wiele złego doznałeś, lubo z tego już nic nie pamiętasz. Jeśli wszystko tak pójdzie, jak się spodziewam i życzę, to będziesz małżonkiem Lawinii. Przede wszystkim staraj się pozyskać łaski księcia wielkorządcy, któremu cię przedstawię jutro. Już jest uprzedzony o twym przybyciu i pragnie cię poznać. Od niego głównie zależy twój los na Księżycu, nie posiadając bowiem żadnych papierów, nie mógłbyś wejść w kategorię prawnych mieszkańców Księżyca bez protekcji jakiego wielkiego dygnitarza; dlatego też nie ukazywałem cię nikomu, aby się nie dowiedziano pokątną drogą, że tu ukrywam jakiego zbiega z Ciemnostanu lub ze Snogrodu, za którego by cię niezawodnie poczytano.

## II. Księżę Wielkorządca

Jedziemy do wielkorządcy na dwóch lekko złoconych, ceremonialnych rybach; doktor Gerwid w mundurze i przy szpadzie, ja zaś w czarnym fraku, ale obaj z parasolami, bo deszcz padał dość mocny.

Zajechaliliśmy przed główne okno na drugim piętrze, przed którym stało na gzymsach dwóch szylwach<sup>62</sup> prezentujących broń przed oficerami, a kilku żandarmów i dozorców policyjnych krzątało się w powietrzu i robiło porządek. W sali audiencjonalnej czekało bardzo wiele gości i petycjonariuszów. Usiedliśmy, zwinąwszy wprzód nasze koniki i schowawszy je do kieszeni.

— Widzisz tego przystojnego oficera w białym mundurze, z czarnymi, złotem haftowanymi wyłogami? — spyta mnie Gerwid.

— Tego bruneta z czarnymi skrzydłami, z nadzwyczaj ujmującą, melancholiczną twarzą?

---

<sup>62</sup>*szylwach* (daw.) — żołnierz na warcie, strażnik. [przypis edytorski]

— Tegoż samego. To jest syn, a zarazem adiutant księcia wielkorządcy. Niezawodnie się do nas zbliży, skoro tylko nas zobaczy. O ile ojciec jest surowym i po prostu powiedziawszy, starym żołnierzem, o tyle syn jest okrzęsany, a nawet estetykiem: doskonały muzyk, dobry malarz, wyborny tancerz, wszystko co tylko chcesz, a przy tym najmilszy człowiek ze strony charakteru — zaręczał Gerwid.

— Wszystko to wybitne na jego miłej fizjonomii. Nie wiem czemu, patrząc na niego, serce mi drży z radości, tak jak gdybym spotkał dawnego znajomego — powiem z zapamiętaniem, nie spuszczać oka z prześlicznego oficera, który rozmawiał kolejno z petycjonariuszkami czekającymi na posłuchanie i zdawał się szczerzy brać udział w ich sprawach. Nareszcie nas spostrzegł i natychmiast przystąpił do nas z rozjaśnioną twarzą.

— Książę Neuiabi, pozwól sobie przedstawić mego przyjaciela Nafira — rzecze Gerwid do oficera, zrywając się z krzesła równymi skrzydłami.

Młody książę ścisnął mnie z serdeczną przyjacielskością za ręce i wzruszonym głosem witał najgrzeczniejszymi wyrazami, zaręczając, że wyglądał z niecierpliwością chwili poznania się ze mną. Potem nas zaprosił do ojca, nalegając, abyśmy mu odradzili dawanie audiencji, bo istotnie jeszcze nie przyszedł do sił po swej długiej chorobie.

Zastaliśmy sędziwego wielkorządcę w fotelu, w surducie mundurowym, z bieluteńką jak gołąb głową i z takimiż skrzydłami, już dobrze przetrzebionymi i zwieszonymi na dół.

Nadzwyczaj był wysoki, twarz miał dość czerstwą i marsowatą, wąsy bieluteńkie i siwe, błyskające jeszcze oczy.

— A witajże mi, witaj miły gościu, o którym mi przyjaciel Gerwid tyle dobrego opowiedział — rzecz dostojny starzec, podawszy mi rękę i przyciągając mnie bliżej do siebie, aby mi się lepiej przypatrzeć.

Mnie ogarnęła do niego tak nagła sympatia, że mi łzy wystąpiły w oczy.



— Czego płaczesz? Czemuś tak wzruszony, mój dobry panie Nafir? — spyta starzec także wzruszonym głosem.

— Istotnie nie wiem czemu, może dlatego, że nie spodziewałem się tak łaskawego przyjęcia. Książę raczy przebaczyć, ale patrząc na niego, zdaje mi się, jak gdybym widział kogoś, co mi głęboko utkwiał w sercu — rzekłem zmieszany, łez moich nie mogąc powściągnąć.

Książę i doktor spojrzeli po sobie wzrokiem wymownym i jak gdyby potwierdzającym jakąś myśl tajemną, którą obaj tylko znali, a młody książę ciągle patrzył na mnie, jak człowiek silący się coś sobie przypomnieć, co już głęboko zagrzebano w niepamięci.

— Nie to, nie to, mój młody przyjacielu — rzecze starzec — któż by tu był podobny do starego księcia Wadwis, już by przez to samo był sławny na całym Księżycu, tylko widać dobre masz serce i litujesz się nad życiem starego, zgrzybiałego żołnierza, który w tym wieku i stanie jeszcze nie może odpocząć, a już żyć nie pragnie.

— Któż by nie pragnął żyć na tym pięknym Księżycu, między tak dobrymi ludźmi? — rzeknę, nie mogąc się zdobyć na coś lepszego.

— Pewno, pewno — odpowie książę — ale na to trzeba umieć latać na tych młodych skrzydłach, jakie ty masz, a nie tak mizernymi lotkami, jak tam u mnie wiszą. Miałem ci i ja kiedyś skrzydła, tak dobrze jak mój syn Neu-iabi i często mi się ostrogi w nich zaplątywały, ale nareszcie się wypierzyły i nie chcą odrastać więcej. Przyjacielu, masz być tak uczonym lekarzem, jak drugiego nie znajdzie na Księżycu, racz wejrzeć w mój organizm badawczym wzrokiem i wysledzić, czy można jeszcze czym odżywić to moje zgrzybiałe ciało.

— Wobec cudownego lekarza, dostojnego przyjaciela mojego Gerwida, którego lekarstw sam doświadczyłem skuteczności, czyżbym mógł się popisywać z jakimi radami? — rzeknę ze skromnością.

— Mości książę — powie Gerwid — jeszcze raz powtarzam, co już nieraz zaręczałem: w jego głowie mieści się wszystko, co tylko

najmędrsze książki w sobie zawierają; w mojej pozostało tylko echo tego, co on wie w zupełności; jeżeli kto, to on może, skupiwszy swe ogromne światło w jedno ognisko, wymyślić środek od nas tak upragniony, odżywienia cię, a może nawet odmłodzenia. Daj mu książkę tylko czas do namysłu, a ręczę za skutek. Nie na darmo sprowadziłem go z tak daleka i nie na darmo wyleczyłem go ze wszystkich wspomnień, tłumiących jego wiedzę. Na to tu jesteś Nafirze, żebyś nam postawił na nogi naszego dobroczyńcę księcia wielkorządcę, od tego zawisł los twój na Księżycu.

Teraz dopiero pojąłem, dlaczego jestem przyciągnięty z Ziemi na Księżyc, i zakłopotany podrapałem się rękoma i skrzydłami w głowę.

— Ha! — rzekłem, twórczości świętą iskrą przejęty. — Jest tu jednakże w tej głowie jakaś mała myśl, z której może się wyrodzić coś do odkrycia pożądanego środka prowadzącego.

— Nie mówiłem, mości książę? — zawołała Gerwid, zacierając ręce i bijąc się radośnie w skrzydła. — Z tak bogatej i świeżej wiedzy

musi wyrosnąć myśl strzelista i wielka, daj mu tylko, książę, cokolwiek czasu, a ja będę umiał zaostrzyć usilność mego przyjaciela wiadomymi mi środkami.

Stary wielkorządca aż podskoczył z radości, ale, nie wiem czemu, w tej chwili młody książę, z napiętą uwagą przysłuchujący się, uderzył się w głowę i zbladł jak człowiek przerażony.

Czyby nie miał kochać ojca swojego? Czy nie życzy mu długiego życia? Bardzo mnie zmartwiło to pomimowolne poruszenie młodego księcia i postanowiłem sobie dociec jego przyczyn.

Przedewszystkiem radziłem, aby sobie stary książę odpoczął i nie zatrudniał się żadnymi sprawami stanu, potem prosiłem, aby mi wolno było przylecieć wieczorem z lampką argandzką, za pomocą której można obejrzeć wskroś całe ciało ludzkie i przekonać się o stanie wewnętrznym wszystkich organów. Tę lampkę argandzką wydoskonalilem podczas mego miesięcznego pobytu na Księżycu i pierwszy ją zastosowałem do użytku lekarskiego.

Stary książę i Gerwid nie mogli się posiąść z radości. Młody książę został wysłany z uwiedomieniem, że dziś audiencji nie będzie, a nas zatrzymano na małe śniadanie.

## 12. Książę Neuiabi

Wiele ze mną rozmawiał książę Neuiabi i o tym, i o owym, o swych kampaniach przeciw Ciemnostanowi, w którym był razy kilka, i dziwne mi opowiadał szczegóły o tym kraju, który nie jest tak górzysty jak południowa hemisfera Księżyca, lecz owszem płaski, wcale urodzajny, wydający bardzo wiele bydła, zboża i drogiego kruszcu, a pomimo tego ubogi, bo wszystkie zasoby kraju wychodzą na zakupowanie cudzoziemskich cacek dla arystokracji ciemnostańskiej, lubiącej się bawić i stroić jak dzieci.

Potem młody książę zwrócił rozmowę na przedmioty potoczne i pomiędzy innymi rzeczami spytał się mnie, czy panna Lawinia już wróciła do domu wujaszka.

— Nie wróciła jeszcze, a czy ją zna książę?

— Widziałem ją razy kilka przelatującą na spacer, do kościoła i do teatru — odpowie książe.

— Ma być bardzo ładna, czy prawda? — spytam z bijącym sercem.

— Jak do gustu, mój panie Nafirze, wysoka, wysmukła, blondynka, z szafirowymi oczyma i długimi, złocistymi włosami. Ale któż ci opowiadał o jej piękności?

— Doktor Gerwid.

— Sam kochany wujaszek zachwalał swą siostrzenicę, to wieloznaczące — rzecze jak gdyby do siebie młodzieniec z oczywistym zakłopotaniem. — Lecz po cóż ją wysłał na Wyspę Snu? Nie powiedział tego panu?

— Nie powiedział i ja nie śmiałem wypytywać go o to. Przecież nie jest chora, zdaje się...

— Nie samych tylko chorych wysyłają tam na mieszkanie, wiesz pan przecie, że są prezerwatywy<sup>63</sup>, zabezpieczające od wpływu nar-

---

<sup>63</sup>prezerwatywa (daw., z łac.) — tu: środek ochronny, zapobiegawczy. [przypis edytorski]

kotycznego roślin tam kwitnących. Sami tam urodzeni i wychowani mieszkańcy doświadczają tego wpływu tylko do pewnego stopnia: ciągle pozostają w jakimś stanie odurzenia umysłowego, widać im dość przyjemnego, bo z niego wyjść nie pragną, tylko chyba chwilami, nie długo trwającymi. Dlatego też ich myśli i czyny noszą cechę albo w oczy bijącej niedbałości, nieudolności, albo też gorączkowej egzaltacji. Na całej wyspie nie zobaczysz długotrwałego pomnika usilności ludzkiej, ale często obok walących się chat w najbrudniejszym zaułku zoczysz dowód pychy arystokratycznej: jakiś świetny pałac z herbami, basztami, salami rycerskimi nowo postawionymi, a napełnionymi mnóstwem portretów rodzinnych zakupionych u antykwariuszów lub też zbroją sprowadzoną z zagranicy.

— Żeście też sobie, mieszkańcy Jasnogrodu, dali wydrzeć tę wyspę Ciemnostanowi?

— Widzisz, panie Nafirze, my sami nie wiemy, czy nam posiadanie tej wyspy korzyść lub stratę przynosiło. Umysły mieszkańców Snu są

pod wszystkimi względami nadzwyczaj rozdwojone. Teraz snogrodzianie sami nie wiedzą, co mają myśleć, życzyć sobie lub pragnąć, i rzucili się jednomyślnie prawie w objęcia religii, którą tak pojmują jak wszystkie inne rzeczy, to jest rzewnie, lecz nieudolnie, zbyt wiele sercem, a zbyt mało rozumem.

— Czy i w Snogrodzie łamią chłopom lotki, a mieszczanom wyskubują po jednym skrzydle?

— Tam jest niby inny system dzielenia ludności na stany: każdemu wolno nosić skrzydła, który za nie opłaca podatek. Zobaczysz tam ubogich hrabiów i książąt, chodzących piechotą z wyskubanymi skrzydłami, zwieszonymi na dół jak płetwy, a w tym samym czasie widzisz brodatych Żydów latających na pysznych skrzydłach.

— Wielki Boże w Niebiosach! Żydzi na Księżycu?! — zawołałem, chwytając się rękoma i skrzydłami za głowę.



— Tu u nas, w Jasnogrodzie, tak dobrze jak gdyby ich nie było: porównani w obliczu prawa z nami wszystkimi, wsiąkli do towarzystwa.

— Że to panna Lawinia, osoba, jak się здаje, tak dobrze chowana, lubi zamieszkiwać taki kraj?

— O! Nie myśl, żeby Snogród był pozbawiony uroków. Kobiety tam błyszczą wszelkimi powabami piękna przyrodzonego i zdobytego talentem, a nawet nauką; muzyka stoi na wysokim stopniu w Snogrodzie, a ten stan półsenności poetycznej, w którym prawie bezprześcannie pozostają dobrze wychowani i niczym niezatrudnieni ludzie, nadzwyczaj się podoba romantycznym umysłom. Panna Lawinia, o ile mi wiadomo, jest tego usposobienia umysłu i kilka razy na rok wylatuje ze swym braciszkiem do Snogrodu, gdzie wujaszek ma prześliczny pałacyk z parkiem, polami i lasami, obok zakładu somnopatycznego, którego jest założycielem i właścicielem. Tam sobie żyje panna Lawinia swobodnie i w przepychu, jak jaka królewna, w orszaku najświetniejszych dam

okolicy, a jej braciszek, bardzo miły, lecz uczyć się niechcący chłopaczek, zbija bąki z podobnymi sobie synami arystokracji.

— Wszystko to, mości księżę, zaostrza mą ciekawość, muszę się kiedy puścić do Snogrodu na mych skrzydłach lub nareszcie na mej rybie, która mi ułatwi przekroczenie morza, podobno tylko z dwadzieścia pięć mil szerokiego. Ma się rozumieć, że wezmę z sobą busolę.

— Przede wszystkim nie zapomnij paszportu, bo urzędnicy graniczni w Snogrodzie nikogo nie wpuszczają bez paszportu, wizowanego przez ambasadora lub przynajmniej konsula ciemnostańskiego — rzecze księżę.

— Chyba żartujesz mości księżę, nie ma granic dla istot skrzydlatych! — rzeknę, pewny, że księżę tylko żartem wspomniał o granicy.

— Nie myl się pan, są w Snogrodzie granice dobrze strzeżone, tak jak i są Żydzi ciągle tylko o kontrabandzie myślący.

— W jaki sposób można by otoczyć wyspę całą granicą nieprzebytą dla ptaka lub dla skrzydlatego człowieka?

— Na sześćset kroków od ziemi dosięgnie dobra strzelba i zabija, a wyżej są na kilku wysokościach w atmosferze, niezbyt wysokiej, Księżyca porozciągane druty elektryczne, zabijające iskrami na kilkaset kroków od siebie wszelkie żyjące stworzenie. Przy tym skrzydlate patrole czuwają wszędzie, a nocną porą świecą owe druty jak zorza północna i światłem otaczają całą wyspę, tak że żadna istota nie przejdzie pod nimi, nie będąc dostrzeżona.

— A w Jasnogrodzie są także granice?

— Są, ale tylko ziemskie dla bydła, które stamtąd często przychodzi z zarazą, i dla ludzi nieskrzydlatych, pozbawionych u nas praw obywatelskich za wykroczenia, a w tamtych krajach pozbawionych pojęcia o godności ludzkiej za to, że się urodzili w niższym stanie.

— A to widać u państwa i dobre, i złe szczególniej wygórowało i odbija się jaskraw-

szymi barwami jak na Ziemi — rzeknę do oświecającego mnie księcia Neuiabi.

— A skądże pan wiedzieć może, co się dzieje na Ziemi? — spyta książę z nadzwyczajną skwapliwością, spozierając na mnie ciekawie i uważnie swymi czarnymi, nadzwyczaj pięknymi oczyma.

— Śniło mi się przez czas długi, że żyłem na Ziemi — odpowiedziałem, nie będąc wówczas pewnym, czy się myślę lub czy kłamię, bo pamięć moja co do pochodzenia chwilami się przebudzała, lubo<sup>64</sup> w następnej chwili znowu usypiała.

— Ach! Wystaw<sup>65</sup> sobie, kochany panie Nafirze, że i ja taki sen miałem, i to przez długi czas, kiedy mnie lekarze skazali na sześciotygodniowy pobyt na Wyspie Snu, którego to czas przemarzyłem całkiem tylko o Ziemi i o moim pobycie na tej ogromnej planecie, której widzimy góry, morza, jeziora, miasta, a nawet główne rzeki gołym okiem jak na dłoni. Ale

---

<sup>64</sup>lubo (daw.) — choć, chociaż. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>wystawić sobie coś (daw.) — wyobrazić sobie coś. [przypis edytorski]

posmak, który mi został po tym śnie, nie jest przyjemny i wcale nie odpowiada okazałości tego rześistego światła, o którym mieszkańcy Ciemnostanu żadnego nie mają wyobrażenia, a nas, jasnogrodzian, tak zachwyca. Wiesz co, panie Nafirze, w tych marzeniach i o tobie, nieznanym mi do tej chwili, śnić mi się musiało; bo jest myśl, która mi dopiero teraz do głowy przyszła. Czemuż twoje ukazanie się takie na mnie wywarło wrażenie? Nadaremnie śledzę i śledzę, gdzie ciebie widzieć mogłem, gdzie cię spotkałem. Urodziłeś się i wychowałeś, jak mi doktor Gerwid zaręcza, w mieście odległym, którego nigdy nie zwiedzałem i któregoś ty nigdy nie opuszczałeś, więc skądże się czepił obraz twój mej duszy? To już chyba we śnie jakim, a nieraz się wyśni nie tylko obraz człowieka, ale także cała przygoda, cała historia, zajście jakie; nawet najnadmierzajniejsze sytuacje często nas spotykają po pierwszy raz, ale tak przygotowanych, jak gdyby się wydarzyły po raz drugi, to wszystko gra snów.

— Albo odgłos rzeczywistego życia, które się spędziło na jakim innym planecie... — dodam pomimowolnie, prawie nie wiedząc, co mówię, idąc za natchnieniem myśli wyrywającej się z duszy, jak owo światełko błędne na smętarzach<sup>66</sup>.

— Albo odgłos rzeczywistego życia, które się spędziło na jakim innym planecie???... — powtórzy książę Neuiabi jak człowiek budzący się ze snu, ale jeszcze oburzony. — Boże, na nowy i również dedaliczny wprowadzasz mnie pan tor myśli. A jednakże i ta myśl, zda się, nie po pierwszy raz zapokutowała, czyli raczej odgłos znalazła w mej głowie. Pan jesteś jakimś zagadkowym człowiekiem, wywierającym na mnie...

W tej chwili kazał mnie przywołać stary książę i tym skrócił rozmowę, która mnie zaczęła w jednej chwili i zachwycać, i w niepokój wprowadzać.

---

<sup>66</sup>smętarz (daw.) — cmentarz. [przypis edytorski]

### 13. Telegraf akustyczny

— Więc widziałeś wszystkie organa księcia jegomości, nawet mózg, płuca, wątrobę? — spyta mnie nazajutrz doktor Gerwid.

— Nawet szpik kości, mój przyjacielu; lampka argandzka doskonale się sprawiła w kamerze obskurze, w którą wsadziłem starego, dostojnego weterana; jestem tak dobrze obznajmiony z wewnętrznym jego składem, jak gdybym go macał rękoma.

— I jakże go znalazłeś? — spyta dalej Gerwid drżącym głosem.

— Choroby organicznej w żadnym organie nigdzie, a we wszystkich osłabienie, brak siły żywotnej; roztworzenie górę bierze nad tworzeniem, oto cała rzecz.

— Jak długo jego życie potrwać może, gdyby pozostał w tym stanie i żadne dotychczas używane lub przeze mnie znane lekarstwa nie okazały się skuteczne?

— Miesiące pięć, dni siedemnaście, godzin trzy i minut czterdzieści dwie w najlepszym razie, gdyby coś nadzwyczajnego, nieprze-

widzianego nie zaszło — rzekłem, zrobiwszy obrachunek na papierze z matematyczną dokładnością.

— A do diabła! To krucho z nim, ja mu dłuższe rokowałem życie, ale co znaczy moja wiedza w porównaniu z twoją? Ja jestem starym gratem, niemającym już ani zdrowego słuchu, ani wzroku, ani mocy myślenia. Ach! Ty nam go wybawisz, tego dobroczyńcę kraju, który jedynie może ci zapewnić świetną przyszłość na tym uroczym Księżycu, tak ci miłym.

— Ba! Czymże tu zastąpić brak sił żywotnych, mój sędziwy przyjacielu? — rzeknę zakłopotany. — Dowiedziałem się przecież z waszych ksiązek, że już od odwiecznych czasów silił się lekarze na wynalezienie takiego środka. Jeden stary król nabyć chciał od swej pięknej, świeżej i młodej Liagiba sił żywotnych, których mu brakło, i czegoż dokazał? Zabił ją, a sam nie żył długo. Potem wymyślono płynne złoto na przedłużenie życia, ludzie przepłacali to lekarstwo na wagę diamentów i nie zyskali korzyści z niego. Jakiś książę starał się odżywiać



w atmosferze, w której się pociły młode i zdrowe panny jego kraju, i umarł na wściekliznę. Potem używano transfuzji krwi z dzieci i młodych ludzi; zabito ich niemało i nie cieszą się dłuższym życiem. Zdaje się, że przyroda nie lubi, żeby ją zastępowano w tak ważnej sprawie jak życie sztucznymi środkami. Walczyć z przyrodą o pierwszeństwo to strasznie trudne zadanie!

— Ty możesz walczyć i z naturą, o człowiecze wyjątkowy, który sam jesteś więcej utworem sztuki jak natury! Posiadałbyś tę jędrność rozumu, gdybyś się nie był pozbył sztucznym środkiem wszystkich przykrych wspomnień tłoczących, ścieśniających i gnębiących twą wiedzę? Umiałem ci odjąć, lecz dodać nie umiem; pokaż się wyższym ode mnie twórczą wyobraźnią, tak jak już jesteś wyższym ode mnie bogactwem wiedzy. Widzę po tobie, że już w twym mózgu roi się myśl jakaś, ogromna jak Tytan.

— Rzeczywiście, jest tam coś w tej głowie, co się rusza i rośnie, a nie może wystrzelić w górę od razu, tak jak łodyga kwiatu alo-

esowego. Trzeba by mi chyba jakiegoś wzniecenia; to całomiesięczne więzienie w twojej turmie<sup>67</sup> i to ciągle połykanie twych książek uchem diabła mi stępiło siły wyobraźni; dalej, przypraw wyobraźni skrzydła, tak jak przyprawiłeś ciało.

— Toteż to, że tego nie umiem, niech mnie piorun trzaśnie, mój dobry Nafirku! Skrzydła, przyznam ci się, byłyby ci wyrosły same z siebie w tym klimacie, ja tylko przyśpieszyłem ich rozwój, tak jak można przyśpieszyć rośnięcie włosów. Wiesz co, podchmiel sobie tym dwustoletnim nektarem, to cię może wznieci.

— Nie chcę! Przez całe me życie nienawidziłem trunku; mnie trzeba do wzniecenia czegoś innego, czegoś mniej materialnego, czegoś estetyczniejszego, uroczego, a co miłe uczucia wzbudza.

— Ach! Teraz wiem, czego ci potrzeba, mój dobry Nafirku; tobie trzeba widoku młodej, pięknej kobiety! Ach, mój przyjacielu! To środek silny, potężny, ale niestety częstokroć

---

<sup>67</sup>*turma* — więzienie, wieża. [przypis edytorski]

tak zbyt potężny, że starga nerwy i mózg odurzy, zamiast go wzniecić. No! Ale ty musisz mieć doskonałe siły pod wszystkimi względami, spróbujmy tego środka. Zaraz zatelegrafuję po osobę, której widok przywróciłby trupa do życia.

— A gdzież twój telegraf? Już mi mówiłeś o akustycznym telegrafie, zdaje mi się, gdym był w kąpieli zapomnienia.

— Nie mylisz się. Moje telegrafy oto w tych czterech szafkach, obróconych na cztery strony świata. Przyrząd sam bardzo prosty: przez każdą szafkę prowadzi dziura wskroś muru, jest i doskonała busola, wskazująca kierunek, jaki chcę nadać głosowi, i pięć piszczałek z kruszcem topionego ze szkłem, które wymawiają za silnym dmuchnięciem tego mieszka po jednej z pięciu znanych nam samogłosek. Wszystkie słowa można wymówić tymi samogłoskami, szykując je w pewien umówiony porządek, przedłużając je i zatrzymując się z chronometryczną dokładnością. Teraz ustawiłem rurę wskazują-

cą dyrekcję<sup>68</sup> do mego pałacyku w Snogrodzie. Teraz wkładam w nią pięć piszczałek, wymawiających: a, e, i, o, u, i dmucham kolejno, rozumie się, według umówionego programu.

Dmuchał raz w tę, raz w ową piszczałkę, czasem po dwa i trzy razy w jedną, czasem krótko, to znowu dłużej, z przestankami i bez przestanków. Wszystkie te piszczałki wydawały przejmujący, cienki, jakoby promienisty pisk.

— Głos tworzy się dopiero na cyferblacie z pęcherza ryby drętwicka, na któren pada u celu swej podróży, lecz nie dolatuje tak prędko, jak światło lub iskra elektryczna, temu już zaradzić nie możemy, mój Nafirku — rzecze Gerwid, siadając obok swego cyferblatu i przybliżając nowo wyszłą książkę do ucha.

Dopiero za dobry kwadrans doleciała odpowiedź i odmalowała się na drętwickowym cyferblacie pięciu różnymi figurami geometrycznymi w różnym porządku, raz krócej, raz dłużej przebywając na czułej tarczy.

---

<sup>68</sup>dyrekcja (daw.) — tu: kierunek. [przypis edytorski]

— Za pół godziny puszcza się w podróż, za piętnaście godzin będzie tutaj — krzyknie Gerwid, zacierając ręce i skrzydła.

— Kto taki?

— Ona!

— Jaka ona?

— Lawinia, geniusz Księżyca.

#### 14. Lawinia

Tej nocy wypilem oddech Lawinii nawet z materaca, dotychczas szanowanego.

Natychmiast uczułem w sobie nie tylko więcej serca, rozumu duszy, lecz nawet więcej geniuszu, który jest dzieckiem skupienia tych boskich darów.

Myśl, nad której porodzeniem tak się si-  
liłem, wystrzeliła we mnie nie tylko jak łody-  
ga kwiatu aloesowego, lecz jak wrzący na milę  
wysoki wodotrysk.

— Wiem, co ci potrzeba, wielkorządco! —  
krzyknę uradowany. — Tobie potrzeba pro-  
mieni słońca zgęszczonych i zamienionych w płyn.  
A ja je skupię, zgęszczę, skoncentruję, zamie-

nię w płyn życia, zamknę w diamentowym flakoniku i odżywię cię tym, czym Prometeusz nadał życie kamiennemu posągowi.

Tej nocy nie mogłem się doczekać dnia, prosiłem Boga o jak najświetniejsze słońce, wylatywałem wysoko w powietrze nad obłoki, aby się przeświadczyć o stanie pogody, w powietrzu śpiewałem, biłem hołubce i wyskakiwałem najdziwaczniejsze antrsa<sup>69</sup> i piruety; o mało co nie zostałem wzięty przez skrzydlaty patrol do kozy<sup>70</sup>, jako perturbator, pijak czy wariat, szczęściem, że mnie wachmistrz dowodzący patrolem poznał jako gościa, z tak nadzwyczajną serdecznością przyjętego u wielkorządcy.

Istotnie nie posiadałem się z radości i nigdy świat nie przedstawiał mi się w tak uroczych barwach jak wtenczas, kiedy miałem pewność, że dokonam, czyli<sup>71</sup> raczej *kiedym dokonywał*

---

<sup>69</sup>*antrsa* (z fr.) — w tańcu rodzaj kroku wykonywanego w powietrzu. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>*koza* (daw.) — tu: areszt. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>*czyli* (daw.) — tu: czy też. [przypis edytorski]

największego odkrycia, jakie tylko śmiertelna istota mogła pomyśleć.

Czym jest pismo, proch, para, dagerotyp, chloroform, książka gadająca, woda zapomnienia, kwadratura koła, telegraf akustyczny i bezprzystanny ruchawiec w porównaniu ze zgęszczeniem i uwięzieniem promieni słonecznych, tego pierwiastku światła i życia? Ja dopiero uwięczę wszystkie pomniejsze odkrycia koroną odkryć i będę królem wszystkich Koperników, Szwarców, Wattów, Daguerrow, urzeczywistnię śmiały pomysł Prometeusza, pokutującego w mitologii najstarożytniejszych ludów od wiecznych czasów!

Jakim sposobem dokonałem tego odkrycia? Długo o tym mówić i całej tajemnicy zdradzić nie chcę, dla niedowiarków jednakże, nie chcących wierzyć w możliwość zgęszczania i uwięzienia promieni słonecznych, powiem, że na to trzeba Słońca na zenicie, soczewki kryształowej, wypukło-wypukłej, wielkości koła młyńskiego, dzwona kryształowego objętości beczki, grubości dwóch cali, z dziurką włoskową,

wskroś przebijającą na wierzchu, wodorodu i tlenku w proporcji potrzebnej do zrobienia wody, nareszcie flakonika diamentowego na przechowanie zgęszczonych promieni. Wszystkiego mi dostarczyć kazał księżę wielkorządca za parę milionów u optyków i chemików i: *fiat vita, cui vita*<sup>72</sup>!

Uniesieni zapalem opowiadania, wyprzedziliśmy o dwa tygodnie czas, w którym się ziściły nasze nadzieje i oczekiwania najpiękniejszym skutkiem, i zapomnieliśmy mówić o osobie, której wpływowi przypisać winienem całą zasługę tego cudownego dzieła.

Mówię o Lawinii.

Lawinia przybyła w oczekiwaną chwilę ze swym bratem Icangi i z licznym orszakiem na ogromnym wielorybie, którym kierowało przeszło dwudziestu synów Księżyca własnymi skrzydłami, żaglami, wiosłami i śrubą Archimedesza przyprawioną u tego olbrzymiego balonu z tyłu.

---

<sup>72</sup>*fiat vita, cui vita* (łac.) — niech się stanie życie, komu życie (w domyśle: jest pisane, jest przewidziane); trawestacja słów z Biblii, z Księgi Rodzaju, *fiat lux*: niech się stanie światło. [przypis edytorski]



Nic nie wyrówna pyszności tego widoku.

Wieloryb świecił w promieniach słońca jak złota ryba z karmazynowymi skrzelami, płetwami i ogonem.

Spuścili się na płaski dach korpusu pałacowego, gdzie Gerwid, ja i służba oczekiwaliśmy ich przybycia.

Spod purpurowego baldachimu Icangi prowadził siostrę swoją złoconymi schodami na debarkader<sup>73</sup>.

Kto kiedy w najmiłszym śnie śmiał marzyć o czymś tak pięknym jak Lawinia? Przypraw złote skrzydła najświetniejszemu kobiecemu utworowi egzaltowanej wyobraźni twojej, a jeszcze to będzie tylko skrzydlata córka Ziemi w porównaniu z aniołem zwanym Lawinia. Jej wysoka postać ubrana w niebieską gazę spadającą jak obłok głęboko pod nogi, wdzięki jej twarzy, nieporównana gracia jej kibici, barwa włosów i skrzydeł, wszystko to świeciło, pachniało i śpiewało harmonią niebieską

---

<sup>73</sup>*debarkader* (daw.) — budynek na wybrzeżu przeznaczony do załadunku i wyładunku towarów oraz pasażerów. [przypis edytorski]

we wszystkich zmysłach moich i takie sprawiło wrażenie na mej duszy, że m zadrżał, zbladł i skrzydłami podeprzeć się musiał o ziemię, abym nie upadł.

Podobnegoż wrażenia, zapewne przez odbicie, doznała Lawinia, ale nie w tym stopniu, jednakowoż oprzeć się musiała o ramię brata swego, bardzo przystojnego młodzieńca w myśliwskim stroju, z kordelasem przy boku, który także, spojrzawszy na mnie, stanął jak wryty z oczami wylupionymi<sup>74</sup> na mnie.

— Dzieci! Co to znaczy? Patrzycie na siebie jak na upiory. To mój przyjaciel Nafir, o którym wam telegrafowałem niejednokrotnie. A to moja siostrzenica Lawinia, to mój siostrzeniec Icangi. No! Poznajcie się i bądźcie dobrymi przyjaciółmi, bo szlachetniejszej istoty nie ma na całym Księżycu jak pan Nafir.

Icangi przystąpił do mnie i porwał mnie w swoje objęcia, ściskając ramionami i skrzydłami jak starego znajomego, i mnie się ser-

---

<sup>74</sup>z *oczami wylupionymi* — dziś raczej: z oczami wytrzeszczonymi, wybałuszonymi itp. [przypis edytorski]

decznie zrobiło w jego objęciach, ścisnąłem go jak dziecko, lubo tylko o pięć lat ode mnie był młodszy. Jakaś promienista sympatia udzieliła się nawzajem sercom naszym, pojąłem zaraz w tej chwili, że będziemy nierozdzielni przyjaciółmi, gotowymi zginąć jeden za drugiego.

Potem zbliżyła się Lawinia i rumieniąc się po uszy, podała mi swą rączkę, najmilsze bawidelko, jakie miałem w ręku. Jak się dziwnie smętnie uśmiechała, patrząc mi badawczo, pół nieśmiało, a pół poufale w oczy!

— Wuju, wuju! Patrz na pana Nafira i na Icangi, widziałeś w życiu swoim coś podobniejszego? — rzecze Lawinia głosem, od którego przypomnienia jeszcze w chwili śmierci dusza się rozraduje moja.

— Nie, nie widziałem — odpowie Gerwid — istotnie, tenże sam wzrost, ta twarz, tenże sam wyraz twarzy, te oczy, włosy i skrzydła, tylko że pan Icangi pucołowaty tak jak szlachcic wiejski, a pan Nafir ma twarz wyrazistszą, wyrobioną uczuciami i myślą, tak jak uczony.

Ależ takie podobieństwo, to dziwna gra natury!

— W tym jest coś więcej jak ślepa gra przyrody — powie Lawinia cicho, tajemniczym głosem, jak gdyby do siebie mówiła, a rączki swej nie wydziera z mej dłoni, ani też nie spuszcza oka z mej twarzy.

— Cóż ty mówisz, Lawinio! Na miłość Pana Boga! To jest traf, nic więcej; przecież się to nieraz wydarza takie w oczy bijące podobieństwo.

— Musi w tym być coś jeszcze innego: ja to czuję tutaj wyraźnie, a tam jakoś głucho, chaotycznie — rzecze Lawinia, wskazując naprzód na swe serce, a potem na swe świetne czoło.

Wtem zagrzmiała wojskowa muzyka, może tylko o sto kroków nad nami.

Defiluje w powietrzu pułk gwardii, którym dowodzi książę Neuiabi w szklistym szyszaku, w błyszczącej zbroi. Sam Mars nie wyglądał nigdy tak świetnie. Lawinia spojrzała w górę, wypuściła mą rękę ze swojej i zadrzała.

Książę Neuiabi salutował orężem!!

### 15. Smętarz

Lawinii drżały skrzydła ze wzruszenia zupełnie jak kuropatewce, nad którą jastrząb buja w powietrzu, a młody Icangi klasnął z radości w ręce i poleciał jak sowizdrzał za zbrojnym hufcem.

— Strasznie jeszcze pstro w głowie u tego Icangi — rzecze Gerwid — za długo przebywał w Snogrodzie, jak można się zachwycać do tego stopnia ludem zbrojnym?

Niebawnie<sup>75</sup> przyleciał Icangi, który na górze Marsowej widział się z księciem Neuiabi i nie mógł się nachwalić jego grzeczności i dobrej miny.

Lawinia z zajęciem słuchała, co opowiadał Icangi, lubo udawała pogrążoną ze mną w rozmowie i że wcale nie uważa na jego słowa.

Wszystko to nie bardzo rozkoszne myśli we mnie wzbudzało, uczułem żądło zazdrości głęboko w mym sercu. Ach! Tak nikczemna na-

---

<sup>75</sup>*niebawnie* (daw.) — niebawem, wkrótce. [przypis edytorski]

miętność znalazła nawet do serca mieszkańców Księżyca drogę.

— Nafirze! Zlituj się, wyglądasz jak człowiek tracący odwagę, to nie przyciągnie ci serca kobiety — szepcze mi do ucha doktor Gerwid.

Uznałem mądrość uwagi Gerwida i zaczerpnąwszy odwagi z głębi mej duszy, wystąpiłem do walki z obrazem księcia Neuiabi, który zdaje się, już się zagnieździł w sercu Lawinii, przedziwnie pięknej, uroczej jak same bóstwo miłości.

Przy obiedzie Gerwid nasunął mi sposobność błyszczenia mym dowcipem i mymi wiadomościami. Lawinia zrazu roztargniona, zaczęła się na mnie spoglądać coraz ciekawszym okiem, jak na jakieś wyższe jestestwo, i nareszcie całkiem zajęta rozmową, zleciała ze mną z sali jadalnej pod szpalery ogrodu i tam się przechadzała aż do późnego wieczora.

Dopiero wówczas spostrzeegliśmy, że jeden z licznych małych wulkanów, otaczających miasto na odległość dwu- czy trzymilową, wyzie-

wał ogień wysoko w niebo i głębokim, jakby tłumionym łoskotem roztrącał powietrze.

Wzbiliśmy się z Lawinią wysoko pod obłoki, aby rozeznać, który to wulkan tak się rozognił.

Był to właśnie wulkan służący naszemu miastu za smętarz<sup>76</sup> i sterczący wśród głębokiego jeziora, zwanego Martwym<sup>77</sup>, dlatego że żadnej ryby ani też żadnego śladu jakiegokolwiek żyjątka w nim dotychczas nie odkryto.

Tu nie chowają umarłych w łonie ziemi, lecz ich wrzucają do krateru, w workach z materii palnej, mniej więcej kosztownej i z ciężarem do nóg przytwierdzonym.

Nieboszczyk zstępuje z wysoka w otchłań zawsze się tlejącą, przy odgłosie muzyki, jeśli jest bogaty, i z szybkością kuli spadającej z zenitu.

Ognie krateru dokonywają dzieła zniszczenia, a popioły wyrzucone wybuchami jego, to-

---

<sup>76</sup>smętarz (daw.) — cmentarz. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>jezioro, zwane Martwym — przypuszczalnie Lacus Mortis (łac. Jezioro Śmierci), niewielki ciemny obszar księżycowy, o średnicy 150 km. [przypis edytorski]

ną w ciągle burzących się falach jeziora bez śladu, tworząc tylko w głębiach pokłady soli wapiennych, potażowych<sup>78</sup> i sodowych.

Był to widok nad wszystkie opisy wspaniały: purpurowy ogień krateru odbijał się milionowymi łunami w zburzonych bałwanach, na których strzaskałby się w tej chwili najmocniejszy okręt, nawet gdyby był ze stali ukuty.

Wielkie mnóstwo mieszkańców miasta i okolic krążyło około krateru ponad jeziorem, modląc się za dusze umarłych, których popioły w tej chwili spadały w wody Martwego Jeziora. Lavinia, pogrążona w smutnych myślach, wsparta na moim ramieniu i utrzymując się wolnym ruchem skrzydeł prawie na jednym punkcie atmosfery, opowiadała mi, że przed laty pięciu jej ojciec, przed trzema zaś jej matka znaleźli grób w ciągle palącym się wnętrzu tego wulkanu.

---

<sup>78</sup>*potażowy* (daw.) — potasowy; por. *potaż* (a. *potasz*, od niderl. *Pottasche*): historyczna nazwa używana na określenie dowolnego minerału zawierającego potas, szczególnie: zanieczyszczona postać węglanu potasu, rozpuszczalna w wodzie część popiołu pochodzącego ze spalania węgla drzewnego, zawierająca również zmienne ilości innych związków potasu. [przypis edytorski]



— Umarli przedwcześnie — mówiła Lavinia — i zostawili nas sierotami, mnie i brata Icangi, wychowanych raczej pieśczośliwie jak<sup>79</sup> starannie, wielkim kosztem, ale tylko na ludzi bawić się lubiących, a do niczego dzielnego niezdolnych. Majątku nam nie zostawili prawie żadnego, jakież to szczęście, że w wujaszku, który się tymczasem z bogacił i pozostał starym kawalerem, znaleźliśmy tak dobrego i hojnego opiekuna. Wujaszek przecież swymi namowami tyle dokazał, że ja przynajmniej w muzyce szczerze się kształciłam i że mój brat wziął się do nauki gospodarstwa ziemskiego z ochotą i wytrwał w niej przez lat kilka, ale któż potrafi dzieciom w naszym wieku zastąpić rodziców? Któż zdoła wyrugować z naszej pamięci ich obraz w chwili, gdy się zegnali z nami, polecając swą duszę Bogu? Biedni rodzice! Oni tak szczerze pragnęli pozostać z nami i wcale nie tęsknili do innego życia, tak jak ja tęskniłam do nich po ich śmierci. Och! Długo tę-

---

<sup>79</sup>*raczej pieśczośliwie jak starannie* — dziś popr. konstrukcja: *raczej (...) niż (...)*. [przypis edytorski]

skniłam i chwilami nawet teraz tęsknię, kiedy jestem smutna, a Ziemia w całej majestatycznej pełni wznosi się na firmament.

Potem spojrzawszy w ogromną, okazałą tarczę Ziemi, rzekła:

— Ach, jakże szczęśliwi muszą być mieszkańcy tej pysznej planety, ukazującej się zdumiałym oczom mieszkańców Księżyca w tak świetnych barwach i kształtach! O! Tam ludzie muszą być nieskończenie szczęśliwsi od nas, nieprawdaż, dobry panie Nafirze? Ty najlepiej o tym wiedzieć musisz.

— Skądżeż ja mam wiedzieć, o miła Lawinio, co się dzieje na Ziemi? — zapytałem zdziwiony tym zagadnieniem Lawinii.

— Wujaszek utrzymuje, że ty jesteś najmądrszym i najuczciwszym człowiekiem na Księżycu i że wiesz daleko więcej od niego samego, który przecież dotychczas uchodził za pierwszego uczonego w całym Jasnogrodzie.

— Istotnie za takiego mnie wystawia<sup>80</sup> doktor Gerwid w swej dobroci i chęci zrobienia

---

<sup>80</sup>wystawić — tu: przedstawić (kogoś w pewien sposób). [przypis edytorski]

mi sławy, lecz nie poczuwam się do zasług odpowiednich tej sławie. To wiem, że są na Ziemi mieszkańcy obdarzeni rozumem i wolą, lecz z ich dzieł sterczących na ziemi i bujających po wodach wnoszę, że mieszkańcy Ziemi nie mają skrzydeł.

— Więc bujają po powietrzu bez skrzydeł, tym lepiej, te skrzydła czasami bardzo niewygodne, dlatego najwięcej, że są pozbawione czucia. Już razy kilka oparzyłam sobie i pogmiotłam skrzydła, nieraz mi też zawadzają w tańcu w salonie.

— Ludzie na Ziemi wcale nie bujają w powietrzu, chyba za pomocą balonu, którym, jak się zdaje, jeszcze nie umieją kierować.

— Więc jakże się przenoszą z miejsca na miejsce, to chyba jak głos wibracjami powietrza?

— Przenoszą się piechotą, końmi i za pomocą pary po ziemi i po wodzie, i wcale nie podróżują po powietrzu, tak jak my, szczęśliwsi od nich mieszkańcy Księżyca.

— Musisz się mylić, kochany Nafirze; istoty rozumne mieszkające na Ziemi o tyle muszą być szczęśliwsze od nas, o ile Ziemia jest piękniejsza od Księżyca; i ja po mej śmierci chcę być przeniesiona na Ziemię, gdzie niezawodnie znajdę ojca i matkę, bo czemużbym tęskniła do Ziemi, gdyby ich duszy tam nie było? A czemuż by oni po tak cnotliwym życiu mieli zejść na padół nieszczęśliwszy od naszego? Nie, panie Nafirze! Ziemia jest doskonalsza od Księżyca i ludzie tam nie potrzebują skrzydeł do przenoszenia się z miejsca na miejsce, tylko mkną siłą woli swojej jak głos po przestrzeni. Ach, patrz, Nafirze, na tę piękną Ziemię, która teraz w całym majestacie buja na firmamencie i swym blaskiem zaciemnia ogień tego wulkanu. Och! Tam ludzie szczęśliwsi! Może stamtąd mój ojciec i matka patrzą w tej chwili na swój grób, i mnie tu widzą płaczącą nad nim. Och, niezawodnie! Bo tam daleko lepsze od naszych muszą mieć teleskopy, wszystko tam doskonalsze i piękniejsze.

Łzy żalu i tęsknoty spadały z oczu Lawinii w wody Martwego Jeziora.

Widząc ją w tak uroczystym usposobieniu, nie miałem odwagi paraliżować jej wyobraźni, wzniesionej do tak szczytnego egzaltu<sup>81</sup>.

— Chciałabym widzieć przystojnego mężczyznę, mieszkańca Ziemi, musi być piękny jak Bóg — doda Lawinia, podając mi rękę, bo już jej skrzydła słabnąc zaczęły do tego stopnia, żeśmy wrócić musieli na ląd i odpocząć na kopule panteonu jasnogrodzkiego.

Lawinia wsparła głowę na ramieniu moim i znękana uczuciami dnia tego usnęła. Jest ze mną jak siostra z bratem, a znamy się dopiero od dnia dzisiejszego!

Ach, cóż to za cudny wdzięk niewinności w tej twarzy, błyszczącej rozumem, w tym czole jaśniejącym roztropnością!

Lawinio! Czymże się różnisz od aniołów?

Niczym!

---

<sup>81</sup>*egzalt* — egzaltacja; uniesienie uczuciowe. [przypis edytorski]

## 16. Wynalazki

Raz nam tu wiatr zawiał aż na Księżyc ułamek z jakiejś gazety na Ziemi drukowanej, a doktor Gerwid, który, jak się zdaje, zna wszystkie języki i umie czytać wszystkie pisma, następujące na tym świstku wyczytał zdania o wynalazkach, którymi się obecnie chlubi Ziemia:

„Igła magesowa odkryła nam nowe dla nas światy i dała znowu początek różlicznym wynalazkom i sama stanowi epokę ważnych odkryć, jakie za jej pośrednictwem dokonane zostały. Później sztuka drukarska i sztuka strzelnicza, jak meteory jakie, świecą pośród tysiąca innych wynalazków swoją ważnością i bogactwem następstw, jakie sobą wywołały, a do czegoż nas nie doprowadzą postępy aeronautyki, które zawdzięczamy Gawarniemu, jeśli do niej zastosujem najnowszy i najważniejszy ze wszystkich wynalazków tu u nas, w Warszawie dokonany, machineę nieustającego ruchu, wynalezioną przez Adolfa Hofmana, stolarza z Włocławka.

Druga mianowicie połowa upłynionego stulecia i początek naszego wieku tak obfity był w wynalazki, iż prądem swoim uniósł nas aż do granic nowej ery, do której wrota otwarła nam para, koleje żelazne, statki parowe i maszyny parowe, które w ogólności wstrząsnęły do posad i na nową wprowadziły drogę fabryki i wszelkie dotychczasowe rękodzielnie i rzemiosła. Badania w dziedzinie chemii poczynione naprowadziły na odkrycie oświetlenia gazem i na wynalezienie dagerotypów i fotografii. Chemia wskazała sposób wyrabiania słodkiego cukru z głupich buraków, piorunowej substancji z łagodnej bawełny, a dobroczynnego chloroformu z podłej wódki kartoflanej.

Wynalazki w dziedzinie maszyn poczynione doszły do zadziwiającego stopnia doskonałości i przemysłu. Dostyc przytoczyć tutaj maszyny parowe do przędzenia i wyrobu wełny, do bicia monet, maszyny drukarskie, które w jednym swym

końcu przyjmując arkusz białego papieru, w drugim końcu oddają go po obu stronach oddrukowany z szybkością zastępującą cztery inne w tym celu maszyny. Chronometry tak ważne w morskich podróżach, dzisiaj z taką wykonywane są ścisłością, iż po odbyciu dwóch podróży naokoło świata, zaledwie o  $1/3$  część sekundy nie zgadzają się. Zegarek, niezajmujący więcej nad jeden rubel przestrzeni, wskazuje z niesłychaną dokładnością i wybi-ja godziny i kwadranse, wskazuje sekundy i tercje, oraz daty z kompensacjami na zmianę temperatury, ubezpieczone od następstw uderzenia.

Optyka wprowadziła rozliczne także wynalazki, wskazała udoskonalenie szkieł achromatycznych, teleskopów, mikroskopów, oftalmoskopów i tym podobnych narzędzi, którymi dojrzeć można aż do Księżyca i przekonać się, że na nim są góry, morza i lasy.

Fizyka także niemało w ostatnich czasach przysłużyła się swymi odkryciami i wy-



nalazkami. Tu należy latarnia bezpieczeństwa Davego, odkrycia Bisteda i Faradya poczynione w dziedzinie magnetyzmu, elektryczności i galwanizmu i zastosowanie nie tylko do medycyny, ale nawet do chirurgii przez galwanokaustykę<sup>82</sup>.

Wynaleziony i udowodniony przez tych mężów prąd galwaniczny stał się źródłem, z którego wytrysnęła niezliczona ilość innych odkryć, oświeciły wiele niezbadanych dotąd fenomenów, umysł człowieka niby z dzieciństwa prowadząc do coraz wyższego i dojrzalszego swego rozwoju, i grożą już dzisiaj obaleniem siły pary, zastąpić ją mając nadzieję tym galwanicznym prądem. Telegrafia elektryczna zniszczyła przeszkodę przestrzeni i czasu, a aerostatyka, pracując nad udoskonaleniem powietrznej żeglugi, dopełni może wkrótce oddania nam w ręce tego wszechwładz-

---

<sup>82</sup>*galwanokaustyka* — metoda wykorzystująca prąd stały, w której rozżarzonym kauterem dokonuje się koagulacji białka, co prowadzi do zamknięcia naczyń krwionośnych; używana m.in. do aseptycznego usuwania chorej tkanki (np. polipów). [przypis edytorski]

twa nad przyrodą, które się człowiekowi z wyroków Stwórcy należy.

Wkrótce człowiek-ptak zaleci na Księżyc i zrobi sobie z niego swą kolonię, potem wtargnie na Słońce, obetnie mu promienie i sprzedawać będzie jak tyczki do chmielu na rynku starego miasta”.

Tyle jest słów gazety, która, jak się zdaje, jest rodzajem *Ewangelii* u biednych mieszkańców Ziemi.

Otóż w ten sposób rozumują ludzie pełzający po Ziemi! Daleko skromniejsi są skrzydlaci mieszkańcy Księżyca, którzy używają dobrodziejstwa telegrafów akustycznych, książek gadających, zegarów odpowiadających na pytania, maszyn w ciągłym ruchu pozostających bez pomocy pary i elektryczności i stu innych nieznanym nam rzeczy ułatwiających im wygodę życia, naukę i postęp wszechstronny.

Nie! Żaden mieszkaniec Księżyca jeszcze nie śmiał powiedzieć, że wszechwładztwo nad przyrodą należy się człowiekowi z wyroków Stwór-

cy i że wkrótce śmiertelny, a nawet nieskrzydlaty syn natury osiągnie cel swoich życzeń, o władnie swą matkę i panować nad przyrodą będzie *ten*, nad którym panuje tutaj awanturnik, tam kobieta, ówdzie człowiek niewidomy, a gdzie indziej jeszcze pijanica.

Ludzie na Ziemi strasznie zarozumiali, daleko skromniejsi ludzie na Księżycu; nie myślały wydzierać naturze berło, a jednakże więcej się zbliżyli do źródła jej tajemnic i to dzięki mnie, dzięki mojemu eliksirowi długowieczności, którego wynalazek nie dokonał się wcale przypadkowym sposobem, lecz był owocem głębokich badań i bystrych spostrzeżeń rozległej nauki i genialnych pomysłów.

Tak jest, i moje odkrycie było zamierzone, umyślne i nikt przede mną nie zgęścił za pomocą optyki i chemicznego powinowactwa promieni słonecznych w krople ani nawet o tym nie pomyślał.

Długowieczność zawarta w diamentowym flakoniku jest u mnie w kieszonce na piersiach! Na kolana przede mną, o ludzie, którym po-

trzeba kilka lat więcej życia dla pogodzenia się z Bogiem lub dla dokonania jakiego chwaleb- nego czynu!! Ja wam je przedam<sup>83</sup> bezpłatnie, a wam, którzy żyjecie dla zemsty, dla dumy lub tylko dla osobistej rozkoszy, nie dam ani kro- pli, nawet za milion!

Lachesis! O miła Parko<sup>84</sup>, która przędziesz wątek życia śmiertelnych istot, uznaj mnie za brata, urośnie ci pod rękoma kądziel, o Klo- tos, gdy miłych mi ludzi los w twych palcach trzymać będziesz. Mniej łez wylejcie, o do- bre Parki, od tej chwili nad krótkością zasobów życia lubych wam istot. Lecz jakżeby wam tu przesłać nowinę tego odkrycia? Na to nie wy- starczy telegraf akustyczny doktora Gerwida. I jak będziecie zdziwione, kiedy naraz, za chwi- lę, ujrzycie nić życia księcia Wadwisa mocniej- szą i dłuższą! Komuż to przypiszecie? Same- mu Zeusowi czy jego wnukowi, Asklepiosowi?

---

<sup>83</sup>przedać (daw.) — sprzedać. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>Parka (mit. rzym.) — prządka losu; odpowiedniczka Mojry w mit. gr. (były trzy siostry Mojry, córki Zeusa i Temidy, bogini sprawiedliwości: Kloto, która przędła nić życia ludzkiego, Lachesis, która czuwała nad nicią, oraz Atropos, która nić przecinała). [przypis edytorski]

Och nie! To mnie się należy ta zasługa, mnie jednemu, śmiertelnikowi, który tego daru nie nadużyje nawet dla siebie samego, gdyby życie jego nie miało wartości dla świata i dla Boga.

### 17. Kuracja

Więcej na skrzydłach tych myśli, jak na moich własnych piórach puszczam się nocną porą z mą zdobyczą ku zamkowi gubernatora, znajduję jego prywatne okno otwarte i wiskam się przez nie do sypialni księcia, nie zważając na *qui vit* szyldwacha.

— Doktorze! — rzecze na łożu leżący książę. — Na miłość Pana Boga! Wkradasz się do mnie jak...

— Kończ, mości książę, dostojną myśl twoją, tak jest, wdzieram się do ciebie jak złodziej, nic więcej, jak złodziej, bo nim jestem, okradłem Słońce z kilku promieni, które do niego już nigdy nie wrócą, jaśnie oświeconemu losowi twemu zadałem kłamstwo, a pannie Atropos, gotującej się przerznąć nić miłościwego życia twego, wytrąciłem nożyce z ręki. Mo-

ści księżę! Uznaj we mnie Prometeusza nie nagięgo, do skały przykutego z sępem na wątrobie, jak go przedstawiają malarze, lecz Prometeusza dziewiętnastego wieku, we fraku i kłaku<sup>85</sup>, w czarnych okolicznościach i lakierowanych butach, z okularami i skrzydłami...

— Masz tam tedy! — krzyknie wielki pan. — Jestem, niech mnie diabli porwą, pacjentem wariata...

— Uspokój się, mości księżę, przebacz, że zapału mego hamować nie umiałem w twojej jasnie oświeconej obecności, lecz inny na moim miejscu byłby istotnie oszalał, wiedząc, iż trzyma w swej kieszeni rękojmię długowieczności męża tak potrzebnego krajowi i całej ludzkości. Oto, księżę, moje promienie ożywcze go słońca, nie pokazuję ci ich w kształcie pochodni lub lontu, lecz jak widzisz oto w płynie, zawarte w flakoniku, jedną kroplą tej cieczy wzmacniam ci puls, oswobadzam oddech, z głowy zdejmuję ciężar, z serca troski i na-

---

<sup>85</sup>*klak* — szapoklak; składany cylinder, nakrycie głowy popularne w XIX w. wśród wyższych sfer. [przypis edytorski]

daję ciału całemu sen ożywczy, po którym się uczujesz za godzin osiem o tyleż lat młodszym człowiekiem. No! Dowierzasz mi, książę?

— Pierwszą próbę na mnie chcesz zrobić, doktorze — rzecze, truchlejąc, książę.

— Pierwsza próba szczytnego wynalazku niech się odbędzie na twym szlachetnym zdrowiu. Znadto jestem pewny skuteczności mego lekarstwa, stanowiącego erę w dziejach świata. Zresztą jedna kropla żadnej substancji szkodzić ci nie może.

— Ach, ba! Kwasu pruskiego jedna kropla zabija — zarzuci książę.

— Kwas pruski robi się z padliny, a mój eliksir życia z promieni słońca, mój książę, jak początek, taki i koniec. Elixir życia właśnie jest jedynym, dotychczas na próżno szukanym antidotem kwasu pruskiego.

— Gotówes mi wszczepić kawałek słońca w żołądek twymi promienistymi kroplami i zrobić mnie prawdziwą światłością, będę świecić jak świętojański robaczek, jak latarnik lub jak stróż nocny, noszący latarkę na brzuchu.

Ale wiesz co? Doskonała myśl, każę strąbić wszystkich stróżów nocnych stolicy przed mój pałac i zadasz im po kropli twego słońca, może to nas doprowadzi do oszczędzenia świec dla straży nocnej.

— Wolne żarty jaśnie oświeconemu panu, ale za nic w świecie nie będę profanować eliksiru życia na taki cel. Od ciebie chcę zacząć, mój książę, i tak jestem pewny skutku, że się ofiaruję pozostać jako zakładnik tu przy tobie i spędzić w tym samym pokoju resztę nocy, aż do twego przebudzenia i odmłodzenia.

— Pod takim warunkiem zgadzam się na wszystko, ale nie weźmiesz mi za złe, że obstawię wszystkie drzwi, okna i kominy szyldwachami i że strzelać każę do każdego, który by drzwiami, oknem lub kominem chciał wylecieć z tej sypialni.

— Nawet i wentylatory, i rurki od wody i gazu każ obstawić szyldwachami, mój książę; nie obawiam się żadnego zawodu i chętnie tu zostanę, czuwając nad twym dostojnym snem



i jaśnie oświeconymi marzeniami waszej światłości.

Przyjął nareszcie, jeszcze po kilku nowych ceregielach, jedną kroplę eliksiru długowieczności, uczuł się nadzwyczaj pokrzepiony i usnął snem sprawiedliwego, ja zaś, uszczęśliwiony tym dobrym skutkiem, nie spuszczałem oka z pulsometru, z pulsoskopu, z respirometru, z respiroskopu i z kilku innych przyrządów, którymi lekarze na Księżycu badają i mierzą objawy, wszelkie sprawy życia w chorym i zdrowym człowieku.

Wszystko w jak najlepszym, prawidłowym, jak sobie życzyłem, odbywa się postępie. Usnąłem nareszcie sam i przebudzony zostałem przez samego pacjenta, który odziany w wicemundur stał przede mną wyprostowany i serdecznie mnie uściskał, gdy się równymi nogami zerwałem z kanapy.

— *Experimentum factum*<sup>86</sup> — zawoła silnym głosem książę Wadwis. — Poznajesz mnie,

---

<sup>86</sup>*experimentum factum* (łac.) — eksperyment dokonany (został). [przypis edytorski]

lekarzu? Bo ja to sam siebie zaledwie poznać mogę i od dawna nie czułem się tak rzeźwy.

Nawet buty z ostrogami przywdział stary żołnierz, buty z ostrogami, do których tęsknił od tak dawna jak kania do deszczu lub rekonwalescentka do czepka. Ostrogi brzękiem swoim przypominają mu dawne czasy rycerstwa i parad, i o nich zaraz pomyślał, gdy się uczuł silniejszy i zdrowszy. I ja od tej chwili pokochałem ostrogi jako najmilsze zwiastuny szczęścia dla mnie.

## 18. Wdzięczność pacjenta

— A zatem: *exegi monumentum aere perennius*, pomnik sobie postawiłem nad spizowy trwalszy, już o tym wątpić nie mogę, mości książe, widząc cię dzisiaj prześlicznym, a przypominając sobie, żeś wczoraj, przed ośmiu godzinami jeszcze był zgrzybiałym, ledwie się ruszać mogącym i po prostu powiedziawszy, prawie dogorywającym starcem. Tak nagła przemiana...

— Jest ona pod wszystkimi względami widoczna i jest twoim dziełem, wcale o tym wątpić nie można — rzecz z niezwykłą żywością księżę, jeszcze mnie raz ściskając i unosząc z ziemi w górę jak piórko, a potem, folgę dawszy serdecznym uczuciom swoim, doda: — *Exegisti monumentum aere perennius*<sup>87</sup>, nie ma co mówić, że cię czeka nie jeden, ale tysiąc pomników, o tym żadnej wątpliwości być nie może, ale i to pozostanie prawdą, że *bis dat qui cito dat*<sup>88</sup>. Mnie tłoczy ciężar wdzięczności tobie winnej, o świetny mój doktorze, i to tym więcej, im lepiej sobie przypominam, z jaką niewiarą przystępowałem do użycia twego cudownego środka. Chciałbym ci natychmiast, idąc bez żadnej przewłoki za popędem mego serca, okazać wdzięczność moją i to w sposób tobie najmilszy. Wiesz, że moja potęga jest wielka, bo sam monarcha tyle we mnie pokłada zaufania, że na czas pobytu swego u wód mi-

---

<sup>87</sup>*exegisti monumentum aere perennius* (łac.) — wzniosłeś pomnik trwalszy niż ze spiżu. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>*bis dat qui cito dat* (łac.) — dwukrotnie [więcej] daje, kto daje szybko. [przypis edytorski]

neralnych żadnemu z swych najdostojniejszych krewnych, lecz mnie, żołnierzowi, który tylko waleczności winien swe wywyższenie, powierzył rządy stolicy i kraju. Więc czegoż pragniesz? Może pieniędzy? Mogę ci zaforszować<sup>89</sup> pół miliona na rachunek milionów, którymi cię niezawodnie najjaśniejszy pan obdarzy za twe wielkie odkrycie. Pragniesz może honorów? Mogę ci udzielić niższe stopnie aż do komandorskiego, orderu szmaragdowej jaszczurki, postanowionego dla mężów, którzy oddali usługi naukom przyrodzonym, i zarazem orderu węża brylantowego, postanowionego na uczczenie usług oddanych medycynie. Jestem pewien, że sam monarcha wręczy ci potem wielkie ozdoby tych dwóch orderów, a może postanowi z powodu twego odkrycia order Prometeusza, prosząc, abyś ty, Nafirze, raczył sprawować dostojęństwo wielkiego mistrza tego orderu i przyjął w grono jego kawalerów, a twych podkomendnych samego najjaśniejszego pana. Ha, ha! Mój przyjacielu Nafirze, z którym pra-

---

<sup>89</sup>*zaforszować* (daw.) — wypłacić zaliczkę. [przypis edytorski]

gnę być od tej chwili *ty* a *ty*<sup>90</sup>, tak jak z najrodzeńszym bratem, ha, mój przyjacielu! Jakież ciębie oczekują zaszczyty w tym królestwie i na całym Księżycu! Och, kochany przyjacielu i życiodawco, nie minie cię nagroda godna tak wielkiego, rozumowi ludzkiemu taką chlubę robiącego wynalazku.

— Mój dobry książę — rzeknę na to, już cokolwiek spoufalony — nie mówmy w tych uroczystych chwilach przyjacielskiego uniesienia o żadnych nagrodach, którymi monarchowie wynagradzają zasługi uczonych. Moja prawdziwa, najlepsza nagroda jest tutaj w sumieniu, tutaj w sercu, tej mi nie jest w stanie ani nadać, ani wyrwać żaden monarcha. Racz się zatem, o wielkorządco, jeszcze wstrzymać z obkładaniem mnie orderami jaszczurki, węża i Prometeusza i nie budź śpiącej jeszcze a straszliwej zawiści synów Eskulapa, niecierpiącej wszystkiego, co zanadto świeci. Używaj, książę, w spokojności rozkoszy powracającego ci zdrowia. Ależ

---

<sup>90</sup>być (...) *ty* a *ty* — mówić komuś na ty; być z kimś w bliskich stosunkach (za pan brat). [przypis edytorski]

mnie dziwi niezmiernie, dostojny mój przyjacielu, że tu nie ma księcia Neuiabi, że syn nie cieszy się widokiem ojca, co tak nagle wrócił do sił i zdrowia.

— To dalibóg prawda, gdzież jest książę Neuiabi? — spyta wielkorządca, zadzwoniwszy na kamerdynera.

— Odbywa przegląd swego pułku — odpowie kamerdyner.

— Cóż u kaduka! — krzyknie książę Wadwis. — Od tygodnia codziennie bawi się rewiami, jak gdybyśmy byli bardzo bliscy wojny z sąsiadami, a wprzód przez rok cały ani razu nie widział pułku w komplecie i czas trawił na muzyce i malarstwie. A gdzież się odbywa przegląd?

— Przed obserwatorium rzeczywistego radcy zdrowia Gerwida, gdzie się od tygodnia zwykle odbywa, czasami nawet dwa razy — odpowie adiutant księcia, który tymczasem przybiegł.

— Jest w tym coś, do miliona diabłów, że Neuiabi wybiera takie miejsca na swoje pa-

radę, pobudki i capstrzyki<sup>91</sup> — rzuca do siebie wielkorządca, kazawszy odejść adiutantowi i kamerdynerowi.

— Och! Jest w tym coś, mój dostojny pacjentcie i panie — rzeknę płaczliwym głosem i szlochając, dodam: — księżę Neuiabi bałamuci mi ideał tymi paradami, przeglądami z ogniem i bez ognia, tymi pobudkami i capstrzykami, które żołnierza bardzo męczą i drą mu mundur, bo wszystko to się odbywa w najparadniejszych sukniach, w hełmach i pancerzach. Otóż tymi rycerskimi sposobami waleczny księżę Neuiabi usiłuje się wkraść w serce Lawinii i mnie z niego wyrzucić.

— Bałamuci ci ideał, mój biedny doktorze, wtenczas kiedy ty pracujesz tak mozolnie nad przywróceniem jego ojcu zdrowia? To niegodnie! Każę go natychmiast aresztować na czele pułku i w oczach pięknej panny Lawinii.

— Mości księżę, aby nie to! Zgubiłbyś mnie na wieki, a jego wzniósłbyś w sercu Lawinii do potęgi męczennika, otoczyłbyś go wszystkimi

---

<sup>91</sup>capstrzyk — [przypis edytorski]

urokami prześladowanej cnoty. Nie, panie, nie aresztuj księcia, ale jeśli ci miłe szczęście i życie twego całkiem ci oddanego lekarza, to usuń stąd na czas niejaki pod jakim pozorem twego syna, bo inaczej Lawinia, dla mnie przeznaczona przez samego wuja Gerwida, zachwyci się nim na zabój, a przecież sam dostojny książę nigdy nie zezwoliłby, żeby jego syn ożenił się z panną nieposiadającą historycznego nazwiska.

— Za nic w świecie, chociaż mówią, że panna Lawinia tak jest cudnie piękna, że już z powodu swej piękności uchodzić może za historyczną osobę. Muszę ja to sprawdzić, może jeszcze dzisiaj, bo jakoś czuję się dziarsko na siłach i zdaje mi się, że widok ładnej, miłej kobiety jakoś dopomógłby skuteczności tych kropli. Co zaś do księcia Neuiabi i jego bałamuceń twego ideału, to ci powiem, doktorze, że dla niego już dawno obmyśliłem partię, która nowego doda blasku naszemu rodowi: Neuiabi ma i musi się żenić z wdową po ogromnie bogatym królewskim księciu Nicostawie, któ-



ry wprawdzie jeszcze żyje, ale już, jak to mówią, z ostatniej pizcząłki dmucha. Otóż najlepiej będzie usunąć dobrodzieja ze sceny i posłać go gdzieś niby w ważnej misji za granicę, najlepiej do Snogrodu na powitanie wicelamy, który tamże zjechał dla objęcia rządów. Zaraz telegrafuję do monarchy mego i proszę, żeby syna mojego zaszczycono misją poniesienia ukłónów i zapewnien przyjaźni. Bądź spokojny, mój zyciodawco, nie pozwolę ci krzywdy wyrządzić; ty tymczasem zaraz po wyjeździe niebezpiecznego Neuiabi przypuść szturm do serca pięknej Lawinii i ożeń się jak najprędzej, jeszcze nim wróci; ułatwię ci nawet uzyskanie dyspensy od zapowiedzi. No cóż, doktorze, czyś zadowolony ze mnie?

— Więcej jak<sup>92</sup> gdybyś mnie, książę, był obsypał dziewięciu orderami Prometeusza, węzów brylantowych i szmaragdowej jaszczurki.

Chciałem się rzucić na kolana, książę powstrzymał mnie i serdecznie do piersi przycisnął.

---

<sup>92</sup>więcej jak — dziś popr.: więcej niż. [przypis edytorski]

## 19. Szarlatanizm

Dotrzymaliśmy sobie nawzajem słowa: księżę Wadwis wyekspediował syna swego z ukłonami do Drzemniawy, stolicy państwa Snogrodzkiego; ja zaś postawiłem go na nogi, ale tak doskonale, że wszystkie obowiązki jako wielkorządca i głównie komenderującego korpusem jenerała mógł objąć, dzielnie pełnić, a nawet na koniu harcować przed jedynym w tych okolicach konsystującym pułkiem jazdy, niewiele bowiem jej tu użyć można i tylko w razie wojny z Ciemnostanem jest niezbędna dla pokrycia granicy płaskiej od strony morza.

Sława moja rozeszła się odgłosem krocio-gębnym wszystkich telegrafów akustycznych po całym kraju Galangów i po całym Jasnogrodzie. Codziennie przybywało do mnie tak wielkie mnóstwo chorych, zwłaszcza starców z odległych okolic, że wszystkie hotele nimi były zapełnione i wkrótce nawet w nich zabrakło miejsca. Każdy tu chciał żyć dłużej, a nawet tacy, których życie nikomu na nic się nie zdało i owszem, jeszcze innym potrzebnym świa-

tu ludziom zawadzało, najwięcej garnęli się do mnie. Rozkosznicy ofiarowali mi złote góry za odżywiające krople, utrzymując, że ich potrzebują do nawrócenia się i przepędzenia reszty życia w skrusze i modłach.

Nie wszystkich można było odżywiać wzmacniającym nektarem: tacy, u których chorobliwe przetworzenia brały w organach szlachetniejszych górę nad zdrowie, zamiast korzyści odnosili tylko szkodę z wzmocnienia prądu życia, zresztą wierny zasadzie mojej, uroczyście zaprzysiężonej wobec zawezwanego na pomoc Boga, nie udzielałem prawdziwego eliksiru życia rozpustnikom lub ludziom pędzącym życie w gnuśności; żadnemu jednakże z powierzających mi się pacjentów nie odmawiałem wyraźnie ani pomocy, ani lekarstw, każdego dobrze wybadałem pod fizycznym i moralnym względem, który tylko do mnie się uciekł po radę. Jedni otrzymywali prawdziwe krople życia, nawet bezpłatnie, jeśli byli ubodzy; drudzy otrzymywali tylko coś kolorem do mego eliksiru podobnego, nawet za drogie pieniądze, które

w tym razie przeznaczałem na dobre uczynki, mianowicie na założenie domu przytułku dla ubogich starych, wysłużonych i ubogich młodych, nadzieję rokujących lekarzy.

Takim sposobem, chcąc nie chcąc, zapuściłem się w dotąd obrzydliwą dla mnie drogę szarlatanerii i przekonałem się z wielką boleścią serca, że najuczciwszy człowiek, gdy jest lekarzem i gdy wielkiej dostąpi wziętości, musi dla dobra ogółu, sztuki swojej i swego własnego odstąpić cokolwiek od miłej mu rzetelności. Z tej przyczyny nie potępiajmy tak łatwo dobrze intencjonowanych lekarzy i nie bierzmy za złe panu Wurmsky, sławnemu lekarzowi w Drzemniawie, że w wyjątkowych okolicznościach leczy suchoty kwasem siarczanym, lodem i zimnymi kąpielami, skrofuły kąpielami z sublimatu i że nudy fantastycznego bogatego szlachcica rozpędza katedryzowaniem stopniowym *à la major*. *Melior anceps medicina quam nulla medicina*, lepiej niepewne lekarstwo jak żadne, mówi sobie w najlepszej wierze doktor Wurmsky, a że kwasy i zimno jeszcze nie zоста-

ły użyte przeciw suchotom, a że lepiej się wprawić w katedryzowanie na żyjącym i płacącym szlachcicu jak na szpitalnym trupie, więc czemuż nie próbować nowego lekarstwa przeciw nieuleczonej chorobie i bolesnej operacji przeciw nudom życia bezużytecznego?

Otóż i ja szarlatanizowałem, wprawdzie nie w tak wyraźny i zbyt rażący sposób, lecz jednakże na stopę dość widzialną i martwiącą dla własnego sumienia mojego; i jedynie tym się pocieszałem, że dobroczynność z mej szarlatanerii skorzysta.

## 20. Nieprzyjęty podarunek

Jakim sposobem zmusiłem promienie słońca do zgęszczenia się w płyn, tego nikomu nie wyjawiałem, nawet doktorowi Gerwidowi, zbyt delikatnemu, aby mnie się śmiał wypytywać o nią.

Umiejąc jednakże uczcić ciągle mi okazywaną przez kolegę mego przyjaźń i potem ze względu na dobro ludzkości, która powinna była korzystać z tak wielkiego odkrycia, spisałem jak najszczegółowiej tajemnicę wyrobu kropli

życia i opieczętowawszy ją w dwanaście kopert, darowałem Lawinii, robiąc ją legatorką<sup>93</sup> sekretu, w razie gdybym miał zejść nagle i niespodziewanie z tego świata.

Ta darowizna odbyła się uroczyście, w dziewiętnastą rocznicę urodzin Lawinii, wobec wielu zgromadzonych na świetną ucztę osób, którą nawet książę Wadwis, od pewnego czasu bardzo częsty gość doktora Gerwida, raczył zaszczycić swą obecnością.

Lawinii stanęły łzy w pięknych oczach, tak była rozrzewniona tym dowodem mego zaufania; po pierwszy raz w życiu nie umiała odpowiedzieć inaczej, ależ co mogło być wymowniejsze w tej chwili, jak owe łzy dziewicy, widzącej się depozytorką największego sekretu, jaki istniał na świecie.

Stary Gerwid także łzy osuszał po kryjomu i raz na mnie spoglądając okiem pełnym serdeczności, drugi raz ośmielając Lawinię do odpowiedzi, zdawał się oczekiwać, że ta uro-

---

<sup>93</sup>*legatorka* — powiernica. [przypis edytorski]

czysta chwila zrodzi jeszcze inną uroczystsza, stanowczą dla szczęścia mojego.

Lecz dziwna rzecz, Lawinia pozostała milcząca i dopiero przemówiła, gdy ksiązę wielkorządca do niej się zbliżył i coś szepnął w jej ucho.

Lawinia rzekła słabym, drżącym głosem:

— Panie doktorze, zacny nasz i świetny przyjacielu, łzy, których utaić nie mogłam, a nie spodziewałam się przelewać w tym dniu dla mnie uroczystym, są dowodem uczuć przejmujących mnie na ten dowód twego szacunku, objawianego w tak dostojnym i licznym gronie, *mnie*, zupełnie nieprzygotowanej na takie wzruszenie. Ja mam być depozytorką tajemnicy najważniejszego odkrycia, jakie zostało dokonane może od stworzenia świata? Nie, mój przyjacielu, na to moje ręce za słabe, nie miałabym spokojności ani na chwilę, mniemając, że jestem w posiadaniu zdradzieckiej puszki Pandory. Powierz raczej tę tajemnicę całej ludzkości, żeby wszystkie istoty na Księżycu mieszkające z niej korzystały i sławiły cię jako isto-

tę również szlachetną, jak uczoną; lub jeśli się chcesz utrzymać przy przywileju tajemnicy, to ją każ zamknąć w granitowym bloku, którego całości strzec będą sztyldwachy samego najjaśniejszego pana. Mnie ciąży ten ogrom odpowiedzialności nawet w tej chwili w moim słabym ręku i dopiero uschną łzy tak niespodzianie przelane, gdy go nazad przyjmiesz w twe dłonie.

Mówiąc to, Lawinia uchwyciła mnie za ręce, szczerze je uściskała i dopiero je puściła, gdy w nich utkwiał sekret opieczętowany dwunastu pieczętkami.

Nigdy tak bolesnego nie doznał wrażenia jak wtenczas ani tak przykrego zawodu.

— Więc pójdę za radą twoją, o szlachetna dziewico — rzeknę, zrywając jedną po drugiej kopertę — i w tej uroczystej chwili, w tym szczęśliwym domu, w którym ty oddychasz, o aniele piękności i rozumu, ogłoszę całemu światu tajemnicę długowieczności przeze mnie odgadniętą...



— Nafirze, przebóg! Co robisz! — krzyknie Gerwid, wrywając mi z rąk zapieczętowany jeszcze na pół tuzina pieczętek papier. — Król ofiaruje ci dwa miliony złotych, wielką wstęgę orderu węża brylantowego i szmaragdowej jaszczurki, i posadę ministra zdrowia publicznego za tę tajemnicę, będziesz jednym z pierwszych dygnitarzy kraju! Ja tobie chowałem tę niespodziankę.

— Nie będę żadnym dygnitarzem, przyjacielu Gerwidzie, źle przystoją dostojęństwa, tytuły i ordery synowi Eskulapa, którego największą powinno być rozkoszą oddawać usługi, częstokroć z upokorzeniem graniczące, najuboższym swym bliźnim. Chrystus Pan był ubogi, strzechy nie miał swojej i jedną tylko suknię, i nogi mył zdrożonym żebrakom: ja chcę pozostać ubogi i żebym nigdy nie był kuszony urokami bogactwa i honorów, głoszę tu wszem wobec i każdemu z osobna, że promienie słońca zostały przeze mnie uchwycone i zgęszczone.

— Nafirze! Nafirze! Jeszcze jedno słowo — krzyknie, padając mi do nóg, doktor Gerwid — ciebie unosi rozpaczliwe, a mnie wiadome uczucie.

I przyskakując do mnie, potarł mi organa pamięci nad okiem zawarte jakimś ożywiającym płynem, od którego zaświeciło mi się w głowie tysiąc kandelabrow, a potem rzekł jakimś językiem, którym na Księżycu nikt nie przemawiał:

— Serafinie! Synu Ziemi! Jeśli zdradzisz tajemnicę, to cię zaklnę w imię Polski i rodziców twoich i wrócisz na padół płaczu i boleści, na którym nie znajdziesz ani Lawinii, ani Malwiny!!

Struchlałem i na całym ciele zadrzałem, a w tej chwili Gerwid wydawał mi się wielki i groźny jak Atlas noszący niebo na swych barkach.

Ukorzyłem się przed rozkazującą istotą i na jego żądanie przysiągłem, że nie wydam tajemnicy, chyba za korzyści odpowiednie jej wielkości, a do mego własnego rozporządzenia pozostawione.

I znów Gerwid jednym zażegnaniem oswobodził mnie od kandelabrow, świecących w mej głowie, to jest od pamięci przeszłości.

— Więc tobie, dobry przyjacielu, powierzam tę tajemnicę — rzekłem, ochłonąwszy z wyruszenia.

— A ja przysięgam uszanować ją, i chyba po twojej śmierci, która może nastąpić nagle i nieprzewidzianie, tak jak niejednego zaskoczy, użyję jej na korzyść Lawinii, dla której się zrzekłem wszelkich korzyści, gdybyś nie zezwolił pójść za naszą radą i podczas swego życia nie chciał z niej zrobić użytku.

Podczas kolacji, która teraz nastąpiła, stary książę Wadwis nadzwyczaj wiele zajmował się panną Lawinią; taki urok wywierała ta młoda, prześliczna osoba, że najstarsi ludzie i najmłodsze dzieci nie mogły patrzeć na nią bez doznawania owych sympatycznych wstrząśnień, które najmilej pobudzają sprężyny życia do działań. Toteż sędziwy wielkorządca, który przed dziesięciu dniami ledwie dyszał i prawie do-

gorywał, teraz w widoku tyłu<sup>94</sup> piękna, życia i świeżości czuł się do tego stopnia wzniesiony, że swych siedemdziesięciu lat, siwych włosów i wypierzonych lotek zupełnie zapomniał i na dobre mniemał, że jego gęste włosy w peruce i przyprawione sztucznie pióra do skrzydeł istotnie mu wyrosły z ciała.

Lawinię widać bawiły owe zaloty starego księcia, jakoś nie tyle tęskniła do rozmowy ze mną jak zwykle, a gdy się goście rozeszli, wyrzucała mi w słowach ani bardzo słodkich, ani też wesoło figlarnych, że nie należało jej robić wstydu w tak licznym gronie gości owym powierzaniem sekretu zawartego w dwunastu kopertach.

— Czułam, jak wszystkich oczy na mnie były zwrócone i mnie przenikały jak mieczami, jak mogłeś, kochany przyjacielu, wystawiać mnie tak niespodzianie na podobne wzruszenie?

---

<sup>94</sup>*w widoku tyłu piękna, życia i świeżości* — wobec widoku tak wielkiej obfitości piękna (...). [przypis edytorski]

— Komuż Prometeusz miał powierzyć promienie wiecznego słońca, jeśli nie najpiękniejszej westalce całego Księżyca? to był hołd oddany twym przymiotom, o cudna istoto!

— Ależ ja nie chcę pozostać wiecznie westalką, mój Nafirze.

— Ach, tym lepiej, Lawinio, strzeżmy tej tajemnicy razem, korzystajmy z niej razem, racz powiedzieć jedno słowo, a zezwolę być ministrem, rzeczywistym tajnym radcą zdrowia, dwumilionowym panem i wielkim mistrzem wstęg i orderu wszystkich węzów brylantowych i szmaragdowych jaszczurek.

Upadłem przed Lawinią na kolana, która znowu zapłakała i drżącymi rzekła usta<sup>95</sup>:

— Gdybym umiała rozkazywać sercu mojemu, ty byłbyś jego ideałem.

Domawiając tych słów, Lawinia czmychnęła przez otwarte okno na wysoki cedr Libanu i tam usiadła na samym wierzchołku, patrząc na Ziemię, która spoza czarnych chmur nad widnokrąg Księżyca wspaniale wschodziła.

---

<sup>95</sup>usty (daw. forma) — dziś N.: ustami. [przypis edytorski]

Nie śmiałem polecieć za nią na drzewo, bo na wierzchołku cedru zaledwie jedna osoba utrzymać się może.

— „Gdybym umiała rozkazywać sercu, byłbyś mym ideałem”!! Co znaczy taka odpowiedź? Więc mnie jednakże uważa godnym siebie, szanuje mnie, ale jeszcze mnie pokochać nie mogła... Czyżby istotnie już kochała innego?... Czyby wzgardziła mą miłością, miłością wynalazcy eliksiru żywotności, a pokochała żołnierza o tym tylko przemyśliwającego, jakim sposobem zniszczyć życie ludziom za to, że lubią inne uczucia, inne myśli i inne barwy??...

## 21. Harfa

Nie spałem tej nocy, nękając się domniemywaniami; Ziemia świeciła zbyt jasno i szarpała mnie za nerwy: widać, że należę do rzędu istot, na które ten planeta wpływa bardzo mocno. Tutaj Ziemia, gdy świeci w pełni i w czas bardzo pogodny, wywołuje trzęsienie Księżyca, a pewne aloesy tylko wtenczas rozkwitają z wielkim trzaskiem i hukiem.

Adiutant gubernatora przylatuje do mnie raniuteńko, gdy jeszcze leżałem w łóżku, i stuka do okna.

Otwieram, on wpada i prosi w imieniu księcia Wadwisa jak najuprzejmiej, abym się natychmiast gotowałem w podróż do Drzemniawy, gdzie zachorował bardzo nagle i ciężko księżę Neuiabi na chorobę prawie ciągle tam panującą, a zwaną *cholera morbus*.

— Racz pan wstąpić do księcia wielkorządcy, ale już wybrawszy się w podróż; zaraz tu stanie przed oknami pańskimi ekstra pocztowa ryba o czterech ludziach, tyłuż żaglach i śrubie Archimedesesa; najdalej za dwadzieścia kilka godzin staniesz pan w Drzemniawie. Gubernator czeka z paszportem i instrukcjami.

Pakuję się z takim pośpiechem, że zapomniałem wziąć z sobą służącego, i idę się pożegnać z Lawinią, którą zastaję na dachu, z harfą w ręku i śpiewającą.

— Lawinio! Żegnaj cię, jadę w podróż.

— Bądź zdrów, kochany doktorze, zapewne niedaleka podróż i dziś będziesz z powrotem?

— Owszem, pani, jadę do Snogrodu, nawet do stolicy, do samej Drzemniawy — rzeknę ostrożnie, z przyciskiem, dobrze uważając na twarz Lawinii, jakie sprawię wrażenie nowiną o chorobie księcia Neuiabi.

— Nafirze! Jak ty wlepiasz oczy we mnie! Boże, coś mi masz złego do zwiastowania. Po co jedziesz do Drzemniawy?

— Zawezwano mnie do jednego dostojnego chorego.

— Do kogóż? — spyta Lawinia, cała drżąc.

— Do księcia... — odpowiadam, nie śmiejąc powiedzieć.

— Do jakiego księcia? Na miłość Pana Boga!

— Do samego księcia wice lamy Snogrodzkiego, zaśląbł na cholerę, która tam prawie ciągle panuje — rzeknę, mijając się jak najzupełniej z prawdą, dla oszczędzenia Lawinii zmartwienia.



— Znowu ta niegodziwa choroba jest w Drzemniawie i właśnie musiała tam wybuchnąć w chwili, kiedy tam bawi...

Lawinia nie śmiała skończyć i zarumieniła się, spostrzegłszy, jakimi ją badawczymi oczyma nurtuje.

— Ach jedź! Jedź, doktorze! Ratuj dobrego wice lamę, którego znam bardzo dobrze, bo nieraz dojeżdżał do naszego somnopatycznego zakładu w Chraplinie i nawet brał tam kurację.

— Pani mi nie poruczy ukłonów?

— Dla kogóż?

— Dla innego księcia.

— Innego księcia?? Ale prawda, przecież tam zapewne bawi nasza deputacja wysłana na przywitanie lamy, a z nią księżę Neuiabi: kłaniaj mu się, kochany Nafirze, jeśli się o mnie spyta, *nie inaczej*, rozumie się, mój przyjacielu, przecież wiesz, że to dość daleka znajomość...

Wtem doktor, uwiadomiony o mym wyjeździe, zjechał na dach na swej kieszonkowej rybie. Natychmiast go uprzedziłem, że Lawinia nic nie wie o chorobie księcia Neuiabi.

Nie bardzo był Gerwid zadowolony z tej podróży i chciał koniecznie, abym tak długo pozostał w domu, aż on się porozumie telegrafem ze swoim dawnym dobrym przyjacielem, baronem Drzejną, prezesem sądu kryminalnego w Drzemniawie. Ale wtem nadjechał sam gubernator i stanąwszy na dachu, krzyczał:

— Na Boga, doktorze! Śpiesz się: mój biedny Neuiabi ciągle telegrafuje i pyta się, czyś już w podróży, już pierwsze przypadłości cholery wprawdzie przeszły, idzie o to tylko, żeby nie wpadł w tyfus; odpowiedz słów kilka, co ma robić, i natychmiast puszczaj się w podróż.

Coś trzasło na dole na bruku. — Była to harfa Lawinii, wypuściła ją z ręki i o mało co nie zemdląa...

Trzeźwiłem ją z rozpaczą w sercu, dalibóg! Harfie zazdrościłem losu...

— Po tym, co tu odkrywam, radzić mam księciu Neuiabi? Mam wrogowi mojego szczęścia przedłużyć życie? — mówię do siebie, trąc skronie Lawinii eliksirem promiennym.

Stary książę nie dał mi i tu pokoju, odsunął mnie od Lawinii, sam ją chciał trzeźwić i krzyczał, wręczając mi papiery i dukaty:

— Jedź, pędź, co masz siły, oto paszporty papierowe i kruszcowe, bo jeden bez drugich nic nie znaczą w Snogrodzie.

Stałem jak skamieniały, nie mogąc oczu odebrać od Lawinii, jeszcze zawsze omdlałej, a tak pięknej, jak jej nigdy nie widziałem w życiu. Okropne jakieś przeczucia opanowały myśli moje, całą ich siłę krusząc lub przynajmniej stępiając.

Książę, widząc, że nie ruszam się z miejsca, skinął na czterech skrzydlatych żandarmów, którzy mnie porwali w jednej chwili za ręce, skrzydła i nogi i wnieśli na śrubową rybę, nimem się spodział<sup>96</sup>, co się ze mną stało.

Ryba zaświszczała, odetchnęła białą parą i czarnym dymem; już jestem pod obłokami, a biedna Lawinia w oddaleniu, dalibóg, w ramionach

---

<sup>96</sup>*nimem się spodział* (daw.) — konstrukcja z przestawną końcówką czasownika: nim się spodziałem; nim się zorientowałem. [przypis edytorski]

zdradliwego starca, któremum<sup>97</sup> siły przywrócił na moją zgubę.

Trzeba było zlecieć z ryby, puścić się nazad do Lawinii i pozostać przy niej dniem i nocą.

Ba! Trzeba było mieć więcej sprężystości i przytomności umysłu.

Czyż i ja z tego kraju, którego ludziom najtrafniejsze odpowiedzi przychodzą dopiero na schodach?

22. Podróż z Jasnogrodu do Drzemniawy  
Mkną, nikną pode mną góry, lasy, jeziora i znów góry, i niesłychanie głębokie przepaści, jakich na Ziemi wcale nie ma, jeśli nas nie zawodzą nasze księżycowe teleskopy.

Okolica, z tak wielkiej wysokości uważając, straszliwie chaotyczna. Tu świeciły ogniem plwające, tam tlejące się wulkany, tu się rzeki całe lawą toczyły, ówdzie znów błyszczwały jeziora jakby żywym srebrem napełnione, a gęsto pomiędzy nimi rozsiane szmaragdowe oazy

---

<sup>97</sup>*któremum siły przywrócił*(daw.) — konstrukcja z przestawną końcówką czasownika: któremu siłę przywróciłem. [przypis edytorski]

rozsyłały balsamiczną woń wysoko w powietrze.

W tych oazach niesłychane bogactwo roślinności i żyzności, naokoło nich kamienne, chropowate puszczki lub też tu i ówdzie piaski, jak gdyby łożyska dawnych mórz, jezior lub stawów, a gęsto rozsiane po powierzchni oaz kościoły świadczyły o ludności ich. Istotnie, jedna kwadratowa mila dobrego gruntu wyżywiała dwadzieścia tysięcy ludności. Tu dopiero, wśród tych skał, odgraniczających osadę od osady, pojmowałeś, dlaczego Selenitom dano skrzydła; inaczej bowiem te oazy, odległe tylko o kilka mil od siebie, byłyby nieznane jedne drugim, żadna bowiem noga ludzka ani bydłęca, żeby nawet giemzy<sup>98</sup>, nie jest w stanie przekroczyć zawad<sup>99</sup> przez naturę tu napiętrzonych.

Dalej ku północy i zachodowi sterczą straszliwe grzebienie gór, sięgających ponad atmosferę Księżyca i odgraniczających Jasnogród po-

---

<sup>98</sup>*giemza* — kozica. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>*zawada* — przeszkoda. [przypis edytorski]

łudniowy od północnego. Można przebyć ponad tymi górami, wysokimi w niektórych miejscach mil geograficznych cztery nad poziom, ale za pomocą przyrządów zawierających w sobie sztucznie zgęszczone przez ciśnienie powietrze atmosferyczne, lecz to podróż niezmiernie kosztowna, uciążliwa, niebezpieczna i długa, którą tylko uczeni geologowie od czasu do czasu dla badań naukowych przedsięwzięją. Zwyczajni podróżnicy wyszukują dla ich przebycia wyłomy i tunele, które tu ręka natury, a częścią i sztuka poczyniły. Nieraz wypada podróżować w ciemnych, długich i krętych labiryntach, z których nie wszystkie są dobrze oświetlone gazem, nie wszystkie bezpieczne, bo czasem nawet i skrzydlaci rozbójnicy do nich się zakradają i łupią podróżnych. Wprawdzie od pewnego czasu ustanowiono w tych tunelach straż dla pobierania cła przechodowego i osadzono je żołnierzami, część ich nawet opatrzone artylerią, żeby nie dopuszczała zbrojnych nieprzyjaciół do kraju. Dziwnie wygląda ta artyleria, zawieszona

na tu w tak ogromnej wysokości nad niezgruntowanymi przepaściami.

Już przecież przebyliśmy straszliwy łańcuch i jesteśmy nad północnym Jasnogrodem, w którym i klimat daleko zimniejszy, i kraj inny, bo prawie zupełnie płaski, i roślinność tak odmienna, że się w niej rozpoznać trudno. Tutaj po raz pierwszy ujrzałem całe lasy owych podrażających drzew z rodziny kaktusów, które się z miejsca na miejsce przenoszą, szukając żyzniejszego gruntu i znów w kilka lat na dawne wracają miejsca, w jeden rok mogą ująć całą milę i nieraz zapakują się w środek wsi i tam przebywają, aż wszystko wyciągną pożywienie z gruntu; potem, nasyciwszy się, śpieszą dalej.

Drzewa te, prawdziwe zwierzokrzewy, mają korzenie do nóg owadzych podobne, grube na cal i więcej, kosmate, kolczaste i brzydkie. Tymi nogami wrastają w ziemię i piją z niej pożywienie; nogi, napiwszy się, usychają, inne, wyrosłe z przodku pnia wbijają się w ziemię na łokieć przed uschłymi, i takim sposobem odbywa się ta dziwna wędrówka lasów.

Rośliny te są jednopłciowe, to jest jedne krzaki są męskie, a drugie żeńskie; męskich daleko mniej, jeden wypada na dwadzieścia żeńskich. Żeńskie kwiaty mają kształt dzwona, męskie serca: połączenie następuje nocną porą, przy świetle Ziemi. Owoc zaś wydają te rośliny zupełnie do jaja czajki wielkością, barwą, składem i smakiem podobny i tak odżywiający, że człowiek najslabszy od niego sił i zdrowia nabiera. Toteż kaktus jaja wydający jest błogosławieństwem tego kraju i wieśniacy posiadający plantacje tego krzewu są bogaci.

Lecz na nieszczęście dobry byt nie zawsze prowadzi wieśniaka do moralności: widziałem tu ze zgrozą wielu ludzi powracających z kościoła i z jarmarku w straszliwym stanie pijactwa; nawet chłopki były pijane i śpiewały ladaco, mknąc przez powietrze. Jedna mnie jednak do żywego rozrzewniła: niosła ona męża swego pijanego jak belę do domu na barana, często odpoczywając na konarach drzew, z których jej się łatwiej było wznieść w powietrze niżli z ziemi.



— Czy też często spadacie po pijanemu z powietrza na ziemię? — spytam jednego z tych dobrych ludzi usypiającego w ciągu podróży.

— Nie często, wielmożny panie, tylko raz jeden w życiu, ale to wystarczy na złamanie karku — odpowie chłopiec, kłaniając się czapką do nóg.

Bardzo dobrotliwy to ludek, tylko że strasznie nietrzeźwy.

Grunt tu się zniża ciągle aż do Morza Spokojnego<sup>100</sup>, które istotnie zasługuje na swoją nazwę, bo się rzadko kiedy rozdąsa lub nawet rozkołysze.

Już tutaj nad tymi wodami czuć się daje jakiś wpływ lekko usypiający, który może pochodzić od niezliczonego mnóstwa trawy morskiej rosnącej na wodzie, a wyziewającej zapach bardzo mocny. Zresztą część większą podróży odbywaliśmy nocną porą, a chociaż Ziemia

---

<sup>100</sup>*Morza Spokojne* — dziś popr.: Morze Spokoju (łac. *Mare Tranquillitatis*), duża, ciemna, pokryta zastygłym bazaltem równina na Księżycu; dawni astronomowie ciemne obszary na tarczy Księżyca uważali za tereny pokryte wodą, dlatego nazywano je morzami, zatokami, bagnami i jeziorami; współcześnie nadal stosuje się dawne łacińskie nazwy tych formacji. [przypis edytorski]

przyświecała mocno, jednak po całodziennym czuwaniu oczy zamykały się same z siebie.

Z daleka świecące okrężne druty, zwiastowały nam Snogród, wyspę bardzo dużą, podłużną, z góry wąską jak szyja, z dołu szeroką jak kobieta na ziemi siedząca.

Przybywszy nad brzegi, musieliśmy ścisnąć przyrząd powietrzny naszej ryby, zsiąść na padole przed granicznym urzędem i dać się należycie obrewidować. Nie brakło tu strażników i innych urzędników, umiejących należycie wyciągać łapy i domagać się wynagrodzeń pod różnymi pozorami. Przydały się brzęczące paszporciki, ułatwiające w sposób przedziwny stosunki ze Snogrodzianami.

Nareszcie po wielu trudnościach pozwolono nam udać się w dalszą podróż.

Postać kraju nie bardzo powabna na tej wyspie: bezustanne płaszczyzny, miejscami grunt piaszczysty, rzadko gdzie bardzo urodzajny, lasy jednostajne, w których drzewa iglaste o tysiąc razy liściowe przeważają.

Ach, przecież! Jestem w Drzemniawie, już za pomocą wiadomych nam okrągłych paszporcików wszystko ułatwione na kwarantannie miejscowej, jadę do hotelu, przed którym ulica była wysłana słomą<sup>101</sup> na stopę, i znajduję księcia Neuiabi na łóżku, wcale nie słabego, lecz udającego chorobę.

### 23. Podstępny

— Mości księżę, czy sam siebie łudzisz, czy też po prostu mnie zwodzisz? — spytałem pacjenta bez ogródki.

— Wybacz, kochany doktorze, ale wyznać muszę, że się dopuszczam i jednego, i drugiego: miałem istotnie napad choleryczny dość mocny, który przestraszył przysłanego mi przez księcia wicelameę doktora Plasterysa, ministra zdrowia w Snogrodzie, i to do tego stopnia go przestraszył, drogi mój przyjacielu, że mnie kazał

---

<sup>101</sup>hotelu, przed którym ulica była wysłana słomą na stopę — dawny zwyczaj wysycielania bruków w miastach pod oknami ciężko chorych a dostojnych osób, aby zminimalizować hałas uliczny, szczególnie turkot powozów w XIX w. często jeszcze nie posiadających gumowych kół, lecz drewniane, okute żelazem. Tu szczególnie ten niezbyt pasuje do okoliczności ze względu na stosowanie odmienne środki transportu. [przypis edytorski]

natychmiast najnielitościwiej zsięc bańkami i ob-  
stawić synopizmami. Osłabiony stratą krwi i bo-  
leścią, znacznie upadłszy na duchu pomiędzy  
cudzoziemcami i obawiając się dalszego ciągu  
takiej końskiej kuracji, prosiłem adiutanta mo-  
jego, aby zatelegrafował do Jasnogrodu po cie-  
bie. Potem tego wprawdzie żałowałem, bo mi  
się znacznie ulżyło po owym nagłym wstrzą-  
śnieniu; lecz gdy się po mieście wieść roze-  
szła, że sławny doktor Nafir już w podróży do  
konającego księcia Neuiabi, postanowiłem, dla  
twojego, doktorze, dobra, udawać chorego, jak  
mogłem najlepiej, kazałem wysłać całą ulicę sło-  
mą i zasłonić okna umyślnie tak szczelnie, że-  
by czasem i mój służący mógł mnie zastąpić na  
łożu boleści i majaczyć byle co, jak chory wpa-  
dający w tyfus. Ja tymczasem grałem w drugim  
pokoju z mym adiutantem w karty. Mój słu-  
żący tak dobrze udawał tyfus mózgowy, że mu  
minister Plasterys kazał w swej obecności pu-  
ścić krew, ogolić głowę, zsięc ją bańkami i na-  
reszcie lodem obłożyć... Żal mi było wprawdzie  
biednego Laflera, gdy go w ten sposób na tor-

tury brano, ale mu się należała kara za łajdanie się z tutejszymi baletnicami, u których się wydawał za rodzaj sekretarza, a pieniędzmi zapewne mi skradzionymi, zalecał; więc pal go diabli, pozwoliłem na wszystko, tylko szepnąć mu kazałem, żeby zemdłał zaraz po otwarciu weny<sup>102</sup>, aby mu niepotrzebnie krwi nie wyta-  
czano.

Jakże go medykamentowano w rozmaity sposób, zawsze myśląc, że to ja! I w tej chwili całe miasto jest przekonane o tym, że konam albo jestem bliski skonania.

Już się nawet przez Żydów zgłaszał do mego adiutanta najpierwszy fabrykant trumien całej Drzemniawy, o dostawę trumny w najlepszym i najnowszym guście, z wcięciem w tali, a doktor Kizia, sławny lekarz zwolenników Wenery i zarazem balsamista, prosił, żeby mu wolno było w dowód szczególnego szacunku nabalsamować mnie zaraz po śmierci, sposobem tutaj w kraju używanym, to jest pakułami umaczanymi w żywicy, takim samym sposo-

---

<sup>102</sup>*wena* (daw.) — żyła. [przypis edytorski]

bem, jaki u nas w muzeach używają do wypchania wielorybów i słońi. Doktor Kizia raczył nawet oświadczyć, że za takie piękne dzieło zadowoli się honorem i sześcioma tysiącami franków.

Adiutant przyjął tę ofiarę z wielką wdzięcznością i kazał mieć pakuły i żywicę aromatyczną w pogotowiu; pan Sargenhans zaś, artystyczny fabrykant trumien, przekupiwszy cyrulika, dostał przez niego miarę Laflera i już mu składa paletot<sup>103</sup> drewniany, z artystyczną sumiennością krawca.

Otóż, kochany doktorze, jak stoją rzeczy: wszyscy oczekują mej śmierci, ty przybywasz, zadajesz mi dwie krople twego odżywiającego likieru i mówisz: „Wstawaj!”, a ja wstaję, głowę niby to wizykatoriami skancerowaną, obwijam czarną chustką, kładę na to czapkę mundurową i wyjeżdżam z tobą na miasto, jeżeli nawet chcesz, do pana ministra zdrowia, podziękować mu za przytrzymanie mnie aż do twego przyjazdu przy życiu. Dalej, kochany przyjacie-

---

<sup>103</sup>*paletot* (daw.) — palto. [przypis edytorski]

lu, uściskaj mnie za sławę i tryumfy tu cię czekające.

Książę zerwał się równymi nogami z łóżka i krzyknął na służącego:

— Lafler! Oto trzy dukaty, każ sobie przynieść perukę, aby pokryć wygoloną głowę, każ niech zajdzie powóz i każdemu, kto z zamku lub skądkolwiek przyjdzie się spytać o zdrowie moje, powiedz, że zaraz po przybyciu doktora Nafira i po połknięciu przywiezionego mi lekarstwa wstałem, ubrałem się i wyjechałem.

— Ależ, mój książę, czyś oszalał? Myślisz, że zezwolę na odegranie takiej komedii, niegodnej mego doktorskiego tytułu? — zarzucę, obrażony.

— Sam stary Hippokrates, sam boski Eskulap na twoim miejscu korzystałby z tego w sposób ci zaproponowany, chociażby tylko dla wzmocnienia w ludziach wiary w boską naukę medycyny: a że wiara tak błogi wpływ wywiera na usposobienie choroby i cierpiących, więc tym razem dla dobra ludzkości powinien byś odstąpić cokolwiek od surowości twoich zasad.

— Prawda, masz słuszość, mój ksiązę, zrobie z mej dumy ofiarę i odegram tę niegodną siebie komedię. Ale przede wszystkim uwiadomić powinniśmy księcia Wadwisa i doktora Gerwida o twym uzdrowieniu. Gdzie tu w hotelu telegraf akustyczny? Każ mnie do niego zaprowadzić.

— Nie ma tu w hotelu ani domach prywatnych telegrafów tak jak u nas, mój doktore. Jedźmy do telegrafu.

Wrażenie, któreśmy sprawili tą szarlatanerią, przechodzi wszelkie wyobrażenie. Ludzie, którzy znali księcia Neuiabi, to jest dygnitarze wojskowi i cywilni, damy wysokiego tonu, zatrzymywali się na widok księcia, oczom swoim nie dając wiary. Ksiązę się kłaniał i wskazując na mnie, wołał:

— To mój zbawca, cudowny doktor, to Bóg medycyny!

Ksiązę Neuiabi wypytywał się mnie o Lawinię, ale tak niby nawiasowo, prawie z niechcienia. Odpowiedziałem mu także z udaną obojętnością, że się Lawinia dość zmartwiła nowi-



ną o jego chorobie, ale nic mu nie opowiadałem o strzaskanej harfie i o jej omdleniu na dachu naszego domu.

Neuiabi zesmutniał, spodziewał się, że wieść o jego chorobie większe sprawi wrażenie na Lawinii.

Pozazdrościłem mu tego tryumfu i dlatego kosztować go nie dałem.

Stanęliśmy przed telegrafem: księżę niby jeszcze słaby, pozostał w powozie, ja zaś wybiegłem na telegraf i stamtąd zapłaciwszy za wszystkie słowa i zgłoski, przesłałem wiadomość o cudownym uzdrowieniu pacjenta.

Musiałem kłamać, szarlatanizować, aby pozostać wiernym raz przyjętemu w tym miejscu systematowi.

Neuiabi zmusił mnie do tego... Darmo! Tak jedno kłamstwo pociąga za sobą mnóstwo innych.

Czekałem na odpowiedź, a tymczasem mnóstwo dygnitarzy doгнаło młodego księcia przed telegrafem i wypytywało go się o stan zdrowia, i składali mi najserdeczniejsze dziękczy-

nienia za dokonanie takiego cudu. Odpowiedź od księcia Wadwis nadeszła, a brzmiała:

„Tysiąc dzięków, doktorze, przytrzymaj mi syna w Drzemniawie, jak możesz najdłużej, i z nim pozostań, ale nie wyjawiaj, że takie moje żądanie”.

Jedziemy do ministra zdrowia, podziękować mu za przytrzymanie księcia Neuiabi przy życiu sposobami ultraheroicznymi, którymi można było zabić nie jednego, lecz dwóch ludzi.

Młody książę złożył podziękowanie w kształcie sporego rulonika i coś niby nawiasowo wspomniał o wielkiej wstędze orderu węża brylantowego, którym jego monarcha zapewne nie omieszka obdarzyć tak głęboko uczonego lekarza.

Minister zdrowia Plasterys zdobył sobie tak wysokie stanowisko wynalazkiem wielkiej wagi dla chirurgii wojskowej: odkrył, że nic tak szybko nie leczy kontuzji od kul armatnich, jak plaster wizykatorialny, zaraz w chwili na placu boju przyłożony.

Od tego czasu wprawdzie częściej wydarzały się kontuzje, lecz te nie pociągały nigdy za sobą śmierci, tylko gratyfikacje.

Przyjął nas bardzo grzecznie, przywdział mundur, ordery, ale zarazem objawił mi zadziwienie, że nie noszę munduru ani żadnej dekoracji.

Odpowiedziałem ze skromnością, że mógłbym także być ministrem, dygnitarzem orderowym i bardzo moźnym panem, gdybym chciał sprzedać tajemnicę mego odkrycia.

Książę Neuiabi przyświadczył i dodał, że doktor Nafir jest człowiekiem zupełnie odrębnego sposobu myślenia...

— Rozumiem, rozumiem, on cokolwiek zakrawa na czerwonego socjalistę, a nawet na komunistę — odpowie dygnitarz, małym dreszczem wstrząśnięty.

Neuiabi, zapewne z figlarności, ruszył nieznacznie ramionami i brwią.

Od tej chwili lękał się mnie minister jak dziecko wilkołaka...

Powróciwszy do hotelu, zastaliśmy w nim wielkie mnóstwo dygnitarzy czekających do-

stojnego pacjenta i jego cudownego lekarza, którego nieubłaganymi obsypywano prośbami o lekarstwo na osłabienie apetytu i sił żywotnych. Drożyłem się, utrzymując, że z zękną podróżą...

Nareszcie sam wielki lama, także słabowity, przysłał adiutanta z zapytaniem o zdrowie księcia Neuiabi i z prośbą, abym się bez zwłoki udał do niego. Sam książę Neuiabi raczył mnie jemu przedstawić, lecz wrócił do hotelu, zostawiwszy mnie w zamku.

Dostojny pan, wycieńczony trudami wojennymi, zwierzył mi się, że nie jest syty ani życia, ani chwały i że dla dobra ludzkości pragnie żyć długo, a nawet wiecznie, jeżeli to być może.

Sprawdziwszy stan jego wnętrzości w obecności ministra zdrowia, za pomocą kamery obskury z lampką argandzką, uznałem, że jego książęca mość nie jest w stanie korzystać z mego lekarstwa, powiększającego wszelki objaw życia prawidłowego, ale i nieprawidłowego.

Zapisałem tedy lekarstwo, niby przysposabiające do dalszej kuracji. Moje spostrzeżenia udzieliłem ministrowi zdrowia, ordynującemu lekarzowi, który ich wprawdzie nie rozumiał, ale przyświadczał, że tak jest, a nie inaczej, i zaraz po moim odejściu zawyrokował, że tak wielkiego głupca i wariata jak ja nigdy w swym życiu nie widział.

Od tej chwili rozdziwiła się o mych zdolnościach opinia: jedni utrzymywali, że jestem po prostu szarlatanem, drudzy zapewniali, że większego człowieka nie ma na świecie.

Dzienniki ogłosiły się przeciwko mnie, przymieszawszy cokolwiek miodu do żółci swych zdań i wyroków. Pomimo tego nagabywali mnie bigoci i rozkosznicy, modląc się o krople życia. Nie biorąc od nikogo złamanego grosza, wszystkim dawałem lekarstwa, ale tylko ludziom pracującym, istotnie światu i rodzinie potrzebnym, udzielałem prawdziwego eliksiru życia.

Niestety! Wszyscy ci prawie należeli bez wyjątku do klasy ubogich, mało znaczących, gnębionych ludzi i na opinię publiczną nie mo-

gli wywrzeć wpływu, lubo<sup>104</sup> cudownych doświadczyli skutków z mego lekarstwa i gorące modły za mnie zanosili do Boga.

Zabawiam księcia Neuiabi, tęskniącego do swego kraju, ojca i kochanki, jak tylko mogę i czym tylko potrafię, postępując w duchu rozkazu dostojnego ojca, który polecił nam pozostać w Drzemniawie, aż dopokąd nas sam nie odwoła. Niech sobie książę tu pozostanie, ale ja zupełnie tu niepotrzebny.

#### 24. Baron Drzejna

Już od dziewięciu dni bawię w Drzemniawie i zdaje mi się, że już dosyć tej zabawy, bo się właściwie najokropniej nudzę w tej miejscowości, o której dalibóg wcale jeszcze nie wiem, czy to duża miejscina, czy wieś, czy stolica, czy rodzaj karawanseraju, do którego ludzie na to przybywają, żeby z niego jak najprędzej wyjeżdżać. Koniec końcem nie bawię się w Drzemniawie, tęsknię do Lawinii i uciekłbym stąd pomimo rozkazów księcia Wadwisa, gdyby mnie

---

<sup>104</sup>lubo (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

jedna, dla mnie zupełnie nieprzewidziana okoliczność nie zachwycała, a tą jest, że piękny książę Neuiabi zaczyna się tutaj w najlepsze bawić, dzięki wrażeniu nań wywieranemu przez piękną młodą wdówkę, córkę księcia wicelamy. Nadaremnie tai on przede mną zajęcie się miłą wdową: jest ono aż nadto wyraźne i już o tym mówią w pałacu, już nawet w wielkim świecie zaczyna krążyć pogłoska o podboju, jakiego dokonały wdzięki księżniczki Omegi. Już też o tym wiedzą w Jasnogrodzie, i to dzięki mnie; tak, przyznać muszę, że o tym telegrafowałem do Gerwida, nie bezpośrednio, lecz przez barona Drzejnę, wielkiego sędziego kryminalnego, a mego łaskawego opiekuna, u którego tu codziennie, czasami nawet po dwa razy bywam.

Kocham tego starca nadzwyczajnie, bo to typ roztropnej prawości w najmilszych, a zarazem najdostojniejszych kształtach; sprawowanie trudnych obowiązków swego posłannictwa wcale mu nie stępiło uczuć, owszem, zaręczyć można, że im więcej miał do czynienia z ma-

jątkiem, wolnością, honorem i życiem bliźnich swoich, tym doskonalsze zyskał o tych dobrach wyobrażenie i tym litościwszy się okazał, gdy szło o pozbawienie bliźnich swoich tego dobra.

Otóż takim był wielki sędzia kryminalny, starzec bardzo posunięty w wieku, ale silnej budowy ciała i niestarganego zdrowia.

Przyłgnął do mnie, tak jak ja do niego, natychmiast, jak gdyby mnie znał od bardzo dawna, i czuwał nade mną w tym mieście, w którym prawda nie jest lubiona i gdzie sobie jedynym wybuchem szczerości zaszkodzić można na całe życie.

Z jego słów przekonałem się, że mnie naprawdę za komunistę bardzo niebezpiecznej przyrody osądzono, a głównie z tej przyczyny, że dotychczas nie postarał się jeszcze o żaden urząd, nadający człowiekowi jedyną wartość w oczach tego świata.

Lękał się także, aby mi nie skradziono mego diamentowego flakonika z kroplami życia, i prosił mnie, abym go nosił przy sobie na ciele, przytwierdzony łańcuszkiem do szyi, jak szka-



plerz lub medalion. Później bardzo żałowałem, że za tą radą nie poszedłem.

## 25. Zakład somnopatyczny

Doktor Plasterys zawitał do nas jednego rana, gdyśmy jeszcze spali, i rzekł:

— Chcieliście, panowie, zwiedzić zakład somnopatyczny, wzniesiony na naszej wyspie przez doktora Gerwida i doń należący; jako minister zdrowia i główny inspektor wszystkich zakładów zdrowiodawczych, jadę tamże z urzędu i właśnie w tej chwili bardzo pośpiesznie, na pocztowej rybie, bo się tam wydarzyło coś bardzo interesującego, co później opowiem. Ofiaruję panom miejsce na mej rybie i pokażę wszystkie mnie tylko znane tajniki tego ciekawego zakładu.

— Ależ, panie ministrze, zapominasz pan, że dziś bal u księcia wicelamy — zarzuci książkę Neuiabi.

— Jeszcze przed wieczorem będziemy z powrotem; dałaby mi żona i córki, gdybym nie

wrócił; któż by je zaprowadził na bal? — odpowie minister.

— Ależ ja jestem zaproszony na obiad, nie śmiem obrazić amfitriona — zarzucę także.

— U kogoż pan jesteś na obiedzie?

— U doktora Tulpensztejna.

Kłamałem, właściwie baronowi Drzejnie obiecałem być na obiedzie, lecz z wiadomych już przyczyn tailem o ile możliwości moje schadzki z zacnym sędzią.

— Więc kolego, odpisz, że nie będziesz, jednakże nie wyjawiaj dlaczego, po cóż jeszcze więcej drażnić zazdrość swoich kolegów?

Napisałem do kolegi Tulpensztejna, aby zawiadomił barona Drzejnę, że z ministrem Plasterysem pojechał do zakładu somnopatycznego.

Już jesteśmy w drodze, dobre piętnaście mil z Drzemniawy do Snopola, ale wiatr nam służył, biegliśmy cztery mile na godzinę.

— Cóż tak nagłego cię wzywa do Snopola, panie ministrze? — spyta księżę Neuiabi.

— Wie przecież księżę — odpowie minister — że Mirza Baszkir, który się niedawno ożenił z córką lamy Ciemnostańskiego, znikł w kilka dni po ślubie nie wiadomo gdzie, i że go nadaremnie szuka żona.

— Wiem o tym.

— Otóż nadeszła wiadomość, że Mirza Baszkir bierze tu *incognito* w zakładzie doktora Gerwida kurację senną, i to już od trzech tygodni; więc mam sprawdzić z rysopisem i fotografem w rękę, czy tak jest, a nie inaczej.

— Jak to? Mirza Baszkir wolałby spać w zakładzie somnopatycznym jak w własnym świetnym pałacu? — spyta Neuiabi.

— Ba! Tu go przynajmniej głos jego dobrodziejki nie przebudza; przecież znane są córki naszego najjaśniejszego lamy — odpowie pan minister, dowcipnie się uśmiechając.

— I cóż pan masz zrobić z Mirzą Baszkirem, gdy go wynajdziesz? — spytam.

— Mam go dostawić pocztową rybą pod dobrą strażą do żony, ot wszystko; tam zapewne sam lama wyznaczy mu przykładną karę.

W najpiękniejszym miejscu wyspy, w rodzaju Edenu, a przynajmniej Arkadii, leży wieś Snopol z pałacykiem Gerwida, a za nią na dużej kępie, pomiędzy dwoma ramionami rzeki, pośród wysokich drzew, na przepysznym wzgórzu wznosi się sławny zakład, w którym ludzie śpią dla odzyskania zdrowia, spokojności, szczęścia, dla zapomnienia trosk lub stłumienia targających namiętności.

Najwięcej rozkielzane nerwy, najburzliwszy mózg, najniespokojniejsza krew nie zdołają się oprzeć wpływowi narkotycznych tu na tej kępie w nadzwyczajnej obfitości rosnących ziół, których wpływ można doskonale stopniować za pomocą kondensatorów, a za pomocą zaś narkozometru, złożonego z dwunastu żywych ptaków różnej wielkości, można się doskonale przekonać o stopniu narkotyczności zawartej w powietrzu.

W tym przybytku Morfeusza wszystko wzywa do snu, co tylko na jakikolwiek zmysł działać może: zapach subtelnych białych kwiateczków, zwanych morfinkami, widok ogromnych

drzew zasłaniających horyzont, a w podwojach malowideł i posągów, przedstawiających uroki snu pod wszystkimi możliwymi postaciami, najzupełniejsza cichość, głuche milczenie przerywane tylko falującym, jak wody oceanu chrapaniem stu kilkunastu śpiących tego przytułku mieszkańców, smak ziółek lub wód przez lekarzy przepisanych, a wlewanych w regularnych ustępach śpiącym łyżkami, nareszcie owe systematyczne łaskotania podeszew, którymi umyślnie na to trzymane dziewczynki i chłopaczki ułatwiają najuporczywszym pacjentom sen, wszystko to wpływa przemożnie na nerwy, i zaraz przy wstępie do zakładu odwiedzający wpadaliby w sen, gdyby się nie trzeźwili substancjami sen odbierającymi, zwłaszcza pastylkami z kofeiny.

W stosunku mężczyzn bardzo mało kobiet w tym zakładzie, ale które tu przebywały dla kuracji, po większej części cierpiały na melancholię z manią graniczącą.

Kobieta najwięcej zgnębiona nie lubi przysypiać swych cierpień, dla kobiety każda sensacja jest żywiołem duszy!

Na różne ceny można tu spać i chrapać: na ogólnych salach, gdzie śpi po piętnastu, płaci się mało, ale w osobnych pokojach bardzo wiele. Doktor nie wychodzi z zakładu i winien trzy razy na dzień przekonywać się o dobrym śnie swoich pacjentów. Dla suchotników osobna jest izba i mogę zaręczyć, że pod wpływem kilkomiesięcznego snu, stosownej temperatury i lekarstw dawanych łyżkami leczą się nieraz suchoty najwyższego stopnia.

— Teraz ja — rzecze minister zdrowia — pójdę na wyszukanie mego Mirzy Baszkira, który jeśli tu jest, zapewne leży w jednej z najprywatniejszych celek, a tymczasem panowie tu raczą spocząć w tym pokoju. Przede wszystkim jednakże napijmy się kawy, nigdy w życiu nie uczułem się tak śpiący, odwiedzając ten zakład.

Byliśmy wtenczas w pokoju, w którym tylko trzy znajdowały się krzesła; w jednym końcu pokoju dwa, a w drugim pod kaloryferem jedno. Na tym tu przy stoliku usiadł minister, na dwóch drugich odległych od niego na pięć stóp siadł książę i ja.

Przyniesiono kawę i postawiono ją na stoliku obok ministra.

— Szanowny kolego, udziel mi do tej kawy jedną kropeczkę twego życiodawczego eliksiru — rzecze do mnie minister.

Ja mu podaję flakonik, nie spodziewając się niczego złego. On bierze flakonik, otwiera go i —

I wtem zapada pomiędzy nami a ministrem z sufitu żelazna krata, i jakby jakimś cudem spod podłogi ukazują się dwa posłania z najpiękniejszych aromatycznych ziół, a na okna zapadają z tyłu także żelazne kraty.

— Co to znaczy? — krzyknęliśmy obydwoj, przerażeni, rozpaczliwym głosem.

— To znaczy — odpowie podstępny doktor Plasterys — że panowie jesteście skazani z wyższej woli na kurację somnopatyczną; to wszystko...

— Kto mnie śmie więzić tu, w obcym kraju, na gruncie sprzymierzonego z nami monarchy? — wrzaśnie ksiązę Neuiabi piorunowym głosem.

— Wybacz mi, dobry mój i miły księżę, ale to się stało za ugodą jakąś zobopólną pomiędzy jednym i drugim rządem, mnie na nieszczęście wybrano za wykonawcę tego przykrego obowiązku.

— Ależ po co i na co nas zmuszać do spania, kiedy my, zadowoleni z rzeczywistości, używamy jej skromnie i spokojnie? — spytam, już ziewając, bo mnie ogarniała okrutna senność, wpływ zapachu, który wyziewały te przekłete zioła posłania naszego.

— Co ja wiem? Podobno panowie rozkochani w osobach nieprzeznaczonych dla nich z woli losu... Ja nic nie wiem, żal mi panów serdecznie; ale poddajcie się losowi, śpijcie, będą tu mieli o was staranie jak najczulsze, ja sam dojeżdżać będę często do was; dobranoc, moi dobrzy panowie.

— Słuchaj, na miłość Boga, panie ministrze — rzecze księżę, także już ziewając. — Dziś miałem być na balu u księcia wicelamy, jego córka, owa miła wdówka...



— Ha, ha! Pojmuję, mój dobry książę, ona ciebie oczekuje do tańca.

— Więc jej racz oznajmić, mój ministrze, gdzieś mnie zaprowadził i zostawił.

— Tego nie zrobię, mój książę, za nic w świecie; wicelama zakazał.

— Więc przynajmniej powiedz jej tak, w ciągu mowy, niby przypadkiem, że słowik nie będzie śpiewał tej nocy, chociaż tak pogodnie na niebie. Ale tak kilka razy... powtórz to, mój ministrze, że tej nocy... słowik śpiewać nie będzie... rozumiesz, panie ministrze?... Tym się nie skompromitujesz, a ją zaspokoisz... będzie ci nieskończenie wdzięczna... Dajesz słowo honoru na to?

— Daję, chętnie daję, dobranoc, moi panowie. Nim jeszcze wyszedł, my legliśmy na posłaniu jak byliśmy, sen nas zmorzył.

— Ach, widzisz, książę, czego nas nabawiły twoje miłostki z córką wicelamy — rzekłem, usypiając.

— To nie to: chciał ci skraść flakonik z eliksirem życia i dlatego nas uwięził; a stąd wyj-

dziemy chyba trupami — odpowie księżę i już śpi.

## 26. Przebudzenie

Sen nas owładnął jednocześnie i obszedł się z nami równie po tyrańsku. O oporze ani myśleć nie można było, subtelny narkotyk wkra-  
dał się w płuca z siłą chloroformu, lecz przy-  
jemniej od niego, nie ogarniając mózgu na-  
głym odurzeniem, pozostawiając nam naszych  
najśłodszych uczuć i marzeń pamięć.

— Lawinio! Moja najśłodsza Lawinio! —  
jęknął księżę Neuiabi, usypiając, głosem tak tkli-  
wym, że się we wszystkich nerwach moich obił  
donośnym echem.

— Lawinio! — powtórzyły me własne usta,  
lecz głowa już nie była w stanie pomyśleć, że  
mój towarzysz inne w tej chwili wezwać powi-  
nien był imię, imię księżniczki, którą zdawał się  
być tak zajęty w ostatnich dniach swego poby-  
tu w Drzemniawie.

Senny mój byt uroczy: obraz kochanki roz-  
toczył nań swe różowe barwy, swego głosu dźwięk,  
swej atmosfery zapach.

Długo trwał urok tego imienia i obrazu,  
byłby trwał wiecznie, lat tysiące snu nie wy-  
rugowałyby z mych piersi uczucia, z którego  
wyleczyć się miałem tym dziwnym somnopa-  
tycznym sposobem.

Lecz nie trwał wiecznie, bo jednej chwi-  
li jakieś dziwnie miłe dreszcze jaźni przenikać  
zaczęły nerwy moje i wdzierać się do mózgu,  
drażniąc go, łoskocząc, wstrząsając do coraz peł-  
niejszego czucia.

Słyszę jakieś przyjaźnie brzmiące głosy oko-  
ło mnie, otwieram oczy i widzę przed sobą sta-  
rego barona Drzejnę w swym urzędowym mun-  
durze i młodego przyjaciela Icangi, trzeźwiące-  
go mnie solami.

Kilku innych mężczyzn obok nich ujrza-  
łem.

— Dzień dobry, doktorze! — zawołał Drzej-  
na

— Dzień dobry, drogi przyjacielu — krzy-  
czy Icangi i ze łzami w oczach ściska mnie i ca-  
łuje.

— Ach, więc żyję i jestem pomiędzy przy-  
jaciółmi! — zawołam przejęty najwyższą roz-  
koszą.

— I będziesz wolny za chwilę — rzecze  
wielki sędzia, pomagając mi wstać z łóża.

— Długo spałem?

— Osiem dni, mój dobry Nafirze — od-  
powie Icangi. — Ach! Ileż ucierpieliśmy, nim  
zacny sędzia zdołał wysledzić, co się z tobą sta-  
ło. Dalej, zabieraj się, ruszajmy stąd, nim nas  
kto zdradzi i zdenuncjować<sup>105</sup> zdoła.

— Ale księżę Neuiabi? — spytałem.

— Leży tu obok ciebie na drugim pościeliu  
i śpi w najlepsze.

Istotnie Neuiabi spał, ale nie chrapał. Część  
twarzy miał zatopioną w poduszce, drugą zaś  
połowę zakrywał ręką.

— Obudźmy go i uciekajmy razem — rzek-  
nę, przypadając do księcia.

---

<sup>105</sup>*zdenuncjować* — dziś popr.: *zadenuncjować*. [przypis edytorski]

— Broń Boże, mój Nafirze. On zdrajca, on cię tu sprowadził umyślnie do Snogrodu, żeby cię rozłączyć z Lawinią, a tymczasem stary książę Wadwis pokochał się na zabój w Lawinii i was tu kazał uśpić, aby się ożenić z piękną i młodą siostrą moją. Otóż takich intryg stałeś się ofiarą; lecz wszystko wykryliśmy, Lawinia wszystko wyjawiała, ona tylko ciebie kocha i czeka powrotu twego jak zbawienia. Wszystko do ślubu gotowe, jutro jesteś małżonkiem Lawinii, moim szwagrem i nigdy się już nie rozłączymy w życiu.

— Ja mężem Lawinii!? Uszom moim nie wierzę! Ach! Powtórz mi to tysiąc razy.

— Nie ma na to czasu, Nafirze, dalej, opuszczajmy ten dom czym prędzej.

— Nie, bracie Icangi, ja go nie opuszczę bez księcia Neuiabi, którego mi ojciec dał w opiekę, i lubo mnie zdradził, wybaczam mu, bo on kocha Lawinię.

— Więc go pozostaw tutaj aż do ślubu, który się odbędzie tajemnie, mimo woli i wiedzy starego księcia. Potem go sprowadzimy do

Jasnogrodu, skoro się dowie ojciec, że ani dla niego, ani dla syna Lawinia nie może być żoną.

— Nie, bracie! Chcę być szlachetniejszy, miłość Lawinii jest dla mnie dostateczną rękojmią szczęścia, nie opuszczę mego towarzysza.

Wyrywam bratu Lawinii sole do trzeźwienia, przytykam je do ust księcia Neuiabi.

Wielki Boże! Jego twarz zimna i skrzepła, on nie żyje, on umarł!

Okropna nas ogarnia trwoga: biorę księcia w ramiona moje i chcę go unieść, dobywając wszystkich sił moich.

Unoszę w powietrze coś nadzwyczaj lekkiego.

Ha! To nie książę Neuiabi, ani śpiący, ani umarły, lecz wielka lalka ubrana w suknie księcia Neuiabi, jego twarz jest maską.

— Wykradli go i lalę zostawili na jego miejscu, by oszukać stróżów!!!

— Natychmiast uwięzić doktora tego zakładu i przyprowadzić go przede mnie! — krzyknie wielki sędzia do swych pomocników.

Doktor wyznaje, że już przed trzema dniami księżniczka, córka wicelamy, wykradła księcia Neuiabi i uwiozła go z sobą do Ciemnostanu.

— Niechże sobie będzie szczęśliwy z księżniczką, byleby tobie nie bruździł więcej — rzecz Icangi i razem z sędzią uprowadza mnie z zakładu somnopatycznego, przed którego drzwiami stała w pogotowiu ryba pocztowa.

— Jadę z wami, moje dzieci — rzecz sędzia Drzejna — chcę być świadkiem twojego ślubu, kochany Nafirze, a przede wszystkim muszę cię przeprowadzić przez granicę.

Jesteśmy w drodze i właśnie świtać zaczęło, gdyśmy stanęli na granicy Snogrodu nie bez obawy, żeby nas tu nie zatrzymano.

Nie! Nie telegrafowano jeszcze. Wielki sędzia ułatwił wszystkie trudności, przepuszczają nas, bujamy już nad Morzem Śpiącym<sup>106</sup>, lecz zarazem spostrzegamy, że za nami pędzi straż

---

<sup>106</sup>*Morze Śpiące* — dziś popr.: Bagno Snu (łac. *Palus Somni*), ciemny obszar na Księżycu, zaliczany do formacji określanych jako morze księżycowe, sąsiadujący z Morzem Spokoju (*Mare Tranquillitatis*). [przypis edytorski]

graniczna na skrzydłach i rybach śrubowych. Wzywają nas do zatrzymania się, strzelają do nas, ale kule nie donoszą.

Uciekamy i w kilka godzin stajemy nad gruntem jasnogrodzkim.

Wieje wiatr przeciwny bardzo mocny i utrudnia podróż naszą. Dopiero we dwie godziny po zachodzie słońca stajemy nad stolicą Jasnogrodu.

Stary Gerwid jeszcze czuwa i wyziera ze szczytu swej wieży. Jesteśmy w jego objęciach. Jakaż szczerą radość błyszczy w jego oczach; nigdy mi się nie wydawał tak szczęśliwy i piękny.

— A Lawinia? — spytałem.

— Lawinia słaba: cały dzień przepędziła w łóżku blada, zapłakana i niespokojna. Dopiero przed godziną usnęła. Nie budźmy jej; jutro rano, mój Nafirze, jesteś jej mężem; już pozyskaliśmy księdza, który da ślub tajemny.

## 27. Wesele na obłoku

Lawinia chora i widzieć jej nie mogę. Lawinia usnęła, lecz nie powiedziała: obudźcie mnie,



gdy Nafir przybędzie. Zdaje się, że powinna była pomyśleć o mnie i mojej zawezwać pomocy.

Jutro ślub, już ksiądz zamówiony, jutro będzie moją na zawsze, w każdej chwili i nigdy się nie rozstaniem z sobą. W wiecznym pogrążony zachwyceniu, patrzeć będę na jej wdzięki, podziwiać będę każdego jej ruchu uroki, sycić się niebieską melodią jej głosu i oczarowany jej duszy polotem, bujać z nią będę po przestworach nieba na obłokach i chmurkach, nad ognistymi kraterami i bezdennych mórz falami.

Ach, jakże miło latać z Lawinią po niebie!

Lecz tej nocy zachmurzyło się niebo okropnie: Ziemia nie może się przedrzeć swym światłem przez czarne kiry grubych obłoków, tylko czasem mignie przez nie i znów nastaje nieprzejrzała<sup>107</sup> ciemność.

Okropna noc i lada chwila wybuchnie jedna z tych straszliwych burz, od których odgłosu łamią się kamienne grzebienie niezmiernych olbrzymów, odgraniczających nas od północy.

---

<sup>107</sup>*nieprzejrzała* — dziś: nieprzejrzana. [przypis edytorski]

Szkoda, że taka noc okropna poprzedza najszczęśliwszy życia mojego dzień!

Lecz cóż to za czerwony, ciemnoczerwony meteor krąży w tym czarnym obłoku, co tu zawieszony jak wyspa z kiru sam jeden na niebieskim firmamencie, tuż nad moją wieżą? Czymże może być ten czerwony w obłoku krążący meteor?

Spojrzymy przez teleskop.

Tak ciemno, że teleskop nic ukazać nie może: widzę tylko czarne jak atrament tło, purpurowe światło i coś migocącego się około światła, czasem je zasłaniającego.

Co to być może?

Ha! Nie lękajmy się straszliwej, już się zbliżającej burzy i korzystając ze skrzydeł, puśćmy się na zwiady prosto na zenit ku meteorowi.

Lecz tym razem dla bezpieczeństwa wziąłem z sobą broń: szpadę ogniem pałającą.

Wzbijam się wysoko w zenit, jak strzała wypuszczona pionowo, mknę i szybuję, aż śpiewają moje skrzydła, jak u łabędzia, który zdąża do swej ojczyzny.

Jestem pod szarym obłokiem, tuż pod nim;  
wkraczam w czarny obłok, ostrożnie się zbli-  
zam do światła, powoli, podstępnie.

Ha! Wielki Boże! tym światłem jest latar-  
ka, a trzyma ją w swym ręku Neuiabi, zradli-  
wy książę, o którym mniemałem, że jest z swą  
księżniczką snogrodzką w Ciemnostanie.

On jak gdyby oczekiwał kogoś.

Lecz jakiś szmer dolatuje i zbliża się wart-  
ko.

I wpada jakiś świetny srebrny obłoczek w czar-  
ną chmurę, w środku której czeka Neuiabi i tu  
srebrny obłoczek łączy się przed moimi oczyma  
z postacią księcia.

Boże! To Lawinia!

Neuiabi ze wzruszenia opuszcza latarnię, któ-  
ra spada na dół, ja puszczam się za nią, chwy-  
tam ją, szukam ich w obłoku i znajduję.

Ona w jego ramionach, omdlała, z drżący-  
mi skrzydłami; on pije jej koralowe usta, przy-  
ciska ją do serca.

— Lawinio! Neuiabi! — krzyknę, aż za-  
drżały echa gór okolicznych.

— Nafirze! Przedstawiam ci księżną Neu-  
iabi, żonę moją od przyszłej nocy — rzuca  
księżę, unosząc omdlałą Lawinię w swych sil-  
nych ramionach.

Teraz mnie latarnia wypadła z ręki, ale Zie-  
mia wyjrzała jasna i świetna spoza chmur i oka-  
zała mi upojonych rozkoszą małżonków.

— Przebacz, Nafirze! Ja ciebie kocham, lecz  
w nim kocham siebie; podaj mi rękę, bądź na-  
szym przyjacielem i opiekunem; i kiedy już tak  
chciało niebo, żeś ty pierwszy odkrył tajemnicę  
naszego związku, zwiastuj ją memu wujaszko-  
wi i jego ojcu.

Tak mówiła do mnie, rękę moją całując i skra-  
piając łzami.

— Ale Lawinio, tutaj, w obłokach?...

— Nafirze! Nie mamy domu innego, tylko  
kopułę nieba za strzechę, obłok zaś za łożę. Jego  
ojciec wydziedziczy, a mnie wujaszek.

— Zapomniałaś Lawinio o twych dwóch  
milionach?... — spytam zmieszany. — O dwóch  
milionach, które tobie dałem, należą do cie-  
bie od tej chwili, bo ja żyć przestanę. Widzisz

krater pogrzebowy, nad którym kiedyś w pamiętnej dla mnie nocy bujaliśmy razem? W tej chwili wyziewać zaczął ogień, on mnie do siebie zaprasza. Bądźcie szczęśliwi i módlcie się za mnie.

Biegłem ku kraterowi, oni mnie przytrzymywali za skrzydła, ściskali i całowali, aż mnie uprosili, że nie zadam sobie śmierci, tylko wprost polecę do wujaszka Gerwida zwiastować, com widział.

## 28. Przeszłość

Gerwida zbudziłem i opowiedziałem mu wszystko.

— Stało się nie według mej woli, ale widać i z przemożnej woli losu, bo się stało pomimo wszystkich starań naszych i zabiegów — rzecz Gerwid, kiwając głową żałośnie.

— Więc im przebaczasz, doktorze?

— Kiedyś ty przebaczył, to i ja przebaczyć muszę; przed tobą jednym nie chciałbym się wstydzic, bo ty jesteś istotą nadludzkiej dobroci.

— A zatem ruszam do księcia Wadwis, aby u niego wybłagać przebaczenie.

— Nie potrzeba, ja sam go uwiadomię i będzie tu za chwilę z wszystkimi tymi, których pokochałeś i znasz od dawna. Chodź ze mną do obserwatorium. Spojrzyj teraz przez ten nowy teleskop na Ziemię w pełni stojącą. Nastawię ci Ziemię na ten punkt, który ci wskrzesi pamięć przeszłości i obudzi tęsknotę, bo tęsknić, mój przyjacielu, to jest wierzyć w przyszłość, kto tęskni, ten ma nadzieję. Co widzisz teraz na Ziemi?

— Widzę ogród, a w nim łoże, a na łożu?... Boże wielki! Na łożu ja sam, ale uśpiony, nie martwy, tylko uśpiony.

— A kogo tam widzisz obok siebie?

— Widzę starca z siwymi włosami, stojącego obok łoża mego, widzę niewiastę u stóp moich, widzę młodą osobę klęczącą przy tym łóżku. Ach Boże! Jakież cierpienia na ich twarzy wyryte! Czy nie można im pomóc, Gerwidzie? Czemuż mnie tak obchodzi los tych osób?

— Wkrótce się o tym dowiesz. Teraz przygotuj się na przykry widok, mój Nafirze, o dziecko znane mi od tak dawna i od tak dawna ukochane. Zobaczysz twoich przyjaciół, znanych ci skądinąd, zobaczysz takich, jakimi byli, gdy ich oddano wnętrzościom padołu, na którym się rodzili.

Gerwid zniknął, ciemność zaległa salę, nawet słońce zasłoniło się nieprzejrzałymi chmurami. Sześć błędnic niebieskich bujało około mnie i nareszcie spoczęło nad głowami sześciu trupów w trumnach.

Rozpoznałem ich od razu... byli to: Ignás, mój mały brat, Edwiger, mój nauczyciel, pan Andrzej, mój dobry opiekun, stary Swidwa, Malwina, moja narzeczona, ksiądz Beniamin, mój przyjaciel.

Od jednego do drugiego chodziłem, nie wzbudzali mi żadnej odrazy, tylko owszem jakąś lubą nadzieję, że ja pomiędzy nimi spocznę.

Oglądałem się za siódmą trumną, nie było jej.

— Szkoda! W tak dobrym towarzystwie milej być umarłym, niżli żyć między żyjącymi bez czucia i serca!

I dalej rzekłem do starego nauczyciela:

— Dotrzymałeś słowa, profesorze Edwiger, widzę cię na Księżycu, ale umarłym, czemuż ja żyjący pomiędzy wami?

— Boś nie umarł na Ziemi, tylko tam śpisz na niej, zawieszony pomiędzy życiem a śmiercią — rzecze Edwiger i wstaje z trumny i staje się Gerwidem.

— Wstańcie i wy, przyjaciele Serafina — rzeknie Gerwid uroczystym głosem.

Ignaś wstaje i jest Icingim, sędzia Andrzej jest Drzejną, Swidwa księciem Wadwisem, Malwina Lawinią, ksiądz Beniamin księciem Neu-iabi! Trumny znikają, światło powraca.

— Widziałeś nas takimi, jakimi byliśmy na Ziemi, tu w innych istot postać wcieleni, przybraliśmy inny charakter, inne stanowisko, tylko echo dawnych sympatii w nas pozostało. Ja jeden przedarłem się wiedzą do całkowitości dawnych uczuć istności i dlatego sprowadziłem



cię tutaj na uszczęśliwienie lub na wyleczenie z rozpacz. Pierwszego dokonać nie mogłem, drugiego dokonam, jeśli poznasz osoby otaczające cię uśpionego na Ziemi. Spójrzj teraz w teleskop.

— Boże! To mój ojciec, moja matka, moja siostra, płaczą nade mną uśpionym, nie wiedząc, czy wróci życie lub śmierć nastąpi. Ja chcę pójść do nich, otrzeć im łzy i żyć pomiędzy nimi.

— Więc do widzenia, Serafinie, jeszcze znajdziesz się z nami, lecz na innym planecie. Na żadnym nie ma szczęścia zupełnego, na każdym żyć można dość szczęśliwie, krzepiąc się w duchu, wierząc, że doskonałe szczęście dane będzie dopiero w niebie, gdzie ciała nie ma i namiętności, pędzące cielesnym życiem, umilkną na zawsze w wiecznie trwającym uczuciu niebiańskich uwielbień.

Wszyscy zbliżyli się do mnie i serdecznym mnie pożegnali uściskiem. Wróciłem duszą na Ziemię, na której jako uśpione ciało leżałem

przez całe dwa miesiące od chwili, gdym zemdlał na grobie księdza Beniamina.

Tam mnie znaleziono uśpionego, zawieziono mnie w tym stanie do Montpellier i złożono w szpitalu. Wkrótce potem przybyli ojciec, matka i siostra z Polski i w tym dziwnym znaleźli mnie stanie, o którym nie można było wyrzec z pewnością, czy się skończy powrotem do zdrowia czy śmiercią lub co gorzej idiotyzmem.

Lecz życie fizyczne nie ustawało w mym bezdusznym ciele, puls bił dobrze, cera, wprzódy tak blada, nabierała oczywiście czerstwości, a cała twarz wyrazu weselszego.

— Jego dusza musi być szczęśliwsza tam, gdzie teraz buja, niż była kiedykolwiek w rzeczywistości — rzecze profesor Lallemand i kazał mnie zanieść do ogrodu, między kwitnące krzewy i rozpiąć nade mną namiot, by mi nie szkodziły słoty, ani raziły promienie słońca.

I coraz więcej dawał mym rodzicom nadziei, im mnie widział czerstwiejszym i pogodniejszym.

Ziściły się jego przepowiednie: gdym stanął duszą nazad w mym ciele, zerwałem się z łóżka i do nóg upadłem rodzicom, co z dalekiej Polski przybyli odszukać stęsknionego syna.

Wiedziałem, gdzie jest Malwina, Edwiger, Andrzej i wszyscy, których kochałem, wierzyłem, że się z nimi znów kiedyś połączę jeszcze przed śmiercią, i nie tęskniłem już do Księżyca, lecz żyłem pełnymi siłami tu, na Ziemi, świadcząc dobre za złe, kochając wszystkich, nawet i nieprzyjaciół moich.

Wiele lat od tego czasu upłynęło, starzeć się zaczynam, ale się czuję szczęśliwy, bo wierzę w Boga i w uczucie miłości, które On wlewa w serce swym szczerym sługom.

# POBYT NA KSIĘŻYCU SAWINIUSZA CYRANO DE BERGÉRAC, OFICERA GWARDII FRANCUSKIEJ<sup>108</sup>

Krótki rys życia pierwszego podróżnika po Księżycu

Sawiniusz Cyrano de Bergérac<sup>109</sup>, autor wielu do dziś dnia cenionych utworów komicznych, urodził się w roku 1620, w zamku Bergérac w Perygordzie, umarł zaś w 1655. Młó-

---

<sup>108</sup>*Pobyty na Księżycu Sawiniusza Cyrano de Bergérac, oficera gwardii francuskiej* — Dajemy tu w przepolszczeniu opis pierwszej podróży na Księżyc odbytej przez dowcipnego Cyrano de Bergérac dwa wieki temu; lecz zarazem dodać musimy, że nie wierzymy autorowi *Agryppiny* i *Pedanta*, który nie znalazł na Księżycu skrzydlatych, a zatem doskonalszych ludzi, lecz Selenitów na czworakach chodzących. [przypis autorski]

<sup>109</sup>*Bergérac, Savinien Cyrano de* (1619–1655) — fr. pisarz i dramaturg, a także żołnierz sławny z licznych pojedynków; był przedstawicielem libertynizmu w literaturze, pisał satyryczno-filozoficzne listy (*Lettres* 1654), komedie (m.in. *Le pedant joue* 1654), tragedie (m.in. *La mort d'Agrippine* 1653); jest także autorem zaliczanych do klasyki powieści fantastycznych opisujących podróże do państw Słońca i Księżyca: *L'Autre Monde: ou les États et Empires de la Lune* (wyd. 1657) i *Les États et Empires du Soleil* (wyd. 1662; polskie wydanie obu utworów pt. *Tamten świat*, 1956); co ciekawe, opisując podróż na Księżyc, Cyrano twierdzi, że odbył ją przy użyciu rakiety (statku wprawianego w ruch przez petardy). Dzięki komedii Edmonda Rostanda *Cyrano de Bergérac* (1897) postać rzeczywistego autora stała się popularną postacią literacką. [przypis edytorski]

dość swą spędził w sposób bardzo urozmaicony i burzliwy. Najprzód wszedł jako kadet do pułku gwardii, w którym odznaczył się walecznością. Wybitną cechą jego charakteru był popęd do pojedynków i miał ich w swym życiu nieprzeliczoną liczbę. Otrzymawszy na wojnie wiele ciężkich ran, porzucił Bergérac służbę wojskową i całkowicie poświęcił się literaturze. Zostawił nam następujące utwory: *Agryppinę*, tragedię; *Udanego Pedanta*, komedię; *Podróż po Księżycu* i *Komiczną historię państwa na Słońcu*. Moliere, Fontenelle (w swych *Światach*), Voltaire (w *Mikromegasie*) i Swift (w *Guliwerze*) czerpali bardzo wiele z Berzeraka. Dzieła jego doczekały się bardzo wielu wydań, z których ostatnie ukazało się w Paryżu w roku zeszłym.

### Podróż na Księżyc

Było to podczas pełni Księżyca, niebo jaśniało pogodą, a dziewiąta godzina tylko co wybiła, gdyśmy wracali z Clamart do Paryża od pana Guigy, który nas gościnnym uraczył przy-

jęciem. Oczy każdego z nas były wlepione w szarofranowe oblicze Księżyca, a myśl błąkała się na drodze najdziwniejszych przypuszczeń co do istotnej jego przyrody. Jeden z nas utrzymywał, że to być musi otwór niebieskiego sklepu<sup>110</sup>; drugi znów twierdził, że to jest owo okrągłe żelazko, na którym Diana prasuje wykwintne żaboty Apollina; inny na koniec dowodził, że Księżyc może być bardzo prawdopodobnie Słońcem w wice mundurze, które zdjąwszy z siebie pod wieczór świetne swe promienie, wygląda przez ten otwór, chcąc się dowiedzieć, co też to ludzie robią na świecie podczas jego niebytności.

— A ja — rzekłem — dorzucając swe słówko do waszych, powiem wam, nie wdając się w owe wysokiej waszej wyobraźni przypuszczenia, którymi tak doskonale zabijacie czas dość już długo trwającej drogi, iż wierzę, że Księżyc jest światem równie jak nasz i że nasza z kolei Ziemia służy mu w nocy za latarkę.

Odpowiedziano mi głośnym śmiechem.

---

<sup>110</sup>sklep (daw.) — sklepienie. [przypis edytorski]

— Może tak samo — odrzekłem — śmieją się w tej chwili na Księżycu z tego, co podobnie utrzymuje, że nasza planeta jest światem.

Ale na próżno starałem się im dowieść, że wielu znakomitych ludzi trzymało się tego zdania. Podniecało to tylko coraz bardziej ich śmiechy.

Bądź co bądź, myśl ta jednak dość odpowiednia mym usposobieniom w owej chwili, głębiej mi się jeszcze w mózg wwierciła, wywoławszy przeciwko sobie tak zwawe w mych towarzyszach przeczenie. Przez całą drogę wewnątrz mej czaszki zapładniało się tysiącem określeń księżycowej przyrody, lecz ani jedno z nich nie mogło przyjść na świat szczęśliwie i w zdrowym stanie. Słowem, utrzymując w sobie podobne myśli i popierając je rozsądnymi (o ile przedmiot pozwalał) rozumowaniami, byłem już bardzo bliski oddania się im całkowicie i na zawsze, gdy przecie cud czy wypadek, los lub coś może takiego, co to zowią widzeniem, urojeniem, chimerą albo głupstwem, wyprowa-

dziło mnie z tego kłopotu, a nawet postawiło w możliwości napisania niniejszej gawędy.

Wróciwszy do domu, gdym wszedł do mego pokoju, spostrzegłem na biurku otwartą jakąś książkę, której tam ani kładłem, ani rozwierałem. Było to dzieło Kardana, i jakkolwiek nie miałem najmniejszego zamiaru czytania go, oko moje jednak mimowolnie, niby jakąś tajemną kierowane siłą, wpadło na wyrazy opisujące wypadek, jaki się wydarzył pewnego razu temu filozofowi: w nocy, przy słabym świetle jednej świecy, zatopiony w swych odezwanych badaniach spostrzega Kardan wcho-  
dzących do pokoju, pomimo że drzwi szczelnie były pozamykane, dwóch olbrzymiego wzrostu starców, którzy po wielu zapytaniach ze strony filozofa odpowiedzieli mu nareszcie, iż są mieszkańcami Księżyca, i powiedziawszy to, znikli.

Byłem cały zdumiony. Książka ta, która sama z półek przywędrowała na stół, sama się w tym znaczącym dla mnie otworzyła miejscu, wszystko to nastroiło mnie na taką nutę, że



postanowił przekonać przecie raz już ludzi, że Księżyc jest rzeczywistym światem.

— Jak to? — mówiłem sam do siebie — cały dzień myśl moja była wyłącznie zajęta jednym tym tylko przedmiotem, a teraz powróciwszy do domu, widzę jedyną w świecie książkę zajmującą się tą rzeczą, leżącą na mym stole i otwartą?... i oczy moje nadludzką jakąś wiedzioną siłą, utkwily właśnie w miejscu jak najciekawszym... w miejscu, które coraz silniej podsyca i tak już mocno rozbudzoną mą ciekawość do badań Księżyca??... Zaprawdę musi w tym wszystkim być coś... tak, bez zaprzeczenia, niewątpliwie dwaj starcy, którzy zjawili się niegdyś sławnemu owemu filozofowi, oszczędzając tym razem sobie i mnie pracy i niepotrzebnej zmudy czasu na odwiedziny, musieli w czasie mej nieobecności wyjąć z szafki tę książkę i tu ją rozłożyć w tym miejscu.

Ale — pomyślałem sobie dalej — jaką drogą dojdę do rozstrzygnięcia wszelkich niepokojących mnie wątpliwości w badaniach nad Księżycem? Trzeba by się nań dostać... A cze-

mużby nie natychmiast? — odpowiedziałem sobie. — Prometeusz przecież wędrował do nieba po ogień. Mamże być mniej od niego przedsiębiorczy?... Dlaczegoż nie miałbym się spodziewać równie szczęśliwego jak on w mych poszukiwaniach i przedsięwzięciach skutku?

Po wszystkich tych *widzimisjach*, które by kto inny wziął może za objawy gorączki, ogarnęła mnie całego nadzieja wynalezienia sposobu przejazdki na Księżyc. W tym celu pojechałem na wieś, osiadłem w domku zupełnie odosobnionym i przerzuciwszy tysiące nawijających mi się pomysłów, wybrałem sobie następującą drogę dla dostania się *in excelsis*<sup>111</sup>.

Poprzączepiałem do siebie ogromną ilość okrągłych szewskich baniek napełnionych rosą, a promienie słoneczne, działając na nie w sposób, w jaki sobie radzą, gdy tworzą olbrzymie chmury, zalegające często całe sklepienie niebios, podniosły mnie tak raptownie w górę, że po krótkim przeciągu czasu poczułem, iż muszę się znajdować powyżej średniej strefy. Lecz

---

<sup>111</sup>*in excelsis* (łac.) — na wysokości. [przypis edytorski]

ponieważ szybkość przyciągającej siły, która mnie pędziła do góry, zamiast mnie przybliżyć do Księżyca, zdawała mi się owszem przeciwnie oddalać mnie od niego, stłukłem więc kilka baniek, następnie jeszcze kilka, aż na koniec poczułem, że wyswobodziwszy się spod wpływu przyciągającego siły promieni słonecznych, zacząłem upadać ku Ziemi. Według mego obliczenia powinna była być w tej chwili północ. Tymczasem słońce świeciło z najwyższego punktu i wnosząc z silnie mnie palących jego promieni, musiało to być południe.

Możecie sobie wystawić<sup>112</sup> moje zadziwienie, a doszło ono do tego stopnia, że mnie sobie pozwolił wyobrazić, że Pan Bóg zawrócił namyślnie Słońce, aby przyświecało mej śmiałej wędrowce. Ale co jeszcze przyczyniło się do zwiększenia mego podziwu, to to, że wyobrażałem sobie, iż podnosząc się pionowo, powinienem był spuścić się na to samo miejsce, z którego porwany zostałem, a tymczasem ziemia pod moimi stopami była mi zupełnie nieznana.

---

<sup>112</sup>wystawić sobie coś (daw.) — wyobrazić sobie coś. [przypis edytorski]

Widząc w oddali dym wychodzący z komina jakiejś nędznej chatki, udałem się w jego kierunku. Gdym się jeszcze znajdował oddalony od zabudowania tego na strzał pistoletowy, nagle otoczyło mnie mnóstwo ludzi zupełnie nago. Wyraźne zadziwienie malowało się na ich twarzach, byłem bowiem zapewne pierwszym człowiekiem, którego widzieli w tak dziwnym jak mój, butelkowym stroju. Ku większemu jeszcze zbałamuceniu wszystkich domysłów, jakie się mogły zrodzić w ich głowach, stopy moje nie dotykały ziemi; bujałem leciuchno nad jej powierzchnią, i gdyby nie zmniejszona już znacznie ilość baniek, pewnie by rosa w nich zawarta, pod wpływem słonecznych promieni, podniosła mnie do góry z równym jak pół doby temu pośpiechem. Chciałem do nich przystąpić, lecz oni przestraszeni zerwali się jak stado dzikich ptaków i znikli w pobliskim lesie. Ale zdołałem jednego z nich schwytać. Zapytałem go, a z trudnością mi to przyszło, bom cały był zaziajany, jak daleko do Paryża i od jakiego to czasu ludzie we Francji chodzą nago?

Człowiek, do którego przemówiłem w ten sposób, był starcem cery oliwkowej. Padł przede mną na kolana, złożył ręce, ale z tyłu głowy, otworzył usta i zamknął oczy. Bełkotał coś długo przez zęby, tak że m go zrozumieć nie mógł; dźwięki jego głosu podobne były do gardłowego syczenia niemocy.

Po pewnym czasie wystąpił z lasu oddział żołnierzy i bijąc w bębny, zbliżał się ku mnie. Dwóch z oddziału wysunęło się naprzód. Zapytałem ich, gdzie się znajdują.

— Jesteś pan we Francji — odpowiedzieli mi — ale jakież to licho ustroiło pana w ten sposób? I jakim się to dzieje cudem, że my pana nie znamy? Czy okręty wylądowały? Może pan jesteś posłańcem do gubernatora? Dlaczego żeś pan porozlewał swą wódkę w taką nieskończoną ilość flaszeczek?

Odpowiedziałem na to wszystko, że żadne licho nie przyczyniło się do mego stroju, że mnie nie znają dla tej bardzo prostej przyczyny, że wszystkich ludzi znać niepodobna, że pierwszy raz słyszę o tym, aby okręty zegłowały

po Sekwanie aż do Paryża, że nie mam żadnej nowiny do udzielenia panu gubernatorowi *de l'Hôpital*, i że zresztą bynajmniej nie wiozę ze sobą gorzałki.

— Ho, ho! — odrzekli, biorąc mnie pod obydwie ręce. — Chcesz nam grać rolę zucha. Pan gubernator pozna cię zaraz.

Poprowadzili mnie więc do samego wicekróla, który zadawszy mi kilka protokolarnych zapytań, rozkazał w końcu dać mi pokój we własnym swoim pałacu.

Ja z mej strony dowiedziałem się, że jestem rzeczywiście we Francji, ale w nowej, w Ameryce. Pokazało się więc, że spadłem na Antypody.

W wieczór, gdy się już zabierałem do snu, wszedł do mnie wicekról i odezwał się w ten sposób:

— Nie śmiałybym zakłócać pańskiego spoczynku, gdybym nie był przekonany, że ktoś, co wynalazł sposób przebycia w tak krótkim czasie tak długiej drogi, może również mieć sposób niemęczenia się nigdy. Wiesz też pan,

że nasi ludzie koniecznie utrzymują, żeś pan czarnoksiężnik. Rzeczywiście obrót, który pan przypisujesz Ziemi, jest dość dowcipną zagadką, tym bardziej, że przypuściwszy nawet, iżeś wczoraj wyjechał z Paryża, to jeszcze Ziemia nie potrzebowałaby wcale obracać się, abyś się tu pan dostał. Słońce za pośrednictwem pańskich flaszeczek podniosło pana w górę, musiało cię więc spuścić na to miejsce, gdyż według Ptolomeusza i nowszych filozofów Słońce obraca się w tym ukośnym kierunku, jaki ty chcesz nadać Ziemi. A zresztą cóż mamy za powód utrzymywać, że Słońce jest nieruchome, kiedy widzimy, jak bieży<sup>113</sup>? Lub że Ziemia się obraca, kiedy przeciwnie czujemy ją tak stałą i nieporuszoną pod naszymi stopami?

— Oto są, kochany panie, powody — odrzekłem — skłaniające nas do mniemania, że Słońce jest nieruchome i że się znajduje w samym środku wszechświata: najprzód, że wszystkie planety potrzebują światła i ciepła, a jedno i drugie mogą otrzymywać jedynie od Słoń-

---

<sup>113</sup>bieżyć (daw.) — iść, podążać. [przypis edytorski]

ca w stanie jego nieruchomym. Przyroda urządziła wszystko w ten sposób, że źródło każdej rzeczy zawarte jest w samym jej środku, tak jak ziarno lub pestka w owocu! Przypuściwszy więc, że inne planety, podobnie jak Ziemia, potrzebują ożywczego światła i ciepła słonecznych promieni, to aby je ciągle i w jednakowym zawsze miały stosunku, muszą się obracać około tego ich źródła, które znów musi być nieruchome. Zresztą jest to wielką zarozumiałością chcieć utrzymywać, że Słońce obraca się około naszej Ziemi dlatego, aby jej jednej tylko przyświecało. Ciało nieskończenie od niej większe! Ho, ho! Jest to to samo, jak gdybyśmy powiedzieli, że dla upieczenia na rożnie skowronka trzeba naokoło niego obracać komin z ogniem; jest to utrzymywać, że nauka medycyny potrzebuje chorego, a nie odwrotnie, słowem, jest to powiedzieć, że wielkie rzeczy są stworzone dla małych, że słabszy musi zawsze zwyciężyć mocniejszego. Nie! Stanowczo utrzymuję, że się Ziemia około Słońca obraca i żywi się jego światłem i ciepłem we-



spół z tyloma innymi ciałami niebieskimi, które również około niego krążą i korzysta z tych darów tylko jak żebrak, który idąc ulicą obok cesarskiego pałacu, korzysta z tysiąca świateł, które w nim płoną.

— Zwalniam cię — rzecze gubernator — od dalszego dowodzenia, nie dlatego ażebyś mnie miał przekonać, ale że chcę ci opowiedzieć dowcipny dowód jednego z naszych krajowców na potwierdzenie własnego twego zdania. Krajo-  
wiec ten podzielał zdanie Kopernika o biegu Ziemi około Słońca, ale dowodził tego w sposób zupełnie różny od uczonego astronoma. Mówił on, że piekielny ogień, będąc zawarty we wnętrzu Ziemi i nielitościwie paląc nieszczęśliwych potępieńców, zmusza ich do tego, że chcąc uniknąć go, pną się po kulistym sklepieniu, w którym są zamknięci, i tym sposobem nadają ruch Ziemi, podobnie jak pies zamknięty w kole, pnąc się po jego ścianach, zmusza je do szybkiego nadzwyczaj biegu.

Co dzień powtarzały się te nasze arcy-astro-  
nomiczne rozmowy, przechodziły one nawet

w sferę czysto filozoficzną i Bóg wie do jakich by przyprowadziły nas wyników, gdyby nie to, że sprawy państwa odwołały wicekróla z tego wyłącznie naukowego pola na inne, mniej oderwane. Mnie zaś z większą jeszcze niż dawniej siłą opanowała myśl dostania się koniecznie na Księżyc. Ile razy oblicze jego pokazało się na niebie, szedłem w pole i przypatrywałem mu się z całym zajęciem, a serce moje paliła żądza znajdowania się na nim. Pewnego nareszcie razu, zbudowawszy doskonałą machine, która według wszelkich poprzednio już przeze mnie robionych obliczeń, powinna mnie była podnieść do jakiej sobie tylko życzyć mogłem wysokości, i zaopatrzwszy się we wszystko, co osądziłem za potrzebne, puściłem się w napowietrzną podróż z pobliskiej skały. Widać jednak, że źle jeszcze wymiarkowałem siły i działanie mej maszyny, gdyż wzniósłszy się do niezbyt znacznej wysokości, spadłem na ziemię, ku wielkiemu niezadowoleniu mego ciała, które się całe w okamgnieniu przemieniło w jedną olbrzymią ranę. Mimo to jednak duch mój nie

stracił przytomności, zerwałem się czym prędzej, zgromadziłem poodrywane i rozproszone wokół mnie co grubsze cząstki mej materialnej istoty, a przybywszy do domu wysmarowałem się tak doskonałym balsamem, sporządzonym ze szpiku i żywokostu, że wkrótce wróciłem do dawnego stanu cielesnego zdrowia. Wtenczas przypomniało mi się, że warto by iść poszukać mej maszyny, która razem ze mną spadła z górnych stref na ten padół. Gdzie tam! Szukałem na próżno, nigdzie jej śladu nawet nie mogłem się domacać, aż wreszcie znajduję ją na środku rynku *Quebec*, otoczoną przez kilku żołnierzy, którzy już podkładają pod nią ogień w chęci uczynienia jej pastwą tego niszczącego żywiołu. Zgrozą przejęty na widok tych nowych Herostratów, rzucam się pomiędzy nich, a rozpacz, dodając mi nadludzkich sił, sprawia, że od razu ich odpycham i wskakuję do mej maszyny. Lecz o nieba! Wskakując, poruszyłem nogą lotną sprężynę, która w jednej sekundzie, wprawiając w ruch

cały mechanizm, unosi mnie gwałtownie w górę.

Pędzę tedy pionowo jak strzała z najdoskonalszego wyrzucona łuku, wzbijam się coraz wyżej i wyżej, w tym nagle maszyna moja ulega temu samemu wypadkowi, jaki ją spotkał w czasie mojej pierwszej na niej podróży. Kórka i sprężyny tracą regularność biegu, całość mechanicznego ruchu coraz bardziej słabnie i wreszcie maszyna spode mnie upada. Rzecz jednak niepojęta! Ja bynajmniej nie idę za jej przykładem, lecz przeciwnie, bez najmniejszego z mej strony starania, coraz się wyżej podnoszę.

Proszę sobie wystawić<sup>114</sup> moją odwagę i zimną krew w owej chwili! Zapominając o położeniu, w jakim się znajduję, zapominając o grożącym mi niebezpieczeństwie, najspokojniej zacząłem badać przyczyny tego niezrozumiałego dla mnie zjawiska. I doszedłem na koniec całej tajemnicy. Księżyc był w swym okresie zmniejszania się. Wiadomo, że wówczas wysysa

---

<sup>114</sup>wystawić sobie coś (daw.) — wyobrazić sobie coś. [przypis edytorski]

on szpik z kości wszystkich zwierząt, znajdujących się na Ziemi, a ponieważ ja cały byłem wysmarowany szpikiem, przeto Księżyc gwałtownie mnie do siebie przyciągał. Siła ta zaś przyciągania była tym większa, iż znajdowałem się daleko bliżej Księżyca, aniżeli wszystko to, co pełza po naszej Ziemi. Szybkość mego lotu wzrastała co chwila. Gdym wreszcie, o ile mi się zdaje, odbył już ze trzy czwarte drogi do Księżyca, nagle przewróciłem się nogami do góry. Wywróciłem jednak tego koziołka tak niepostrzeżenie, że tylko ciężar własnego ciała, spływając mi na głowę, przekonał mnie o tym nadprzyrodzonym mym położeniu.

Powiodłem dokoła wzrokiem i ujrzałem się między dwoma ogromnymi Księżycami. Oddalałem się jednak widocznie od większego, dążąc ku mniejszemu. Zjawisko więc to łącznie z tym tajemniczo wywróconym koziołkiem i z jakimś wreszcie wewnętrznym przeczuciem, z którego żadnej sprawy zdać sobie nie mogłem, wprowadziło mnie na myśl, że zdążam ku właściwemu (w naszym rozumieniu) Księżycowi. Rze-

czywiście po dwudniowej jeszcze wędrówce poczułem na sobie silne nadzwyczaj działanie przyciągającej siły Księżyca i zresztą, nie zdając wam sprawy z wrażeń, jakich doznałem spadając, bo takowe i dla mnie pozostają cokolwiek ciemne, powiem tylko, że się naraz ujrzał pod drzewem z tuż obok mnie leżącymi trzema gałęziami, które oberwałem spadając, i z dojrzałym jabłkiem rozmazanym na mej twarzy, której usta chciwie chwytają wydzielający się z owocu smaczny jego sok.

Gdym przyszedł do siebie i spojrzał wokoło, pyszna równina rozwinęła się przed mym okiem. Cztery srebrne przerzynały ją rzeki, które łącząc się przy swym ujściu, tworzyły dziwnie piękne i symetryczne jezioro. Świecące kamiki, którymi droga była tu usypana, nie były tak twarde jak nasz krzemień, lecz owszem zdawało mi się, iż miękną pod moją stopą i uchylają się pod jej naciskiem. Dalej między rzekami pięć alei ślicznymi usadzonych drzewami przecinało się z sobą, nad którymi unosiła się

olbrzymia gwiazda; drzewa tak proste i tak wysokie, iż się zdawało, że ich szczyty giną w atmosferze sąsiednich planet.

Patrząc z dołu aż do góry na te pyszne drzewa, nie byłem w stanie powiedzieć na pewno czy one z ziemi wyrastają, to jest, czy ziemia je dźwiga, czy też przeciwnie one wstrzymują ziemię przyczepioną do ich korzeni. A zapach rosnących kwiatów i cudowne ich barwy tak mile uderzały wzrok mój i węch, a muzyka ptasząt wesołych tak łagodne do ucha sprowadzała mi wrażenia, że na serio rozumiał się być<sup>115</sup> w raju. Jak zwierz na wiosnę lenieje i nową pokrywa się sierścią, tak ja moralnie zrzuciłem z siebie wszystko, com z Ziemi na sobie tu przyniósł, i nowym pokryłem się włosom. Czułem wyraźnie, jak się odradzam, czułem, że robię się taki, jak kiedyś miał lat czternaście.

Puściłem się drogą przez śliczny lasek mirtów i jaśminów, a uszedłszy z jakie ćwierć mili,

---

<sup>115</sup>żem (...) rozumiał się być w raju (daw.) — że sądziłem, iż jestem w raju.  
[przypis edytorski]

spostrzegłem w cieniu na murawie coś ruszającego się.

Podszedłem bliżej i ujrzałem spoczywającego na pysznym natury kobiercu młodziana tak zachwycającej, czystej, niebiańskiej piękności, że w mym zachwyceniu chciałem mu już oddać cześć, jaką zwykliśmy oddawać Bogu.

Lecz w sam czas zdążył mnie wstrzymać, mówiąc:

— Do Boga tylko w ten sposób zwracać się należy.

— Masz przed sobą kogoś — odrzekłem mu — który zachwycony tyloma cudami, jakie znalazł na twojej uroczej ziemi, nie wie, od czego ma zacząć; język mi się płacze, przybywam ze świata, który tu zapewne uważacie za Księżyc; zamiarem moim było się dostać na to ciało niebieskie, które znów u nas nazywają Księżycem, ale widzę, że jestem w raju, wobec Bóstwa, które nawet nie chce, abym mu należną cześć oddał.



— Wyjąwszy<sup>116</sup> naturę boską, jaką mi przypisujesz, ponieważ jestem równie jak ty istotą stworzoną, reszta słów twych jest prawdziwa. Jesteś rzeczywiście na Księżycu, mówiąc językiem waszej Ziemi. Bo i ja kiedyś mieszkałem na waszym świecie. Oddany byłem wówczas całkowicie życiu naukowemu i było mi z tym dość dobrze, ale gdy na koniec spostrzegłem, że im więcej człowiek umie, tym więcej przekonuje się, że umie bardzo jeszcze mało w porównaniu z tym, co by mu umieć wypadało, chcąc dojść do prawdy, znudziło mnie to, zniecierpliwiło tak, że straciłem nadzieję odszukania tej prawdy na drodze nauki. Począłem wówczas myśleć, myśleć... aż pewnego razu wziąłem dwie stopy kwadratowe magnesu, wsadziłem do chemicznego pieca i gdy go w ten sposób należyście oczyściłem i rozrzedziłem, wydobyłem z niego wszystką siłę przyciągającą w kształcie kulki średniej wielkości. Następnie kazałem sobie zrobić maszynę z cienkiego żelaza, wsia-  
dłem w nią i rzuciłem w powietrze magnesową

---

<sup>116</sup>wyjąwszy — pominąwszy; z wyjątkiem. [przypis edytorski]

kulkę. Natychmiast poczułem, że się podnoszę i zdążam w prostym do góry kierunku za wyrzuconą kulką. Gdy takowa opadać zaczęła, schwyciłem ją co prędzej i znów wyrzuciłem w górę, i znów maszyna ze mną przyciągana przez magnes szybko podnosiła się. Powtarzając ciągle to działanie, dostałem się na koniec aż na Księżyc. Kiedy już byłem na jego powierzchni, oko moje, podobnie jak twoje przed chwilą, zachwycone zostało widokiem tej cudownej natury. Długo błąkałem się samotnie, nie wiedząc, co począć, zwątpiłem już nawet potem, czy te urocze miejsca są zamieszkałe przez kogo i smutno mi się zrobiło na myśl, że jestem tak zupełnie odosobniony od wszelkich żyjących istot. Wpadłem w końcu w rozpacz i prosiłem Boga o śmierć lub spotkanie się choć z jakim zwierzęciem. Niebo mnie wysłuchało: po kwadransie drogi zoczyłem zbliżające się ku mnie dwoje ogromnych jakichś zwierząt. Jedno z nich, dostrzegłszy mnie, uciekło z niewypowiedzianą szybkością, drugie zaś pozostało na miejscu i pilnie zaczęło mi się przy-

patrywać. I ja też z mej strony uważnie mu się przyglądałem i ku wielkiemu memu zadziwieniu przekonałem się, że te zwierzęta miały zupełnie ludzkie twarze i składem ciała wcale się od nas nie różniły. Cała ich różnica od nas polegała na tym, że chodziły na rękach i nogach, po prostu na czworakach, co zresztą, przyznasz pan, nie jest przeciwko naturze, bo przecież dziecko, dopóki jest maleńkie, dopóki jeszcze żaden obcy wpływ nie ma do niego przystępu, chodzi na czworakach. Ale mniejsza o to.

Otóż jedno z tych zwierząt, jak ci przed chwilą mówiłem, uciekło do lasu, wkrótce jednak wróciło w towarzystwie nieprzeliczonej liczby podobnych mu stworzeń. Jedno nareszcie z nich podstąpiło do mnie bliżej, wzięło mnie przednimi łapami w pól i zarzuciwszy na grzbiet, niezmiernie szybko mnie uniosło przy radosnych okrzykach całej czeready.

Po pewnym przeciągu czasu ujrzałem się wśród murów, dość porządnie zbudowanego miasta, co mnie utwierdziło w mym poprzednim mniemaniu, że to rzeczywiście muszą być lu-

dzie. Zewsząd wołano, patrząc się na mnie: to zapewne ten sam rodzaj zwierzątka, którego jedną sztukę posiada królowa, tylko że to, drobniejsze i jakoś łagodniejsze, wygląda na samicę.

Wystąpił nareszcie z tłumu jakiś obywatel, mieniący się być znawcą zwierząt i domagał się, aby mu mnie darowano. Uczyniono zadość jego żądaniu. On mnie zaniósł do ratusza. Cały dzień tłoczono się zewsząd, aby mnie oglądać. Następnym dni zaprowadzono już pewien porządek w tych odwiedzinach. Wyznaczono godziny, w których dozwolono ciekawym przychodzić dla przypatrzenia mi się. Wówczas dozorca zmuszał mnie skakać przez sznur, tańczyć, wywracać kozły i różne odbywać ćwiczenia gimnastyczne, bardzo poniżającej przyrody<sup>117</sup>; okropnie musiałem pracować na zarobienie tej łyżki strawy, jakiej mi w tym więzieniu udzielano.

Po dwóch czy trzech miesiącach podobnego życia, usłyszałem za sobą głos ludzki, prze-

---

<sup>117</sup>*przyroda* (daw.) — tu: natura, charakter, wrodzone lub z definicji przypisane właściwości. [przypis edytorski]

mawiający do mnie po grecku. Odwróciłem głowę i spostrzegłem rzeczywiście człowieka, który się mnie pytał, skąd jestem i jakim się tu dostałem sposobem. Opowiedziawszy mu pokrótce przyczyny, jakie mnie skłoniły do tego śmiałego przedsięwzięcia i środki, które mi posłużyły do wykonania go, zostałem zapytany w następujący sposób:

— Jesteś ofiarą głupoty twych bliźnich, wiesz o tym? I tu, równie jak na twoim rodzinnym planecie, znajduje się niedorzeczna tłuszcza, która nie może zrozumieć tego, do czego jej oko nie jest przyzwyczajone. Uważają cię na Księżycu za zwierzę dlatego, że nie chodzisz na czworakach jak oni; ale wiedz, oni oddają ci tylko wet za wet. Ręczę ci, i sam zapewne o tym przekonany jesteś, że gdyby który z nich dostał się na Ziemię, niezawodnie byłby przez was uważany za zwierzę. A niechby mu jeszcze fantazja przyszła utrzymywać, że jest człowiekiem, niezawodnie by go nasi uczeni kazali udusić jako potwora.

Mój nowy znajomy obiecał mi potem w ciągu naszej rozmowy, że da znać o moim pojawieniu się do dworu, co zapewne znakomicie wpłynie na poprawę mego losu. Powiedział mi, że gdy tylko usłyszał o mnie i gdy mu opisano mniej więcej kształt mojego ciała, zaraz się domyślił, że muszę być człowiekiem, albowiem on sam, jakkolwiek urodził się i wychował na *Słońcu*, nawiedzał jednakże Ziemię i mieszkał pewien czas na niej.

Był mianowicie w starożytnej Grecji, gdzie pospolicie nazywano go szatanem Sokratesa. Wychował tam Epaminondesa i rządził w Tebach podczas jego małoletności, następnie pojechał do Rzymu, gdzie wrodzone mu uczucie sprawiedliwości skłoniło go do przyjęcia czynnego udziału w stronnictwie Katona. Później był ciągle przy Brutusie, z którym go nawet bardzo ścisła łączyła przyjaźń.

— Na koniec — dodał — ludzie do tego stopnia znikczemnieli na Ziemi, że ja i kole-dzy moi ze Słońca straciliśmy ochotę nauczania ich. Musiałeś o nas słyszeć; byliśmy tam zna-

ni pod najrozmaitszymi nazwiskami: wyroczeni, nimf, geniuszów, wrózek, larów, lemurów, penatów, larw, strzyg, złych i dobrych duchów, najad, rusalek, cieniów, widm, strachów, widziadeł i sobowtórów. Porzuciliśmy świat wasz za czasów panowania Augusta, zaraz po ostatnim mym widzeniu się z Druzem, synem Liwii, kiedy tenże wybierał się na wyprawę przeciwko Germanom. Niedawno byłem powtórnie na waszym świecie dla widzenia się z Kardanem, którego nauczyłem wielu bardzo pożytecznych rzeczy. Obiecał mi za to opowiedzieć ludziom tę ostatnią moją wycieczkę na waszą planetę. Widziałem się również z Agryppą, Opatem Trytenusem, Cezarem, doktorem Faustem, la Brossem. Znałem Campanellego, z mojej nawet namowy napisał on książkę pod tytułem: *De sensu rerum*. Bywałem podczas pobytu mego we Francji u la Mothe'a, le Vogera i u Gassendiego<sup>118</sup>. Oto są mniej więcej ludzie, których poznałem bliżej i którzy zasługują na

---

<sup>118</sup>Gassendi, Pierre (1592–1655) — filozof i matematyk fr., profesor Kolegium Królewskiego w Paryżu; odnowiciel w duchu chrześcijańskim atomistycznej filozofii Epikura (z odrzuceniem np. koncepcji materialności duszy i odwieczności

jakaś uwagę. Wszyscy inni stali tak dalece niżej od rozumnej istoty, jaką powinien być człowiek, że znalazłem wiele bardzo zwierząt, które bym postawił wyżej od nich. Więc obrzydziwszy ich sobie ostatecznie, przenieśliem się na ten księżycowy świat, który przynajmniej pod tym względem lepszy jest od waszego, że nie ma na nim pedantów, i że w ogóle tutejsi mieszkańcy kochają prawdę. Filozofowie na Księżycu rządzą się jedynie rozsądkiem, krótko mówiąc, każdy sofista i orator uważany tu jest za wariata.

Wysłuchawszy tego wszystkiego, zapytałem się go, wiele<sup>119</sup> sobie może liczyć lat. Odpowiedział mi, że od trzech do czterech tysięcy.

Zapytałem go następnie, czy ludzie na Słońcu mają też same kształty ciała co na Ziemi?

— Tak jest — odpowiedział — ale skład naszego ciała jest zupełnie od waszego różny i w ogóle nie może być porównany z żadną rzeczą istniejącą na waszym planecie. Wy zwy-

---

atomów); jako pierwszy obserwował przejście Merkurego na tle tarczy Słońca w 1631 r. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>wiele (daw.) — ile, jak wiele. [przypis edytorski]



kliście nazywać ciałem tylko to, co podpada pod wasze zmysły, my zaś przeciwnie utrzymujemy, że wszystko na świecie jest ciałem, chociażby nie było dostępne żadnemu z pięciu zmysłów człowieka. Podczas pobytu naszego na Ziemi byliśmy zmuszeni przyodziewać się w wasze kształty ciała, to jest w takie, które nie przechodzą poza zakres słabego rozwinięcia waszych zmysłów.

Tyle ciekawych, a często zagadkowych rzeczy skłoniło mnie do zadawania mu dalszych pytań:

— Chciałbym wiedzieć — rzekłem — jak ludzie na Słońcu umierają, jeśli są podlegli śmierci, i w jaki sposób się rodzą. Czy prawa natury w tym względzie są jednakowe u was i u nas?

— Zbyt wielką jest — odpowiedział — granica między naszymi i waszymi zmysłami, abyś był w stanie zrozumieć całą tajemnicę wszystkich tych rzeczy. Wy wyobrażacie sobie, że w ogóle to, czego nie możecie zrozumieć, jest *duchowe* albo że wcale nie istnieje, tymczasem logika ta jest bardzo fałszywa i nawet może sa-

ma posłużyć za dowód na to, że w przyrodzie mogą istnieć miliony przedmiotów, które abyście mogli poznać, musielibyście mieć miliony nowych organów, których nie posiada wasza istota. Ja na przykład za pomocą mych zmysłów jedynie poznaję przyczynę związku, jaki zachodzi między magnesem a północnym biegunem; również widoczna, dotykalna jest dla mnie przyczyna przyływu i odpływu morza. Wy nie możecie się podnieść do wysokości zrozumienia podobnych kwestii i stanowią one przedmiot waszej wiary; bo zmysłom waszym brak tych subtelnych własności, za pomocą których dochodzimy do łatwego pojęcia wszystkich tych zjawisk.

Tymczasem dozorca mój spostrzegłszy, że odwiedzający mnie goście zaczynają ziewać, że rozmowa moja z zacnym słonecznym obywatelem, której zupełnie nie rozumieli, nudzi ich najniemiłosierniej, począł z całej siły ciągnąć za sznurek, na którym byłem uwiązany i musiałem znów skakać, tańczyć, wywracać kozły, aż

szanowna publiczność kładła się na ziemię, pękając ze śmiechu.

Jedyną mą pociechą w obecnym mym położeniu były odwiedziny tego poczciwego szatana. Z nim jednym mogłem przynajmniej pomówić po ludzku, gdyż z krajowcami nie można było zawiązać żadnej rozmowy, najprzód dlatego, że mnie uważali za zwierzę niemające na sobie najmniejszej ludzkiej cechy, po wtóre zaś, że nie znałem zupełnie ich języka, a którego nauczyć się nie było tak łatwo. Trzeba ci wiedzieć bowiem, czytelniku, że jest tu właściwie jeden tylko język dzielący się na dwa narzecza: jednym mówią możni, arystokracja księżycowa, drugim znów lud. Pierwsze narzecze składa się z niewyraźnych, nieokreślonych dźwięków, podobnych cokolwiek do głosu muzycznego. Naturalnie, że dla naszego ucha są one zupełnie niezrozumiałe. Można je porównać do nuty jakiejś piosenki, której słów nie słyszysz. Bez zapreczenia jest to bardzo dowcipny i dobry wynalazek, bo skoro się zmęczą rozmową, wówczas biorą do ręki lutnię lub inny jaki podob-

ny instrument i z nadzwyczajną wprawą przebie-  
rając palcami po jego strunach, najdokład-  
niej w świecie udzielają sobie swe myśli. Tak,  
że czasami widzisz ich ze dwudziestu zajętych  
ważną jakąś kwestią teologiczną lub prawną,  
każdy z nich mówi, zaprzecza, dowodzi, a to  
wszystko razem tworzy najwyborniejszy kon-  
cert, jaki kiedykolwiek pieścił ucho artysty. Dru-  
gie, ludowe narzecze polega całkowicie na ru-  
chu członków; niektóre części ciała stanowią  
całe zdania, na przykład wywijanie palcem lub  
ręką, poruszanie ucha, oka, wargi, policzka mo-  
że oznaczać całe zdanie w rozmowie, gdy tym-  
czasem inne i innych członków poruszenia wy-  
rażają pojedynczy tylko wyraz lub rzecz jakąś.  
Do takich należą zmarszczenie czoła, rozma-  
ite drgania mięśni, wykręcanie rąk, tupanie  
nogami, tak że gdy mówią (zwłaszcza zważyw-  
szy to, że chodzą zupełnie nago), zdaje się ci,  
że nie widzisz rozmawiającego człowieka, tylko  
ciało jakieś ustawicznie drżące.

W ten sposób dzień po dniu schodziło mi  
życie. Pewnego razu wszedł do mego więzie-

nia, a raczej klatki, ponieważ tu uchodziłem za zwierzę, jeden z krajowców i objąwszy mnie przednimi łapami, położył bardzo delikatnie na swych plecach i nie wymówiwszy ani jednego słowa, wyniósł mnie na dwór. Wyszliśmy z miasta i wędrowaliśmy cały dzień, zawsze zachowując względem siebie to samo położenie, to jest ja siedząc na nim jak na koniu, a on służąc mi za doskonałego, rączego wierzchowca.

Pod wieczór stanęliśmy na popas w zajezdnym domu. Gubiąc się w przypuszczeniach co do przyszłej mej doli, przypomniał mi się<sup>120</sup> poczciwy słoneczny obywatel, który mi słodził przykre chwile pobytu w więzieniu, i smutno mi się zrobiło, gdym sobie pomyślał, że go już może więcej nie zobaczę.

Przechadzałem się po dworku zatopiony w podobnych dumaniach, gdym spostrzegł zbliżającego się do mnie jakiegoś krajowca, który przednimi łapami wziął mnie za szyję i serdecz-

---

<sup>120</sup>*gubiąc się w przypuszczeniach (...), przypomniał mi się* — błąd logiczny ze wzgl. na niezgodność podmiotów; poprawnie np.: *gubiąc się w przypuszczeniach (...), przypomniałem sobie o kimś itp.* [przypis edytorski]

nie uściskał. Zdziwiony, nie wiedząc, co by to mogło znaczyć, zatopiłem w niego wzrok badawczy, a on przemówił do mnie po francusku:

— Jak to! Nie poznajesz więc starego przyjaciela?

Wówczas poznałem dopiero, że to jest ten sam, na którym tu przyjechałem z miasta, ale zadziwienie moje zwiększyło się jeszcze, gdy go usłyszałem mówiącego nadzwyczaj poprawną francuszczyzną. On zaś dalej ciągnął:

— Obiecywałeś mi, że mnie nigdy nie zapomnisz, że przysługi, jakie ci wyświadczyłem, nigdy z twojej pamięci nie wyjdą, a teraz patrzysz się na mnie, jak gdybyś mnie widział pierwszy raz w życiu!

Ale widząc, że niczego się nie domyślam, rzekł dalej:

— No cóż? Jestem przecie Szatanem Sokratesa, tym samym co to cię nawiedzał i cieszył w więzieniu. Przyjąłem naumyślnie kształty tutejszych ludzi, aby cię uprowadzić stamtąd. Jedziemy obecnie do dworu. Mówiłem o to-

bie z królem, któren<sup>121</sup> polecił mi, abyś się niezwłocznie przed nim stawił.

Wtem dano nam znać, że przygotowany dla nas posiłek jest gotów. Udałem się więc wraz z mym przewodnikiem do pysznie umeblowanej sali, ale nie spostrzegłem w niej żadnych przyborów do jedzenia. Głód dokuczał mi niemiłosiernie. Wtem trzech czy czterech młodych chłopców przystąpiło do mnie i zaczęli mnie przednimi swymi łapami rozbierać aż do naga. Nowy ten obrządek zdziwił mnie do tego stopnia, że nie śmiałem, a raczej zapomniałem się zapytać o jego znaczenie.

— Czy chcesz według przyjętego na Ziemi zwyczaju zacząć od zupy? — zagadnął mnie mój przewodnik.

Odpowiedziałem machinalnie, że dobrze, ale zaledwie to wymówił, gdy poczułem mocny nadzwyczaj zapach wybornych jakichś potraw. Powodowany głodem, instynktownie zerwałem się z miejsca i chciałem szukać źró-

---

<sup>121</sup>*któren* (daw., gw.) — dziś popr.: który. [przypis edytorski]

dła, z którego wychodziły tak doskonale wonie, lecz Szatan mnie powstrzymał, zapytując:

— Gdzie chcesz iść? Pójdziemy później na przechadzkę, teraz zaś jest czas jeść, skończ zupę, a następnie każe podać inne potrawy.

— A gdzież jest do czarta ta zupa? — odpowiedziałem z gniewem. — Czyś się uwziął drwić sobie dziś ze mnie bez przestanku?

— Sądziłem — odrzekł mi spokojnie — że będąc w mieście, widziałeś swego dozorcę lub kogo bądź wreszcie z krajowców spożywającego obiad. Dlatego nie uprzedziłem cię o sposobie, w jaki się te rzeczy odbywają na Księżycu. Ale skoro widzę, że nic jeszcze nie wiesz w tym względzie, muszę ci więc powiedzieć, że ludzie tu żyją jedynie wonią, jaką wydają potrawy. Sztuka kucharska polega tu na skupieniu, w umyślnie na ten cel przygotowanych naczyń, wydobywających się z mięsa i jarzyn gazów. Skoro już dostateczna ich ilość zostanie nagromadzona w naczynia, stosownie do smaku i apetytu spożywających, wówczas odkrywają takową, właśnie tak jak to ma miejsce



w tej chwili. Rozumiem dobrze, iż tobie, nieprzyzwyczajonemu do podobnego sposobu postępowania, musi się to wydawać dziwne, aby nos bez pomocy zębów i gardła mógł pełnić obowiązek ust, ale że tak jest istotnie, przekonasz się o tym z własnego doświadczenia.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy poczułem mnóstwo innych wybornych zapachów, nie wiedzieć skąd się wydobywających, a które napęłniły całą salę. Wąchałem je z całej siły, wydymałem jak mogłem płuca, aby jak najwięcej tego pożywnego gazu choć tą drogą wpłynęło do mego próżnego żołądka, i rzeczywiście po pewnym czasie uczułem się mniej czczy.

— Nie powinno cię to dziwić — wtrącił znów Szatan — musiałeś przecie zauważyć, że i u was kucharze, kucharki, pasztetniki, w ogóle osoby krzątające się koło jadła, lubo jedzą daleko mniej od wszystkich innych, a są mimo to nadzwyczaj tłuści. Cóż by mogło być tego przyczyną, jeśli nie gazy wydobywające się bez ustanku z przygotowanych przez nich potraw, które wsiąkają w ich organizm? Nadto trzeba ci

wiedzieć, że podobny sposób żywienia się jest nierównie zdrowszy aniżeli ten, który istnieje u was. Pokarm, w ten sposób dostawszy się do naszego ciała, nie wyrabia w nim żadnych nieczystości, które są po większej części źródłem wszystkich chorób. Uważałem, żeś równie niezmiernie się zdziwił, gdy cię rozebrano do stołu. Bardzo naturalnie, odzienie bowiem utrudnia wsiąkanie pożywnych gazów w ciało i dlatego usuwają je tu jako przeszkodę.

— Wiesz pan co jednak — wtrąciłem — zanim się zupełnie przyzwyczaję do tego nowego sposobu pożywania pokarmów, czuję silnie się jeszcze odzywające we mnie resztki zwyczajów ziemskiego życia, i dlatego nieskończenie byłbym ci wdzięczny, gdybym mógł poczuć w tej chwili pod żarłocznym mym zębem kawał jakiegokolwiek mięsa, choćby najtwardszego.

Obiecał zadosyć uczynić mym zwierzęcym, jak mówił, zachceniom, ale już nie dziś, tylko jutro; lękał się bowiem, abym nie dostał niestrawności.

Gawędziliśmy jeszcze potem długo o tym i o owym, gdy dano nam znać, że posłania już nasze gotowe i czas jest kłaść się spać.

Po wygodnych schodach dostaliśmy się na wyższe piętro, przeznaczone na sypialnie. Ciż sami chłopcy, którzy nam usługiwali przy obiedzie, zaprowadzili mnie do pysznego pokoju, uślanego najwonnejszymi i najżywszych barw kwiatami, aż do wysokości trzech stóp. Dla pana Szatana znajdował się obok również wykwintnie urządzone pokój. Dowiedziałem się, że tu nie znają innych łóżek. Położyłem się więc na tym pachnącym posłaniu, a usługne chłopczyki natychmiast poczęli mnie leciuchno łechtać pod podeszwy, po bokach, rękach, nogach, tak że w kilka chwil słodko nadzwyczaj usnąłem.

Nazajutrz, wraz z pierwszymi promieniami wschodzącego słońca, wszedł Szatan do mego pokoju.

— Wstawaj — rzekł — chcę ci dotrzymać słowa; zjesz dziś śniadanie po swojemu.

Podniosłem się z posłania, ubrałem się i poszliśmy obydwaj do pobliskiego gaiku. Zastali-

śmy tam czekających już na nas zawsze tych samych chłopaczków. Jeden z nich trzymał w przednich łapkach broń jakąś, jak mi się zdawało palną, dość podobną do naszej strzelby. Na rozkaz Szatana, chłopczyk wystrzelił, a ja zdumiony ujrzałem u mych nóg kilkanaście ślicznie upieczonych skowronków.

— Jedz — rzekł mi mój towarzysz — może nie lubisz skowronków; oni dlatego wybrali ten rodzaj ptaków, że zwykle karmią nimi tu mały, a są w tym przekonaniu, że ty należysz do gatunku tych figlarnych zwierząt.

Nie odpowiedziałem nic tą razą, zajadając z niesłychanym apetytem smaczną pieczonkę; przyszło mi tylko na myśl przysłowie, że jest kraj, w którym: „pieczone gołąbki, same wlatują do gąbki”, i domyśliłem się zaraz, że to w tym przysłowiu musi być mowa o Księżycu.

— Dziwi cię i to zapewne — zagadnął mnie Szatan — że ten chłopak, wystrzeliwszy, zabił już upieczone skowronki? Wiedz, że tutejszy proch ma własność nie tylko zabijania zwierzy-

ny, ale zarazem oskubania jej, wypatroszenia i upieczenia jak na rożnie.

Po tym śniadaniu puściliśmy się w dalszą drogę.

Znają tu jeszcze inny sposób zaspakajania należytości za jedzenie i mieszkanie. Jest to wksel na pewną ilość wierszy, wypłacalny na tamtym świecie.

Wszystkie te nauczające dla mnie rozmowy nie przeszkadzały nam odbywać naszej drogi z nadzwyczajnym pośpiechem.

Przybyliśmy nareszcie do królewskiej stolicy. Zaprowadzono nas prosto do zamku, gdzie cały dwór przypatrywał mi się z wielkim zajęciem, ale z większym zarazem umiarkowaniem aniżeli tłum prowincjonalnego miasta. Skoro sam król mi się przyjrzał, rozkazał, aby kogoś przyprowadzono. Za chwilę wbiegło do sali mnóstwo małąp różnego gatunku, ubranych w frezy i spodnie, a między nimi duży jakiś człowiek, zupełnie tak jak ja zbudowany, na dwóch nogach, ale z gęstym lasem włosów i ogromnymi wąsami.

Ujrzawszy mnie, natychmiast krzyknął:  
— *Criado de vouestra merced.*

Ja mu odpowiedziałem w podobny sposób po hiszpańsku. Ale zaledwie nas posłyszano rozmawiających, gdy wszyscy obecni poczęli kłaskać w przednie łapki, wołając: muszą być z tego samego rodzaju, jak się cieszą, jak radośnie mruczą do siebie, i natychmiast król polecił, aby nas razem zamknęli w nadziei, że się będziemy mnożyć.

Hiszpan opowiedział mi swoją historię, że za pomocą wielkiej bardzo ilości ptasich skrzydełek, dostał się na Księżyc i strasznie się tym oburzał, że go tu wzięto za małpę.

— Jak to — mówił — nasz naród, który jest tak potężny, który we wszystkich częściach świata ma swoje osady, na którego usługi Pan Bóg kulę ziemską stworzył, ma tak zostać poniżony w mojej osobie? Moja kastylijska duma nie ścierpi tego: wojnę wypowiem Księżycowi!

Bądź co bądź, cieszyłem się choć z tego, że miałem towarzysza z Ziemi, który zrozumiałym dla mnie przemawiał językiem. Jedno nam

tylko było nie na rękę, to to, że sądząc, że jesteśmy samiec i samica, chciano koniecznie, żebyśmy się rozmnażali.

Jednego dnia mój samiec, albowiem sądzono, że jestem samicą, powiedział mi, że do przebieżenia całej Ziemi i zupełnego na koniec opuszczenia jej, spowodowało go to, że nie znalazł ani jednego kraju, w którym by choć wyobrażenia była swobodna.

— Uważasz — rzekł on — choćbyś coś najśluszniejszego utrzymywał, jeśli nie nosisz beretu doktorskiego, jesteś idiotą, szalonym, a nawet czymś jeszcze gorszym. W czasie pobytu mego w moim kraju, chciano mnie oddać pod sąd św. inkwizycji za to, że się ośmieliłem wobec pedantów utrzymywać, że istnieje próżnia, i ponieważ nie chciałem się zgodzić na to, aby jedno ciało miało mieć większą ciężkość gatunkową od drugiego.

Zapytałem go, jakie ma dowody na poparcie tak mało upowszechnionego zdania.

— Dla dowiedzenia tego — rzekł — potrzeba koniecznie przypuścić, że jeden tylko jest

żywioł. Powietrze bowiem jest wodą, tylko bardzo rozrzedzoną, woda jest to ziemia rozpuszczająca się, ziemia zaś sama jest wodą bardzo skupioną. Tak więc, jeśli zgłębisz dokładnie własności ciał, poznasz, że jest jedno tylko ciało, które jak doskonały aktor odgrywa na tym ziemskim padole rozmaite role, przebierając się w różnorodne suknie; inaczej trzeba by przypuścić bytność tylu żywiołów, ile jest ciał. Zapytasz może, dlaczego ogień parzy, a woda chłodzi, choć są jednym i tym samym ciałem? Odpowiem ci na to, że ciała te działają stosownie do usposobienia, w jakim się znajdują. Ogień, który jest tylko wodą, jeszcze bardziej rozrzedzoną, aniżeli potrzeba, by z niej utworzyło się powietrze, chce przemienić w siebie wszystko, z czym się tylko zetknie. Tak więc żar węgla, będąc ogniem najsubtelniejszym i mogącym najlepiej przeniknąć ciała, wciska się w pory naszego organizmu i sprawia to, że się pocimy. Pot ten rozszerzony przez ogień, przemienia się w dym i staje się powietrzem; powietrze jeszcze bardziej rozpuszczone żarem oddziały-



wania nazywa się ogniem. Woda znów różniąca się od ognia tym, że cząstki jej są bardziej skupione, nie parzy nas z tego powodu, że będąc bardziej skupiona, przez sympatię stara się bardziej skupić ciała, jakie spotyka, i zimno, jakie czujemy, jest skutkiem, że ciało nasze bardziej się skupia, będąc w bliskości ziemi lub wody, które chcą zrobić je podobnym sobie.

Stąd to wynika, że człowiek mający wodną puchlinę przerabia na wodę wszelki pokarm, jaki przyjmuje; stąd także żółciowy przerabia na żółć krew, jaką wydaje w nim wątroba. Przypuść więc, że jeden tylko jest żywioł, wszystkie ciała będą miały jednakową ciężkość gatunkową. Zrobisz mi może zarzut, że żelazo, metale, ziemia, drzewo bardziej są przyciągane do środka Ziemi aniżeli gąbka z tego powodu, że ta ostatnia napełniona jest powietrzem, które jej utrudnia spadanie do Ziemi. Nie stąd to jednak pochodzi, bo chociaż kamień pada na Ziemię z większą szybkością jak piórko, oboje mają jednakową ciężkość gatunkową.

I mówił bez końca mój Hiszpan. A umysł jego tak był poważno-naukowy, że nigdy nie zniżył się do jakiegoś zwykłego, życiowego przedmiotu. Broń Boże! Zawsze bujał w sferach czysto naukowych.

Gdym się nie chciał zgodzić na jego dowodzenia (a trafiało się to często), wówczas wykrzykiwał z wielkim współczuciem nade mną:

— Jakże żałuję, że tak wzniosły umysł jak pański nie jest w stanie wybić się spod wpływu tych odwiecznych przesądów, które nie pozwalają wiedzy zajaśnieć w całym jej świetle. Chciejże wierzyć, a raczej przekonać się, że wbrew temu, co twierdzi Arystoteles i czemu poklaskuje w tej chwili cała Francja, wszystko zawiera się we wszystkim; i tak w wodzie jest ogień, a w ogniu jest woda, a w wodzie powietrze, a w powietrzu ziemia, łatwiej to jest dowieść, aniżeli przekonać się o tym; słuchaj więc!

I znów dowodzenia bez końca. W każdym razie uczone te rozprawy mogły mieć miejsce tylko w nocy, w dzień bowiem wciąż nas odwiedzano, a towarzysz mój utrzymywał, że gdy

mówi, a ktoś mu przerywa, traci natychmiast związek myśli i nie może iść dalej.

Mnóstwo osób przychodziło do naszej klatki; jedni cmokali na nas, drudzy rzucali nam ciasta, orzechy lub zioła. Karmiono nas przy tym bardzo starannie i nader czysto utrzymywano. Sam nawet król z królową zaglądali do nas i najjaśniejsza pani, idąc za natchnieniem swej kobiecej ciekawości, oglądała mnie bardzo niedyskretnie.

W czasie tych ustawicznych odwiedzin zdołałem nareszcie tyle skorzystać z krajowego języka, że pewnego razu zrozumiał, co król mówił w mej obecności do swej małżonki, i wtrąciłem nawet kilka wyrazów do rozmowy, rozumie się, kalecząc Nielitościwie ich muzykalną mowę.

Król zauważywszy to, zmienił nagle dotychczasowe o mnie zdanie i zaczął mniemać, iż muszę być dzikim człowiekiem. Wnet rozeszło się po całym Księżycu, że owe dwie szczególniejsze sztuki małych na dwóch nogach zwierzątek nie należą bynajmniej do żadnego ro-

dzaju tych ostatnich, lecz że to są dzicy ludzie, skarłowacieli zapewne przez niewygody odosobnionego w dzikości życia, i którzy z przyczyny widać organicznej słabości swych przodków tak nieszczęśliwie są upośledzeni od przyrody, że nijak nie mogą się utrzymać na przednich nogach, lecz cały ciężar swego jakkolwiek małego ciała, zmuszeni są opierać na tylnych. Zdanie to, wyszedłszy od króla i będąc bez przestanku powtarzanym przez masy, byłoby niewątpliwie uzyskało obywatelstwo, gdyby nie uczeni, którzy mu się silnie oparli.

— Jak to — mówili oni — nazywać ludźmi zwierzęta, gdzie tam, gorzej daleko, bo potwory! Jest to bezbożnością, szaleństwem!

— Słuszniej by już daleko było — dodawali mniej zapalczywi — przypuścić do przywileju ludzkości, a zatem i nieśmiertelności domowe nasze zwierzęta. One przynajmniej urodziły się i wzrosły na naszej ziemi, pośród nas, ale te potwory jakieś, które powiadają, że przybyły tu z jakiejś planety, pełniącej dla nas obowiązki Księżyca; a zresztą zważcież wszystkie

cechy wyróżniające ich od nas: my chodzimy na czterech nogach, bo Pan Bóg, stwarzając nas, nie chciał, abyśmy byli narażeni co chwila na upadnięcie, nie troszcząc się zaś o los tak nędznych istot jak te, upośledził ich gorzej aniżeli wszystkie zwierzęta, opierając ich ciało na dwóch tylko podstawach. Oni są nawet gorzej daleko uposażone od przyrody aniżeli ptaki, te bowiem mają przynajmniej w zamian dwóch tylko nóg skrzydła, którymi się ratują w razie jeżeli kto na nich napada. Gdy tymczasem te nieszczęśliwe stworzenia są zupełnie pozbawione środków ucieczki w razie gwałtownej potrzeby. A cała ich postać do czego podobna? Ta twarz wzniesiona do góry, zdająca się ciągnąć zanosić do nieba skargę za to, że ją utworzyło. My mamy głowę spuszczoną na dół, bo nam nic nie brakuje na ziemi do naszego szczęścia. Nie potrzebujemy ją wznosić do góry, bo się nam już nic stamtąd nie należy.

Codziennie słyszałem podobne rozmowy, prowadzone u kratek mej klatki. Jedno im tylko było nie na rękę; lud, który mnie również

nawiedzał, słyszał mnie nieraz przemawiającego dość poprawnie miejscowym językiem, nie mogło mu się więc pomieścić w głowie, abym mógł być małpą. Wówczas uczeni, po długich naradach, zgodzili się uznać mnie za papugę pozbawioną piór, wychodząc z tej zasady, że podobnie jak każdy ptak mam tylko dwie nogi. I rzeczywiście przez umyślny rozkaz rady wyższej zostałem zaszczycony nową tą godnością i natychmiast osadzono mnie w ptasiej klatce.

Tłumy mnie odwiedzających jeszcze się bardziej zwiększyły. W całym mieście byłem przedmiotem ciągłej rozmowy i najrozmaitszych przypuszczeń. Wszyscy nie mogli dość się nachwalić mej zmyślności, a nawet, jak mówili niektórzy, rozsądku. Władze znów zostały zmuszone wydać nową do ludu odezwę, w której znajdował się wyraźny zakaz przypisywania wszystkim mych dowcipów rozsądkowi. Zdanie jednak o mnie powzięte przez ogół oddziało i na niektóre wyższe klasy. Powstało stąd rozdwojenie w całym państwie, utworzyły się dwa nieprzyjazne sobie stronnictwa, jedno utrzymują-

ce, że muszę być człowiekiem, drugie najzawzięciej przeczące temu.

Dla pogodzenia zwaśnionych tym sporem umysłów uradzono, że trzeba otworzyć komitet znawców i naturalistów i wziąć mnie jeszcze raz pod bardzo ścisły egzamen<sup>122</sup>.

Komitet ten jednak niewiele mi pomógł, bo po tysiącznych głębokich filozoficznych rozprawach, jakie prowadzili ze mną światli jego członkowie, zostałem awansowany tylko na strusia z tej przyczyny, że nie miał skrzydeł, i nazad odprowadzony do klatki.

Bądź co bądź, skorzystałem na tym wiele z tego względu, że wprawiłem się jeszcze lepiej w ich język, tak że mogłem nim płynnie mówić o wszystkim.

Między osobami, które mnie najczęściej odwiedzały, znajdowała się młodziuchna jedna panienczka z przybocznej służby królowej.

Miałem u niej wielkie łaski. Z początku przynosiła mi orzechy i ciastka, ale później, widząc mnie tak rozsądnie jej zawsze dziękujące-

---

<sup>122</sup>*egzamen* (daw.) — egzamin. [przypis edytorski]

go za odebrane dary, przestała wierzyć, wbrew zdaniom uczonych, żebym miał być papugą, a następnie strusiem i nabrała ochoty do bliższej rozmowy ze mną.

Słuchała z nadzwyczajnym zajęciem, gdym jej opowiadał o naszej Ziemi, o naszych zwyczajach i obyczajach. Na koniec do tego stopnia podobał się jej nasz świat z moich opowiadań, że mnie zaklęła na wszystko, abym ją zabrał ze sobą, jeśli kiedykolwiek będę miał sposobność wyjechać z Księżyca.

Ale i ona ze swej strony opowiedziała mi mnóstwo bardzo zajmujących rzeczy. Przesiadwała bowiem u mej kratki po kilka godzin dziennie, w końcu byłaby się nawet zgodziła całkowicie dzielić ze mną los choćby w klatce, gdyby ją nie wstrzymywały żelazne szpychy i zamki, którymi zamykano mą siedzibę.

Tymczasem spory, których wiecznym byłem przedmiotem, znów się z nowym podniosły zarem. Znów zwołano komitet uczonych i stawiono mnie przed nim. Jeden z najstarszych i najuczeńszych profesorów zadał mi kil-



ka pytań z dziedziny nauk naturalnych i zdaje się, że był dość zadowolony z mych odpowiedzi. Następnie wyłożył mi swoje myśli i przekonania o budowie świata, które również w moim umyśle znalazły przyjazne odbicie, byłbym się nawet całkowicie zgodził na jego dowodzenia, gdyby nie to, że przy końcu zaczął twierdzić, iż świat jest wieczny. Usłyszawszy więc coś tak przeciwnego zasadom mej wiary, oburzyłem się niezmiernie; i nie zważając na skutki, jakie by stąd wyniknąć mogły, krzyknąłem z całej siły:

— Teraz przekonuję się, że wasz świat nie jest niczym innym jak tylko Księżycem, skoro podobne na nim istnieją wyobrażenia.

— Jakże możesz utrzymywać coś podobnego — odrzekli mi — widzisz tu przecie rzeki, jeziora, góry, widzisz nareszcie ludzi, czyż cię to aż nadto nie powinno przekonywać, że nasza planeta jest światem, a przeciwnie ta, z której ty się mienisz być rodem, księżycem tylko? — utrzymywali Selenici.

— Co mi do tego — odparłem, zapominając się już — Arystoteles twierdzi, że to Księżyc, i ja ślepo tym razem chcę się trzymać jego zdania.

Głośne śmiechy wybuchły w całej sali, ale gdy owo pierwsze śmieszne przeminęło wrażenie, zewsząd dały się słyszeć głosy, że jestem bezbożnikiem, bluźniercą i że zasłużyłem na utopienie. (Jest to jedyny rodzaj kary śmierci znany na Księżycu).

Zostałem odprowadzony do klatki, a tymczasem wyprawiono deputację do króla z prośbą, aby podpisał wyrok mej śmierci. Król pozwolił na ten wymiar sprawiedliwości, ale zastrzegł, abym przed wykonaniem wyroku stawiony był przed całym zgromadzeniem; żeby mi dano głos i pozwolono raz jeszcze publicznie się bronić. Zostałem więc po raz trzeci wyprowadzony z mej klatki. Stałem przed surowym zgromadzeniem sędziów i nie mając nic do powiedzenia na swą obronę, przygotowywałem się do śmierci, gdy wtem jakiś człowiek

wszedł na trybunę i przemówił w mojej sprawie:

— Sprawiedliwi! Możecież wydawać wyrok śmierci na tego człowieka, czy tam małpę lub wreszcie papugę, za to, że utrzymuje, iż Księżyc jest światem, z którego on tu przybył? Przypuszczacie jednak w końcu, że on jest rzeczywiście człowiekiem, skoro zbieracie się dla sądenia go, bo zwierzęta nie podlegają naszej sprawiedliwości w prawne ujętej formy. Ona dla ludzi tylko istnieje. Przyjmując zaś to za zasadę, jesteście sami z sobą w sprzeczności, obchodząc się z nim tak surowo. Bo przecież prawa wasze głoszą wolność nieograniczoną człowieka, nie zabraniają one nikomu myśleć i wyobrazić sobie, co tylko stanowi przedmiot myśli lub wyobraźni. Za cóż to wyjątkowe, niezdarzające się nigdy u nas zgwałcenie odwiecznych zasad naszej sprawiedliwości względem tego nieszczęśliwego?...

I długo w ten sposób mówił mój obrońca, a całe zgromadzenie uczonych prawników i filozofów, i król sam między nimi, słuchało

go w milczeniu. Kiedy skończył, król pierwszy wstał z miejsca i oświadczył publiczności, że odtąd mam używać wszelkich praw człowieka i być niezwłocznie wypuszczony na wolność. Osądzono tylko za słuszne, abym przedtem jeszcze odwołał publicznie z zachowaniem przepisane w tej mierze obrządku wyrzeczone zdanie o ich planecie, a to z tego względu, że lud mniej oświecony mógłby się tym zgorszyć, mógłby wpaść w niewiarę, a stąd dla państwa mogłyby bardzo złe wyrodzić się skutki.

Przystąpiono więc niezwłocznie do obrządku odwoływania. Wsadzono mnie w tym celu przybranego w świetny nadzwyczaj strój na ogromny wóz tryumfalny i zaprzężono do niego czterech najpierwszych dygnitarzy państwa. W ten sposób obwożono mnie po całym mieście, zatrzymując się na placach i rogach ulic. Wówczas musiałem wstawać z siedzenia i wołać na cały głos:

— Narodzie! Objawiam ci publicznie i uroczyście, że Księżyc, na którym mieszkacie nie jest bynajmniej Księżycem, lecz światem. Świat

zaś, z którego jestem rodem, nie jest światem, ale Księżycem.

Powtórzyło się to na pięciu znaczniejszych rynkach miasta, po czym spostrzegłem mego obrońcę, wyciągającego do mnie rękę, aby mi pomóc zsiąść z mego tryumfalnego wozu.

Proszę sobie wystawić moje zadziwienie, gdym poznał w nim mego przyjaciela, owego słonecznego obywatela, Szatana Sokratesa. Rzuciłem się w jego objęcia i całowałem go przez całą godzinę.

Zabrał mnie później ze sobą i już nie rozłączaliśmy się przez cały ciąg pobytu mego na Księżycu. Pokazywał on mi mnóstwo ciekawych rzeczy, zapoznał mnie ze wszystkimi naukowymi znakomitościami, które zwalczywszy w sobie ów nieszczęśliwy dla mnie przesąd co do mej nieludzkiej natury, bardzo odtąd były ze mną grzeczne i uważnie zawsze słuchały mych dowodzeń.

Za wiele by nam to zabrało czasu, gdybym się chciał wdawać we wszystkie szczegóły tego, com widział i słyszał. Na każdym kroku ude-

rzała wzrok mój jakaś nowość i nic dziwnego; przysłowie mówi: „co kraj to obyczaj”, a możnaż porównać różnicę, jaka zachodzi pomiędzy jednym a drugim krajem, z różnicą istniejącą między dwiema tak odległymi od siebie planetami? Znalazłem tu wszystko inne od „a” do „z”, anizeli na naszej Ziemi. Odkąd przestało mnie uważać za małą, nie mogę się użalać, było mi bardzo wygodnie żyć tutaj. Miałem przy tym tak rozsądnego, tak doświadczonego przyjaciela i doradcę z tego pocziwego Szatana! Z nim też najczęściej spędzałem wieczory, bawiąc się zawsze poważną jakąś rozmową. Czytaliśmy razem bardzo pożyteczną książkę pod tytułem: *Historia państw na Słońcu* i drugą: *Historia iskier*. Darował mi nawet oba te dzieła z obowiązkiem, abym je, przetłumaczywszy, wydał na Ziemi, jeżeli kiedy wrócę na nią. Mówię: przetłumaczywszy, należało by raczej powiedzieć: przerobiwszy, bo to nie była książka jak każda insza; muszę ją opisać, bo warto. Najprzód oprawa jej była tak bogata, że na Ziemi o podobnej nawet wyobrażenia nie

mają. Jedną jej okładkę stanowił olbrzymi diament, drugą zaś prześliczna perła. Ale mniejsza o to, najwięcej mnie zdziwiło, że w tej książce nie było wcale kartek; natomiast znajdowały się w niej sprężynki, strasznie pokomplikowane i mikroskopowych rozmiarów. Na zewnątrz okładek wychodził maleńki sztyfcik, za naciśnięciem którego książka opowiadała dźwięcznym głosem wszystko, co się w niej zawierało, zupełnie jakby usta żyjącego człowieka.

Po kilku latach pobytu na tym pocziwym planecie, na którym tyle rozmaitych z kolei ról odgrywałem, na którym byłem potworem, małpą, dzikim człowiekiem, papugą, strusiem, a na koniec wielce od wszystkich uczonych poważanym człowiekiem, po kilku, mówię, latach na nim pobytu, obudziła się jakoś we mnie uśpio-  
na miłość rodzinnego kraju i zachciało mi się doń powrócić. Niepodobieństwo jednak przeprowadzenia do skutku tych życzeń, sprawiło, że bardzo posmutniałem. Rzadziej się śmiałem, straciłem apetyt, tak że aż mój Szatan to zauważył.

— Powiedz mi — rzekł pewnego razu — skąd pochodzi twój smutek? Zdajesz mi się być czegoś niespokojny, pragnący; powiedz, zwierz mi się, zasłużyłem przecie, o ile mi się zdaje, na twe zaufanie.

Wyjawiłem mu więc otwarcie, że przyczyną mego smutku jest tęsknota.

— Jak to, chcesz powrócić na Ziemię?

— A tak — odrzekłem.

— A czegoż się smucisz?

— Tego, że nie widzę sposobu dostania się na nią.

— Czemużeś mi tego nie powiedział wcześniej? Niepotrzebnieś się martwił tyle czasu, w każdej chwili mogę cię zdrowo i szczęśliwie dostawić na wasz świat.

Niezmiernie się ucieszyłem, gdy mi to powiedział, i natychmiast począłem myśleć o przygotowaniach do podróży.

— Przede wszystkim — powiedział mi Szatan — winieneś podać prośbę o paszport do króla, a nawet warto by pojechać osobiście po-



dziękować mu za wszystkie względy, jakie miał dla ciebie.

— Niech i tak będzie — odrzekłem i zabrałem się do króla.

Niezmiernie grzecznie mnie przyjął ten znaczny monarcha, żałował, że tak rozumny i uczony człowiek jak ja opuszcza jego państwo. W końcu zaś życzył mi szczęśliwej drogi i podpisał mi paszport z jednym wszelako warunkiem, że-  
bym, przybywszy na Ziemię, opisał moim współziomkom z wszelką sumiennością wszystko, com widział na Księżycu, aby go już nadal nie uważali za nocną tylko latarkę, lecz za świat zaludniony.

Kiedym powrócił do domu, zastałem Szatana gotowego już do drogi.

Zapytał się mnie tylko:

— Gdzie chcesz wysiąść na Ziemi?

— Bogaci mieszkańcy Paryża zwykle choć raz w życiu bywają w Rzymie, jeśli ci to więc nie zrobi różnicy, wysadź mnie w Rzymie. Ale, powiedz mi, jakiego rodzaju będzie ta maszyna, w której mamy odbyć tak długą drogę?

— Maszyna będzie ta sama, na którejjechałeś pierwszy raz z miasta, gdzie to cię więzili w ratuszu.

— Jak to? — rzekłem zdziwiony. — Czyż powietrze pod twymi nogami zgęści się do tego stopnia, że będziesz mógł po nim równie bezpiecznie stąpać jak po Ziemi? Nie sądzę, aby to miało miejsce.

— Ach, jakie to wszystko zabawne, ta wasza wiara i niewiara. Powiedziałem ci już przecie, iż słabe rozwinięcie waszych zmysłów nie dozwala wam widzieć i rozumieć mnóstwa najprostszych rzeczy. Próżno bym więc czas tylko tracił, chcąc ci wytłumaczyć, w jaki sposób dostaniemy się na Ziemię. A zresztą może byś mi w końcu nie uwierzył. Powiedzże mi, jak to czarownicy na waszym świecie chodzą wybornie po powietrzu i prowadzą nawet za sobą całe zastępy wojska? Jakimże sposobem sprowadzają oni na wasze niwy grad, deszcz, śnieg i tym podobne klęski? Zaufaj mi tylko, a ręczę ci, że źle na tym nie wyjdiesz.

— Rzeczywiście — odrzekłem — dałeś mi tyle dowodów swego rozumu i życzliwości ku mnie, że zasługujesz na ślepą z mej strony wiarę.

Zaledwie dokończyłem tych wyrazów, zerwaliśmy się w powietrze jakby nadprzyrodzoną jakąś popychani siłą.

— Usiądź mi na karku — rzekł, trzymając mnie w swych rękach — tak i mnie, i tobie zbyt byłoby niewygodnie.

Uśluchałem. W przeciągu trzydziestu sześciu godzin przebyliśmy całą przestrzeń dzielącą Ziemię od Księżyca. W pierwszej ćwiercy drugiego dnia podróży spostrzegłem, jakkolwiek bardzo niewyraźnie, zarysy starego naszego lądu, to jest Europę, Azję i Afrykę, które bez przesady wydały mi się tak małe, jak je przedstawiają na średniej wielkości mapkach. Odtąd to przestałem wierzyć tym kłamcom, którzy twierdzą, iż młyński kamień rzucony z Księżyca spadałby na Ziemię trzysta sześćdziesiąt lat, skoro ja i mój towarzysz, lżejsi przecież od niego, spadaliśmy tylko półtora dnia.

Brzegi Europy coraz już jaśniej rysowały się przed mym wzrokiem, zdawało mi się nawet, że mogę już rozróżniać drobniejsze wklęsnięcia i wystające cząstki brzegów włoskiego półwyspu; wreszcie i powierzchnia już Ziemi uwydatniła mi się; jaskrawymi kropkami świeciły na niej miasta, czerwieniały lasy i niższe góry, a wyższe, pokryte śniegiem, wysuwały białe swe czoła do góry... gdy wtem duszący jakiś siarkowy wyziew owionął mnie i zemdlałem.

Domyśliłem się później, że musieliśmy właśnie w tej chwili przelatywać nad Wezuwiuszem.

Gdym się ocknął, ujrzałem się na przecudnej pochyłości wzgórze, a wokoło mnie stało kilku pasterzy mówiących do siebie po włosku. Nie wiedziałem, co się stało z Szatanem; spytałem więc pasterzy, czy go czasem nie widzieli. Poczciwe chłopcy, usłyszawszy to, przeżegnali się i z niedowierzaniem zaczęli mi się przypatrywać, jak gdybym sam był złym duchem. Widząc to, przeżegnałem się natychmiast, żeby ich przekonać, iż jestem chrześcijaninem i pro-

siłem ich, aby mnie zaprowadzili do jakiej chałupy, w której bym mógł wypocząć po tak dalekiej i męczącej podróży. Uczynili zadość zani ludzie memu żądaniu i zanieśli mnie do wsi. Zaledwie mnie jednak wprowadzili na podwórko, gdy wszystkie psy, począwszy od wyżełków aż do brytanów tak zażarcie zaczęły na mnie szczekać i ujadać, że gdyby nie to, że ludzi było dużo naokoło mnie, pewnie by mnie rozszarpały w kawałki. Gościnnie gospodarz chałupy, do której przyniesiony zostałem, zamknął mnie w oddzielnej komorze, gdzie na wybornie, *po ziemsku* przygotowanym pośłaniu, nadzwyczaj smacznie zasnąłem. Psy jednak całą noc pod moimi drzwiami czekały, co zauważywszy, gospodarz zaczął się już na mnie krzywo cokolwiek patrzeć. Widać, że mnie podejrzewał o tajemne związki ze złymi duchami. Nazajutrz jednak domyśliłem się przyczyny tego szczekania, a tą był świat, z którego powróciłem. Wiadomo, jak silny jest wpływ pełni Księżyca tak na psy, jako też i na inne istoty; wpływ ten poznać można po wewnętrznej

niespokojności zwierząt, objawiającej się przez silne i nieustanne szczekanie. Kilkuletni mój pobyt na tym planecie napoił mnie zupełnie różną od ziemskiej, właściwą tylko Księżycowi atmosferą, tak jak marynarze przez długoletnie podróże nabierają zapachu wody morskiej. Psy więc, poczuwszy woń Księżyca, uległy zwykle na jego widok doznawanemu niepokojowi. Dla pozbawienia się więc tego zapachu leżałem rozciągnięty przez trzy lub cztery godziny na tarasie, wystawiony na działanie słońca. Po czym psy, nie doznając więcej wpływu, przez który nie mogły mnie ścierpieć, przestały szczekać i powróciły każdy do swej budy.

Nazajutrz udałem się w drogę do Rzymu, gdzie mi pokazywano szczątki tryumfów kilku wielkich ludzi, jak również i całych wieków; podziwiałem piękne rozwaliny i jeszcze piękniejsze poprawki, porobione w nich przez nowożytnych. Na koniec po piętnastodniowym tam pobycie, w towarzystwie pana Cyrano, mego kuzyna, który zaopatrzył mnie w to, bez czego nie byłbym w stanie powrócić do mego

rodzinnego kraju, to jest w pieniądze, udałem się do Civita Vecchia i wsiadłem na statek, który mnie miał odwieźć do Marsylii.

W czasie całej drogi myślałem tylko o dziwnych wypadkach podróży, którą odbyłem. Zacząłem nawet zaraz pisać pamiętniki, a kiedym powrócił, uporządkowałem je, o ile tylko słabość, która mnie ciągle w łóżku zatrzymywała, pozwoliła na to. Przewidując jednak, jaki będzie koniec mych prac i badań, dla dotrzymania słowa danego radzie państwa księżycowego, prosiłem pana Bret, mego niezmiennego i najdroższego przyjaciela, ażeby je wydał na świat razem z *Historią rzeczypospolitej słonecznej* i z *Historią iskier*, i innymi podobnego rodzaju utworami.

Usłyszawszy od tego młodzieńca tak sumienne sprawozdanie o wszystkim, co jest najciekawszego na Księżycu, czułem mą ciekawość prawie już zaspokojoną, a zważywszy wszystkie niezbyt zazdrości godne koleje, jakie tenże przechodził w pierwszych latach swego pobytu na tym planecie, jeszcze mniej miałem ochoty

własnym sprawdzać doświadczeniem to, co mi opowiedziane zostało.

Przeszła mi więc myśl po głowie powrotu na Ziemię i zostając jeszcze pod wpływem poetycznego opowiadania tego uroczonego młodziana, zacząłem naprawdę marzyć o tym, jak wesoło będę z moimi towarzyszami spędzał czas na opowiadaniu tak dziwnych a tak ciekawych rzeczy, które się dzieją na Księżycu.

— O czym się tak zamyśliłeś? — zagadnął mnie.

To zapytanie przerwało nić moich marzeń i zwróciło mnie do rzeczywistości.

— Zamyśliłem się — odrzekłem — o mojej Ziemi, o kraju moim rodzinnym, o wesołej chwili powrotu... ale to były marzenia tylko, bo jakże się tam dostać? Chyba że mnie zapoznasz z tym pocziwym Szatanem.

— Nie zapoznam cię z nim, gdyż sam nie wiem, gdzie się obecnie znajduje, ale pociesz się, posiadam te same co on własności przenoszenia się z planety na planetę. Wprawdzie nie miałeś jeszcze czasu stęsknić się do domu; ale



jeżeli tak jest, nie wchodząc więc w przyczyny, skutki itp. rzeczy, jestem na twoje usługi. Możemy natychmiast zjechać na Ziemię, a jeżeli weźmie cię jeszcze chęćka tego oryginalnego podróżowania, wówczas zgłoś się do mnie, a dalsze jeszcze przedsięwzięmiemy wycieczki, na Słońce na przykład lub na odleglejszą jeszcze jaką planetę.

Gdy słów tych domawiał, poczułem jakby lekkie usypiające kołysanie, zmrużyłem oczy i usnąłem. Sen mój był dziwnie przyjemny. Nie byłbym w stanie opowiedzieć wszystkich cudów, które w nim widziałem, ale i przebudzenie nie było mniej urocze. Nastąpiło ono na Ziemi, w okolicach Paryża, w tym samym miejscu, z którego po raz pierwszy wybrałem się w nadpowietrzną wędrówkę przy pomocy baniek szewskich, napełnionych rosą i wystawionych na działanie promieni słonecznych.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony:  
<http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/tripplin-podroz-po-ksiezycu/>

Tekst opracowany na podstawie: Teodor Tripplin, Podróż po Księżycu odbyta przez Serafina Bolińskiego, Petersburg 1958

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Sfinansowano dzięki zrzutce społecznościowej czytelniczek i czytelników Wolnych Lektur.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć-Gryz, Aleksandra Sekuła, Sylwia Bałdyga, Zuzanna Pyzikiewicz.

Publikację wsparli i wsparły: Jakub Sobilski, Katarzyna Moszumańska , Anna Nowak , Angelika , Dagmara Dux , Adriana , Hanna Lewandowska , kristof\_fi , Jakub S. , Michał Pachocki , Mirosław , Hanna Hojan , Aleksander Parkitny , mika , Beata Koper , Dominik.Z , Maria Świetlik .

Okładka na podstawie: moon, A. Wagner, domena publiczna

ISBN 978-83-288-6233-3

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

TEODOR TRIPPLIN *Podróż po Księżycu*

290

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska,